Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

33447 D

VI - 4 - 19

~~Nr 637~~

KO-KO-RO.

~~BIBLIOTEKA~~
~~URZĘDNICZA MAGISTRATU W KRAKOWIE~~
~~SERCYA IV.~~

LAFCADIO HEARN

KO-KO-RO

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1906

A-18291

Odbitka z »Czasu«

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Literat. 13h

K.1160/56/1047

CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«

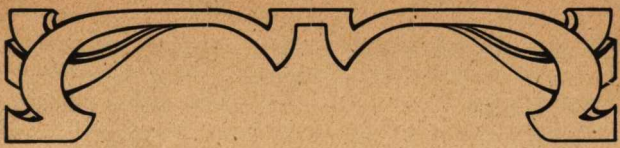

ZAMIAST WSTĘPU

Rzadko się zdarza w literaturze, aby fale aktualności wyrzucały na powierzchnię coś istotnie wartościowego. To też, gdy niedawno temu, podczas zapasów na dalekim Wschodzie, zaczęły z Anglii dochodzić wieści o dziełach Lafcadia Hearn, musiało je spotkać, przynajmniej w kołach bardziej kulturalnych, spokojne niedowierzanie. Zbyt częste pamiętano doświadczenia z analogicznie zachwalanym literackim towarem, który okazywał się przy pierwszem zbadaniu surogatem, zdolnym zaspokoić kasowe potrzeby redaktora lub księgarza, przeznaczonym jednak z góry na życie jednodniowe. »Kipling Japonii« — jak pisano w Londynie — cierpiał też za winy takich poprzedników, a cierpiał, jak się potem okazało, niesłusznie.

Utwory Lafcadia Hearn przekroczyły szybko granice Anglii, poprzedzane rozgłosem coraz poważniejszym. Zajęła się niemi literatura krytyczna Francyi i Niemiec, a w rezultacie stało się pewnem, że sąd, jaki własna ojczyzna twórcy o nim wydała, był może za mało entuzyastycznym, w stosunku do wartości dzieł, jakie stworzył. Pokazało się, iż Lafcadio Hearn umiał chwycić życie Japonii ze strony zupełnie nowej, a tak głęboko, jak nikt przedtem. Opisy, jakich dostąpił w literaturze europejskiej kraj »wschodzącego słońca«, uwzględniały najczęściej zewnętrzną powłokę jego życia i nie mogło być inaczej, skoro piszący byli zwykle w przejeździe i zdziwione

ich oczy uderzała przedewszystkiem odrębność kulturalna kraju pod względem zewnętrznym: to, czem życie japońskie formalnie różni się od Europy. Od talentu pisarza zależało, czy książka taka miała stać się szeregiem świetnych felietonów, czy nudnem studyum, niby etnograficzno-literackiem, w istocie zaś ani etnograficznem, ani literackiem, lecz jakimś dwupłciowym, martwo urodzonym tworem. Lafcadio Hearn uderzył w nowy ton. Psychologia duszy japońskiej — oto przedmiot jego badań i bodziec twórczości. Pod tym względem jest twórca »Ko-Ko-Ro« w literaturze europejskiej zupełnie odosobniony, a świetność literackiej formy pozwoliła mu uczynić z nowego tematu dzieło wartości pierwszorzędnej w kierunku artystycznym.

Hearn przystąpił do duszy Japonii nietylko z nieznanej przedtem strony, lecz przedewszystkiem przystąpił do niej z blizka. Był naturalizowanym Japończykiem. Urodzony w r. 1850 w Grecyi, z rodziców Anglików, próbował zrazu różnych zawodów, był drukarzem, potem dziennikarzem, aż wreszcie, po różnych perypetyach, znalazł się w Japonii. Prastara, a tak odmienna od zachodniej kultura kraju wywarła na nim głębobie wrażenie. Urok jej był tak silny, iż Hearn nietylko przyjął poddaństwo japońskie, lecz nawet pojął Japonkę za żonę. Zarabiając przez jakiś czas na życie jako nauczyciel angielskiego języka w domach prywatnych, otrzymał wkrótce profesurę literatury angielskiej na uniwersytecie w Tokio. Nie trzeba pytać, jakie uczucia żywił dla przybranej ojczyzny. Parę kartek tej książki wystarczy, aby przekonać czytelnika, że tylko silna, głęboka miłość i najwyższe pojęcie o kulturalnem stanowisku Japonii mogło takich argumentów dostarczyć myślicielowi i tak natchnąć poetę.

Rok ubiegły, rok wojny był rokiem śmierci Hearna. Ale był także początkiem nowego życia dla jego twórczości. Dzieła, wydane już dawniej, zalegały półki księgarskie, głuszone gwarem przeciętnego literackiego targu. Wojna dobyła je z ukrycia i oto Anglii przybył wielki pisarz i niepospolity informator o stosunkach, oglądanych dotychczas okiem, czu-

łem tylko na dekoracyjną stronę japońskiego życia, albo też obejmującem zaledwie blizkie jego horyzonty.

Hearn rozpatruje duszę japońską w jej głębokich warstwach. On, który żył jej życiem, przełożył z całem ukochaniem jej drgnienia na język, przystępny Europie, starając się usunąć nieporozumienia, wynikające z konfliktu między zachodnim a wschodnim poglądem na świat i człowieka. Analizował jej pierwiastki jako badacz-psycholog, przedstawiał ze subtelnością poety i stąd powstał szereg obrazów, które dziś są przedmiotem zajęcia w całym cywilizowanym świecie Zachodu.

Odnosi się to zwłaszcza do tomu opowiadań, zatytułowanego Ko-Ko-Ro, który mają przed sobą czytelnicy tych słów. »Ko-Ko-Ro« oznacza to wszystko, co w pojęciach zachodnich łączy się z pojęciami »ducha«, »odwagi« »uczucia«, »stanowczości«. »wewnętrznego znaczenia«, »istoty rzeczy«, »serca«. Wyraz ten jest właściwie nie do przełożenia w jednem słowie, a jako tytuł zapowiada tylko, iż twórca nie zadowolnił się przedstawieniem zewnętrznej skorupy życia, lecz sięgnął do jądra. I w tem spoczywa, jak już zaznaczyliśmy poprzednio, znaczenie niepospolitej książki, przewodniczki po labiryntach japońskiej duszy, przewodniczki, która łączy powagę filozoficzną z wdziękiem i siłą poetyckiego jasnowidzenia.

Tłomacz.

Samuraj.

Urodził się w mieście położonem w głębi kraju, rezydencyi *Dajmia,* posiadającego obszar stutysięcy *koko* [1]). Noga cudzoziemca nie postała nigdy w tych okolicach. *Jasziki* [2]) jego ojca, samuraja wysokiej rangi, znajdowała się pośród zewnętrznych murów fortecznych, otaczających pałac książęcy. Była to rezydencya obszerna, po za nią i dokoła niej rozciągały się wielkie ogrody. W jednym z tych ogrodów wznosiła się mała świątynia z posążkiem boga wojny. Przed czterdziestu laty rezydencye takie były bardzo liczne. Te z nich, które pozostałe jeszcze dotąd, przedstawiają się oczom artysty jak zaczarowane pałace, ogrody ich przypominają buddystyczne rojenia o raju.

Ale w owych czasach system wychowania synów samurajskich był bardzo surowy, a młody szlachcic, o którym chcę mówić, nie miał wiele wolnego czasu na marzenia. Epoka, kiedy go pieszczono, trwała niezmiernie krótko, ponieważ zanim

---

[1]) *Koko,* starożytna miara japońska.

[2]) *Jasziki,* rezydencya dajmia.

jeszcze wdział pierwsze *hakama* (spodeńki), co było w owe czasy połączone z wielką ceremonią, już usunięto go z pod wpływów pieszczotliwych i uczono pokonywać naturalny popęd dziecięcej tkliwości. Mali towarzysze zabaw zapytywali go nieraz z ironią: — »Czy pijasz jeszcze mleko z flaszeczki?« — gdy widzieli go idącego z matką i trzymającego ją za rękę. Co prawda, w domu mógł dać niekrępowany niczem wyraz swego uczucia ku matce, ale chwile, jakie przepędzał w jej towarzystwie, były bardzo nieliczne. — System wychowania ograniczał ściśle wszystkie rozrywki i przyjemności, skłaniające do próżniactwa, nie dopuszczał też żadnych wygód życiowych, z wyjątkiem wypadków choroby. Już od najwcześniejszego okresu młodości, zanim jeszcze nauczył się dobrze mówić, wpajano w niego zasadę, aby uważał obowiązek za najgłówniejszy cel życia, a panowanie nad sobą za najgłówniejszy warunek obcowania z ludźmi, aby patrzył na ból i śmierć, o ile dotyczą jego własnej osoby, jako na wypadki bez znaczenia.

Ale to spartańskie wychowanie kierowało się jeszcze inną, surowszą zasadą. Dążyło ono do tego, aby wyrobić w młodym chłopcu zimny hart ducha, który, z wyjątkiem chwil spędzanych w najściślejszem kółku domowem, miał się zawsze przejawiać. Przyzwyczajano chłopców do widoku krwi. Prowadzono ich na miejsca, gdzie wykonywano wyroki śmierci, wymagano od nich, aby przy tem strasznem widowisku nie objawiali żadnego wzru-

szenia umysłu. Po powrocie zaś z egzekucyi zmuszano ich do opanowania wewnętrznej zgrozy i do spożycia obfitej ilości ryżu, zabarwionego umyślnie na krwawy kolor dodatkiem solonego soku wiśniowego. Co więcej, nieraz żądano od chłopca jeszcze większej dzielności — nieraz rozkazywano mu, aby w noc ciemną udał się na pole egzekucyi i w dowód swej odwagi przyniósł odciętą głowę skazańca. Bo obawę przed trupami piętnowano w życiu samuraja równą pogardę, jak bojaźń przed żywymi ludźmi. Syn samuraja nie mógł się lękać niczego. A w każdej podobnej okoliczności powinien był postępować z zupełną swobodą; najmniejszy odbłysk samochwalstwa lub próżności karano tak samo surowo, jak każdą oznakę bojaźni lub tchórzostwa.

W miarę, jak chłopiec wzrastał, uczono go szukać rozrywki głównie w tych ćwiczeniach ciała, które dla samuraja były pierwszem i niezbędnem przygotowaniem do wojennego rzemiosła. Stawiano więc na pierwszem miejscu strzelanie z łuku, szermierkę, jazdę konną i pasowanie się. Dodawano mu towarzyszy zabawy, starszych od niego, synów lenników dajmia i dobierano ich stosownie do zdolności, aby przez to dać sposobność młodemu samurajowi do wszechstronnego wykształcenia się na wojownika. Zadaniem tych towarzyszy było także uczyć go pływać, kierować łodzią, rozwijać jego mięśnie. Dzień młodego samuraja dzielił się na te ćwiczenia fizyczne i na studyowanie chińskich klasyków. Pożywienie jego, aczkolwiek obfite,

nie zawierało nigdy żadnych przysmaków, odzież — z wyjątkiem dni bardzo uroczystych — była lekka i z pospolitego materyału. Nie wolno mu było rozpalać ognia tylko w tym celu, aby się przy nim ogrzać. Gdy w zimowy dzień ręce zmarzły mu przy nauce do tego stopnia, że nie mógł w palcach utrzymać pędzla, wówczas zanurzał je w lodowatą wodę i w ten sposób przywracał palcom giętkość i zręczność. Gdy nogi skostniały od mrozu, wybiegał boso na śnieg, aby je ogrzać znowu.

Jeszcze surowszy był system, z pomocą którego wtajemniczano go w poglądy kasty wojowników o godności samuraja. Bardzo wcześnie już wpajano mu przekonanie, że mały mieczyk, który wisi u jego boku, nie jest wcale ani ozdobą, ani też zabawką. Uczono go, jak ma się z tą bronią obchodzić, w jaki sposób może położyć kres swemu własnemu życiu bez wahania i trwogi, gdyby wymagał tego honorowy kodeks jego kasty [1]).

---

[1]) »Czy to jest istotnie głowa twojego ojca?« — zapytał raz pewien książę młodego samuraja. Dziecko natychmiast zoryentowało się w sytuacyi. Głowa odcięta od kadłuba, którą mu pokazano, nie była głową jego ojca. Dajmio więc został w błąd wprowadzony, ale trzeba go było w tym błędzie utrzymać. Chłopiec pojął to z błyskawiczną szybkością i nie namyślając się ani chwili, oddał głowie należną cześć żałobną, poczem dokonał »harakiri«. Ten krwawy dowód obalił wszystkie wątpliwości księcia, a dzięki temu skazany na śmierć ojciec chłopca mógł uratować życie. Pamięć młodego samuraja uczczono w kilku japońskich dramatach i epopejach.

Kiedy już chłopiec dojrzewał i stawał się młodzieńcem, zmniejszała się surowość nadzoru. Pozwalano mu coraz częściej kierować się własnem przekonaniem, ale zawsze wpajano mu świadomość, że błędu nie należy lekceważyć, że rzeczywisty występek nie może ujść całkiem bezkarnie i że powinien zasłużonego zarzutu bardziej się obawiać niż śmierci. Z drugiej jednak strony, nie wiele było moralnych niebezpieczeństw, przed któremi opiekunowie musieli ochraniać młodzieńca. Rozpusta była wówczas surowemi rozporządzeniami wygnana z licznych stolic prowincyonalnych, a z niemoralną stroną życia, jaka odzwierciedla się w ludowych powieściach i dramatach, młody samuraj nie miał sposobności się stykać. Uczono go, że powinien uważać tę literaturę, opisującą przyjemności i namiętności zniewieściałych ludzi, za coś niegodnego mężczyzny; do teatru kaście jego nie wolno było uczęszczać. Tak więc wśród tego życia pełnego cnót i niewinności, jakie panowało w prowincyach starej Japonii, mógł młody chłopiec bezpiecznie wzrastać, zachowując czystość ducha i nieskażone złem uczucie.

Zupełnie takim samym był młody samuraj, którego losy chcę tu przedstawić. Odznaczał się odwagą, uprzejmością, brakiem wszelkiego samolubstwa, pogardzał przyjemnościami i w razie wypadku był gotów każdej chwili, bez wachania złożyć swe życie w ofierze, gdyby wymagała tego miłość, obowiązek poddanego lub honor rodowy. Ale chociaż ze względu, na rozwój fizyczny i du-

chowy mógł już uchodzić za wojownika w całem słowa znaczeniu, to jednak pod względem wieku nie wyszedł prawie jeszcze z lat chłopięcych w owym czasie, kiedy kraj rodzinny po raz pierwszy został wstrząśnięty przybyciem »czarnych okrętów«.

I.

Polityka Jyemitsusa, zabraniająca Japończykom pod karą śmierci opuszczania kraju rodzinnego, sprawiła, że naród cały przez dwa długie wieki pozostawał w zupełnej nieświadomości tego, co się działo na szerokim świecie. Nie wiedziano nic o tych kolosalnych mocarstwach, które rozwijały się groźnie z drugiej strony oceanu. Koloniści holenderscy w Nagasaki nie wyjaśnili Japonii sytuacyi, w jakiej się kraj znajdował: Oryentalny feudalizm, zagrożony naporem świata Zachodniego, który wyprzedził ich w rozwoju o całe trzy wieki. Przedstawienie prawdziwych cudów owej cywilizacyi brzmiałoby w uszach Japończyków, jak bajka wymyślona dla zabawienia dzieci; może zaliczyliby je do kategoryi starych opowieści o bajecznych pelacach Horaisa. Przybicie do lądu amerykańskiej floty, »czarnych okrętów« — jak je nazwano — po raz pierwszy zbudziło w rządzie japońskim poczucie własnej słabości i niebezpieczeństwa zagrażającego z nieznanej dali.

Wiadomość o przybyciu »czarnych okrętów« sprawiła wśród ludności niezmierne wrażenie. —

Niebawem zapanowało powszechne przerażenie, gdy szogunat stwierdził, że brak mu sił, aby położyć tamę temu najściu cudzoziemców. Znaczyło to, że tym razem grozi większe jeszcze niebezpieczeństwo, niż podczas inwazyi tatarskiej za panowania władcy Hojo Tokimuné. Wówczas lud cały błagał bogów o pomoc, nawet sam cesarz w świątyni Ise zaklinał duchy swych przodków. Po modlitwach tych nastąpiło zaćmienie słońca. Wśród straszliwego huku grzmotów wstał z morza wściekłością dyszący orkan, o którym jeszcze do dziś dnia opowiadają, jako o »Kamikaze« (orkan bogów). Straszna ta burza zniszczyła flotę najezdcy Kublai Chana i zatopiła ją w głębinach morza. Dlaczegóż i tym razem nie błagać bogów o pomoc? — I w tysiącach domów, przed niezliczonymi ołtarzami zanoszono gorące modły. Ale wszechpotężni bogowie nie dali żadnej odpowiedzi — huk »Kamikaze« nie zagrzmiał nad najezdcą.

A młody samuraj, pogrążony w rozmyślaniach przed niewielkim ołtarzem w ogrodzie swego ojca, zastanawiał się, co się stało? Czy bogowie utracili swą siłę, czy też może ludy »czarnych okrętów« pozostają pod opieką potężniejszego Boga?

Ale niebawem okazało się, że rząd nie myśli o wypędzaniu obcych przybyszów. Napływali setkami ze wschodu i zachodu, wydano szereg najrozmaitszych rozporządzeń dla ich ochrony. Pozwolono im zbudować na japońskiej ziemi ich

własne dziwaczne miasta — co więcej, rząd wydał nawet rozkaz, aby we wszystkich szkołach japońskich uczono wiedzy Zachodniego świata, aby język angielski był jednym z główniejszych przedmiotów nauczania, aby szkoły publiczne przekształcono wedle zachodnich wzorów. Rząd oświadczył także, że przyszłość kraju trzeba oprzeć na opanowaniu obcego języka i na wiedzy, przyniesionej przez cudzoziemców. A dopóki nauka ta nie wyda pomyślnych rezultatów, miała Japonia pozostawać pod protektoratem obcych. Oczywiście nie złożono publicznie tego oświadczenia, ale nie można się było mylić co do znaczenia polityki rządu. Po pierwszem gwałtownem wstrząśnieniu, jakie wywołało zrozumienie tej sytuacyi, po wybuchu rozpaczy wśród ludu i tajonej wściekłości wśród samurajów, zaczęła się powszechnie budzić wielka ciekawość, kim są ci cudzoziemcy zuchwali, którzy, rozwinąwszy tylko swą górującą nad Japończykami moc duchową, zdołali osiągnąć wszystko, czego zapragnęli. Tę powszechną ciekawość zaspokoiły częściowo tanie, kolorowe ryciny, produkowane masowo, a przedstawiające zwyczaje i obyczaje barbarzyńców, dziwaczne ulice ich kolonij na ziemi japońskiej. Cudzoziemiec, patrząc na te obrazki, uważałby je niewątpliwie za karykatury w dosłownem słowa znaczeniu. A przecież artyści japońscy nie mieli bynajmniej zamiaru karykaturowania. Usiłowali sportretować przybyszów, tak jak ich widzieli swojemi oczyma, a upatrywali w nich zielono-okie potwory z czerwonym

włosem jak Szojo [1]), z nosami jak Tengu [2]), potwory, ubierające się w szaty zabawnej, niedorzecznej formy i barwy, mieszkające w domach, podobnych do magazynów towarowych lub więzień. Rozszerzone w setkach tysięcy po całym kraju, obrazki te musiały wytworzyć szczególne pojęcie o tych cudzoziemcach nowoprzybyłych, a przecież w istocie swej były tylko niewinnemi, szczerze pomyślanemi próbami przedstawienia nieznanej nowości. Europejczycy powinniby się zapoznać z temi rycinami, aby zrozumieć, czem wydawaliśmy się Japończykom owych czasów — jak brzydcy, jak groteskowi, jak śmieszni!

II.

Młody samuraj z prowincyonalnej stolicy ujrzał niebawem przed sobą żywego cudzoziemca, którego książę sprowadził jako nauczyciela dla niego. Obcy był Anglikiem. Przyjechał pod ochroną uzbrojonej eskorty; wydano rozkaz, aby okazywać mu wszystkie należne względy. Nie wyglądał tak bardzo brzydko, jak cudzoziemcy przedstawiani na obrazkach. Wprawdzie miał czerwone

---

[1]) Szojo, zwierzę mityczne, podobne do małpy z czerwonemi włosami, o dzikim wyglądzie, osławione niepomiernem nadużywaniem trunków.

[2]) Tengu, postacie mitologiczne japońskie, żyjące w rozpadlinach skalnych; artyści japońscy przedstawiają je z ogromnie długimi nosami.

włosy i oczy szczególnej barwy, ale twarz jego nie była nieprzyjemna. Gdy tylko przybył, stał się przedmiotem powszechnego zajęcia, a to zainteresowanie się jego osobą trwało czas długi. Człowiek nie znający dziwacznych przesądów, jakie panowały w dawniejszych epokach w Japonii odnośnie do cudzoziemców, nie może sobie wprost wyobrazić, jak badawczo obserwowano każdą czynność i ruch przybysza. Aczkolwiek bowiem uważano wówczas ludzi z Zachodu za istoty inteligentne i bardzo niebezpieczne, to jednak nie uważano ich w zupełności za ludzi; upatrywano w nich istoty, zbliżające się raczej do świata zwierzęcego niż do rodzaju ludzkiego. Mieli oni owłosione ciało szczególnego kształtu, zęby ich nie były podobne do zwykłych ludzkich zębów, organa wewnętrzne były również niezwykłe — zaś idee moralne i instynkty przypominały koboldów. To też poruszenie, jakie wówczas wywołało przybycie obcych nie w pośród samurajów, lecz między ludem prostym — nie było bojaźnią fizyczną, lecz strachem, wynikającym z przesądu. Bo nawet chłop japoński nie był nigdy tchórzem. Ale, aby zrozumieć uczucia tego ludu na widok obcych w owym czasie, trzeba znać po troszę zarówno Japończykom jak Chińczykom właściwą wiarę w zwierzęta bajeczne, obdarzone nadnaturalną mocą, które mogły niekiedy przybierać postać ludzką; trzeba znać tych półludzi, nadludzi i inne mityczne postacie ze starych książek z baśniami: brodate koboldy z długiemi u-

szami i nogami (Aszinaga i Tenaga), które naiwni artyści przedstawiali z dobroduszną powagą, a które pędzel Hokusaja uwiecznił z humorystycznego punktu widzenia. Widok obcych przybyszów stał się niejako urzeczywistnieniem baśni, opowiadanych przez chińskiego Herodota; niezwykłe ich szaty miały zapewne na celu ukrycie tego, co mogłoby zdradzić ich pochodzenie nieczłowiecze.

Stąd wynikło, że młodego nauczyciela obserwowano niezmiernie badawczo, jak jakieś osobliwe zwierzę, aczkolwiek wcale tego nie przeczuwał. Mimo to jednak uczniowie jego okazywali mu szacunek na każdym kroku. Postępowali z nim wedle starego chińskiego przykazania: »że nie wolno wstąpić nawet na cień nauczyciela«. I dopóki wtajemniczał ich w wiedzę, żaden z uczniów-samurajów nie zastanawiał się nawet nad tem, czy nauczyciel ich jest istotą ludzką, czy też nie. Wszakże to kobold Tengu nauczył bohatera Joszitsumę sztuki władania mieczem; istoty nadludzkiego pochodzenia nieraz odznaczyły się jako uczeni i poeci. Ale poza tą maską uprzejmości, której rąbek nie uchylał się nigdy, spisywano dokładny protokół o wszystkich zwyczajach i nawyczkach cudzoziemca, a ostateczny rezultat, który wynikł z tych porównań i spostrzeżeń, nie był wcale zbyt pochlebnym sądem.

Sam nauczyciel z pewnością nie potrafiłby był sobie wyobrazić krytyki swych uczniów, a jego równowaga umysłu przy poprawianiu zadań w iz-

bie szkolnej niewątpliwie nie byłaby się utrwaliła, gdyby posłyszał uwagi, padające z ust młodych samurajów.

— Łatwo możesz poznać po barwie jego skóry, jak wiotkie jest jego ciało. Dziecko mogłoby mu głowę roztrzaskać jednem uderzeniem miecza.

Pewnego razu przyszło nauczycielowi na myśl wziąć udział w zapasach swych uczniów — oczywiście tylko z żartu. — Tymczasem oni chcieli istotnie wypróbować jego siły. Nie chwalono go nazbyt, jako atlety.

— Ramiona jego są dosyć silne — rzekł jeden z młodych samurajów — ale nie umie sobie dopomagać ciałem, kiedy ich używa. Natomiast biodra ma bardzo słabe. A już drobnostkąby było złamać mu grzbiet.

— Zdaje mi się, że byłoby bardzo łatwo walczyć z tymi cudzoziemcami — zauważył drugi.

— Na miecze łatwo — odpowiedział inny — ale w używaniu broni palnej są znacznie zręczniejsi od nas.

— Wszystkiego tego możemy się nauczyć — rzekł pierwszy — a skoro posiędziemy już zachodnią sztukę wojowania, wówczas nie będziemy potrzebowali obawiać się ich żołnierzy.

— Cudzoziemcy nie są tak zahartowani, jak my — zauważył drugi — łatwo się męczą i obawiają się zimna. Nasz nauczyciel pali przez całą zimę wielki ogień w kominie; gdybym był zmuszony pozostać w jego pokoju przez pięć minut, rozbolałaby mnie głowa.

Ale pomimo tych wszystkich spostrzeżeń, chłopcy byli bardzo posłuszni swemu nauczycielowi, a on ich polubił także.

III.

Nastały przemiany, nagłe, jak wielkie trzęsienia ziemi, bez żadnych poprzednich zapowiedzi. Feudalne księstwa zamieniono w prefektury, zniesiono przywileje kasty wojowników, cały budynek społeczny zrekonstruowano na nowych podstawach. Wypadki te napełniły smutkiem duszę młodzieńca, aczkolwiek nie trudno mu było dotychczasowe lennicze obowiązki wobec księcia wypełniać nadal wobec cesarza i aczkolwiek majątek jego rodziny wskutek tych wielkich przewrotów nie poniósł żadnej szkody, jednakże wszystkie te przemiany przekonały go dowodnie, w jak wielkiem niebezpieczeństwie znajdowała się rodzima kultura. Musiały one doprowadzić do niechybnej zagłady starodawne wzniosłe ideały i wszystkie prawie ukochane tradycye. Ale uświadamiał sobie również, że wszelkie żale były nadaremne w tym wypadku. Jedynie w razie przekształcenia się własną siłą mógł naród żywić nadzieje, że uratuje swoją niezawisłość. I było obowiązkiem narodowym poddać się tej konieczności, przygotować się do odegrania roli w tym dramacie przyszłości.

W szkołach samurajskich nauczył się tyle języka angielskiego, że mógł się swobodnie poro-

zumiewać z cudzoziemcami. Obciął długie włosy, jakie nosił dotychczas, odpasał miecz od boku i udał się do Jokohamy, aby dalej się kształcić w nauce języków wśród pomyślniejszych warunków. Styczność z cudzoziemcami przeistoczyła nawet japońską ludność mieszkającą w porcie. Ludzie stali się brutalni i pospolici, mówili i zachowywali się w taki sposób, jak nie śmiały się zachowywać nawet najniższe warstwy ludności w jego rodzinnem mieście. Cudzoziemcy sprawiali tu na młodzieńca jeszcze niesympatyczniejsze wrażenie. Był to okres, kiedy obcy osadnicy odważali się przybierać ton zwycięzców wobec zwyciężonych i kiedy życie w porcie było jeszcze bardziej wyuzdane, niż się to dzisiaj dzieje. Nowe budowle z cegły przypominały w niemiły sposób drzeworyty japońskie, na których przedstawiano zwyczaje i obyczaje cudzoziemców. To też młody samuraj nie łatwo zdołał się pozbyć pochodzących z chłopięcej epoki, fantastycznych pojęć o »obcych«.

Rozum przekonał go oczywiście, że byli oni taksamo ludźmi, jak on, ale w głębiach duszy nie zrodziło się jeszcze zrozumienie tych pokrewnych mu istot ludzkich.

Poczucie rasowe przejawia się pierwej i silniej niż rozwój intelektualny; to też nie łatwo mógł się otrząsnąć z tych przesądnych wyobrażeń, jakie się z niem łączyły. Również krew dawnych wojowników burzyła się w nim nieraz wobec postępków, jakie widział, lub o jakich słyszał, budził się w jego sercu gorący popęd odziedziczony

po przodkach, aby ukarać tchórzostwo lub pomścić niesprawiedliwość.

Ale nauczył się pokonywać te popędy, które mogłyby się stać zaporą w jego dalszem kształceniu. Było to obowiązkiem patryotycznym poznać naturę wroga swojego narodu. Powoli też przyswoił sobie zdolność oceniania bez uprzedzeń otaczającego go świata, zarówno jego zalet, jak jego braków, zarówno jego siły, jak jego słabości. Znalazł dobroć, znalazł oddanie się ideałom, ideałom, które nie były wprawdzie podobne do jego ideałów, ale którym nie mógł odmówić szacunku, ponieważ, jak wiara jego przodków głosiły poświęcenie własnej istoty dla ogólnych celów.

W ten sposób zrodziła się w jego duszy miłość i ufność do pewnego starego misyonarza, który poświęcił wszystkie swe siły jego wychowaniu i nawróceniu. Staremu człowiekowi zależało bardzo na nawróceniu młodzieńca, ponieważ widział jego niezwykłe zdolności; to też starał się wszelkimi sposobami pozyskać zaufanie chłopca. Pomagał mu w wielu rzeczach, uczył go języków: francuskiego, niemieckiego, greckiego i łacińskiego, pozwolił mu swobodnie korzystać ze swej wielkiej biblioteki. A przystęp do biblioteki cudzoziemskiej, zawierającej dzieła historyczne, filozoficzne, opisy podróży i literaturę piękną, był na owe czasy niezwykłym przywilejem dla studenta japońskiego. Młodzieniec przyjął propozycyę z niezmierną wdzięcznością, a wła-

ścicielowi biblioteki było oczywiście niezbyt trudno zachęcić ulubionego ucznia po przeczytania części Nowego Testamentu. Młodzieniec wyraził wielkie zdumienie, że w «naukach złej sekty» znajduje przepisy etyczne, nie ustępujące mądrości Konfucyusza. Młody samuraj rzekł do misyonarza:

— Ta nauka nie jest dla nas nową, ale jest niewątpliwie bardzo dobrą. Przeczytam uważnie tę książkę i zastanowię się nad nią.

IV.

Studya te i rozmyślania miały młodzieńca zaprowadzić dalej, niż byłby mógł przypuszczać. Uświadomienie, że chrześcijaństwo jest wielką religią, sprowadziło w następstwie nowe wyobrażenia o cywilizacyi narodów chrześcijańskich. Wielu głębiej myślących Japończyków, a nawet wielu ludzi wybitnych, kierujących polityką narodową, sądziło wówczas, że może jest przeznaczeniem Japonii, aby się dostała pod obce panowanie. Ale nie zniknęła jeszcze nadzieja, że uda się tego uniknąć, a póki istniał choćby tylko cień nadziei, każdy widział jasno przed sobą swój obowiązek. A jednak potęga, która zagroziła cesarstwu japońskiemu, wydawała się nieprzezwyciężoną. Studyując tę niezmierzoną moc, młody samuraj nie mógł niezapytać się z podziwem, graniczącym z trwogą, skąd ta obca cywilizacya czerpie swoje siły. —

Czyżby — jak twierdził jego stary nauczyciel — istniał jakiś związek pomiędzy nią a jej wznioślejszą religią? Stara filozofia chińska — dowodząca, że szczęśliwość każdego narodu pozostaje w stosunku do stopnia, w jakim naród ten wypełnia przykazania bogów i jest posłuszny naukom swych mędrców — potwierdzała taką teoryę. Skoro zaś górująca potęga zachodniej cywilizacyi wynikała istotnie z wyższości etyki zachodniego świata, czyż nie było zrozumiałym obowiązkiem każdego patryoty przyjąć tę wyższą wiarę i dążyć do nawrócenia całego narodu? Młodzieniec owej epoki, wychowany w duchu chińskiej wiedzy i co za tem idzie: w nieświadomości historyi społecznych ewolucyj zachodniego świata, nie mógł sobie absolutnie wyobrazić, że najwyższe formy nowoczesnego postępu materyalnego powstały wskutek nieznającego litości współzawodnictwa, które nietylko sprzeczne jest z zasadami chrześcijańskiego idealizmu, lecz w ogóle nie da się pogodzić z żadną etyczną zasadą.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym młody samuraj postanowił wbrew gwałtownemu oporowi swej rodziny przyjąć religię chrześcijańską. Był to krok bardzo odważny, ale surowy system młodzieńczego wychowania zahartował jak stal jego charakter. Nic nie zdołało go zachwiać w powziętem raz postanowieniu, nawet żałość rodziców. Porzucenie wiary przodków miało dla niego donioślejsze następstwa prócz krótko trwającego żalu za przeszłością: utracił swe prawa do spadku, na-

raził się na pogardę swych towarzyszy, utracił swą godność i pozostał bez wszelkich środków do życia. Ale wpojony mu idealizm samuraja nauczył go pogardzać dobrami ziemskiemi. Widział przed sobą i myślał wyłącznie o tem, co uważał za swój obowiązek, jako dobry patryota i człowiek dążący do prawdy. I poszedł za tym wytycznym celem bez trwogi i wahania.

V.

Poświęcił stanowisko i majątek, by zostać chrześcijaninem, a raczej członkiem obcej religii i już po niewielu latach publicznie wyrzekł się tej wiary, którą okupił takiemi ofiarami. Zaczął studyować dzieła nowożytnych pisarzy i przejmował się ich filozoficznymi poglądami, zadawał nauczycielom swoim pytania, na które, jego zdaniem, nie umieli mu należycie odpowiedzieć. Daremnie przestrzegali go, że dzieła te mogą się stać niebezpieczeństwem dla jego wiary, nie baczył na to. Wyrzekł się Kościoła, twierdząc, że jego nauki nie polegają na prawdziwej mądrości lub na istotnych faktach i że czuje się powołanym przyjąć poglądy tych ludzi, których nauczyciele jego potępili jako wrogów chrześcijaństwa. Odstępstwo jego wywarło ogromne wrażenie.

Ale w przeciwieństwie do innych ludzi, którzy przeszli podobne próby życiowe, zdawał sobie z tego sprawę, że kwestya religii tylko chwilowo

zeszła w jego umyśle na drugi plan i że posiadł zaledwie abecadło tego, co dawała wiedza. Zachował wiarę w rzeczywistą doniosłość religii, jako potęgi chroniącej od złego i dającej siłę. Niejasne wyobrażenia o prawdzie — prawdzie istniejącego związku między cywilizacyami i ich religiami — zwabiły go na tę ścieżkę, która doprowadziła go do nawrócenia się.

Filozofia chińska nauczyła go tego, co nowoczesna socyologia uznaje za prawo: że żaden ustrój społeczny nie osiągnął wyższego rozwoju bez pomocy duchowieństwa. A znowu buddyzm dał mu dowód, że nawet nieprawdopodobne wypadki, przedstawione w formie przypowieści, mogą mieć swą wartość i swą racyę istnienia, jako środki pomocnicze, służące do rozwinięcia etycznego życia rodzaju ludzkiego. Z tego punktu widzenia zajęcie się jego chrześcijaństwem nie uległo zmianie. A chociaż powątpiewał w to, co mówili mu jego nauczyciele o wyższej moralności narodów chrześcijańskich — bądź co bądź w życiu cudzoziemców, przybywających do portów otwartych, nie znalazł żadnych przekonywających przykładów — to przecież zapragnął naocznie przekonać się w zachodnim świecie o wpływie religii na obyczajność. I dlatego postanowił zwiedzić kraje europejskie, aby na miejscu zbadać przyczyny ich rozwoju i powody ich potęgi.

Zamiar ten wcześniej urzeczywistnił, niż mógł był przypuszczać.

Ruchliwość intelektualna, która w sprawach wiary zrodziła w nim powątpiewania, wyrobiła w nim w politycznem życiu przekonania wolnomyślne. Ściągnął na siebie niełaskę rządu przez publiczne wystąpienia, pozostające w sprzeczności z panującą polityką i musiał opuścić kraj rodzinny, podobnie jak wielu innych nieostrożnych młodzieńców, którzy działali pod wpływem nowych idei. Najpierw szukał schronienia na Korei, potem w Chinach, gdzie jako nauczyciel zarabiał na chleb codzienny, wreszcie pewnego dnia znalazł się na pokładzie okrętu, zdążającego do Marsylii. Posiadał tylko niewielką sumę pieniędzy, ale nie troszczył się bynajmniej o to, w jaki sposób znajdzie w Europie środki do życia. Młody, silny, atletycznie zbudowany, skromny w potrzebach i przyzwyczajony do odmawiania sobie wszystkiego, czuł się pewnym siebie; a oprócz tego miał listy polecające do Europejczyków, na które liczył także.

Ale lata całe miały przeminąć, zanim mógł znowu ujrzeć swoją rodzinną ziemię.

Podczas tego czasu poznał tak gruntownie cywilizacyę świata zachodniego, jak mało kto z Japończyków. Przewędrował Europę i Amerykę, żył w wielu państwach, pracował w najrozmaitszych gałęziach, niekiedy duchowo, częściej fizycznie własnemi rękami, i miał sposobność przestudyować najwyższe i najniższe, najlepsze i najgorsze strony tego życia. Ale patrzył na wszystko oczyma Wschodu, a ten punkt osądzania był in-

ny, aniżeli nasz. Albowiem tak samo jak człowiek z Zachodu, patrzy na życie dalekiego Wschodu, tak samo potomek Wschodu patrzy na świat zachodni. To, co w jego własnem mniemaniu jest najwyższem, obcy uważa oczywiście za najniższe, i obaj mają w tem zarówno słuszność, obaj zarówno się mylą. Nigdzie nie istniało zupełne zrozumienie wzajemne i nigdzie istnieć nie może.

Świat Zachodu wydał mu się jednak większym i potężniejszym, niż przedstawiał go sobie w wyobraźni; wydał mu się światem olbrzymów. To samo, co dręczy także najodważniejszego Europejczyka, gdy samotny, bez środków i przyjaciół znajdzie się w wielkiem mieście, musiało też nieraz udręczać serce zbiega z dalekiego Wschodu: ten dziwny niepokój człowieka osamotnionego, na którego nikt nie zwraca uwagi wśród milionów dyszących i spieszących się ludzi, w oszołamiającym zgiełku ruchu ulicznego, wobec potwornej, bezdusznej architektury, wobec tego olbrzymiego nagromadzenia bogactw, które zmuszają ducha i ciało, by jak maszyna rozwijał swą zdolność pracy aż do ostatecznych granic ludzkiej siły. Może patrzył na takie miasta podobnie jak Doré na Londyn: jako na olbrzymią świątynię Mammona, pełną ciężkich, ponurych łuków i kamiennych sklepień, które otwierają się w nieskończonych szeregach jedne za drugiemi, wysoko zbudowanych gór, u stóp których żarzy się i dyszy praca, niby fale olbrzymiego morza

ognistego, niezliczonych przepaści, w których uporządkowana praca zbiera i przedstawia rezultaty stuletnich wysiłków. Ale nigdzie w tych kamiennych wąwozach nie działało nic na jego zmysł piękna; zamykały one dostęp słońcu, niebu i wichrom. Wszystko to, co nas właśnie pociąga do wielkich miast, było dla niego udręczeniem, odstręczało go, nawet świetny Paryż wnet go przesycił.

Paryż był pierwszem miastem cudzoziemskiem, gdzie się dłużej zatrzymał. Sztuka francuska, odzwierciedlająca estetyczną myśl najzdolniejszego narodu europejskjego, zadziwiła go, ale bynajmniej nie zachwyciła. Najwięcej zdumiewały go francuskie studya nagiego ciała, w których upatrywał tylko otwarte przyznanie się do ludzkiej słabości; jego stoickie wychowanie nauczyło go pogardzać tą słabością na równi z tchórzostwem i niepewnością przekonań. Także nowożytna literatura francuska dawała mu niejeden powód do zdziwienia. Nie umiał ocenić zadziwiającej sztuki opowiadania; wartość techniki pisarskiej jako takiej była mu również niezrozumiałą, a gdyby nawet zdołano mu wpoić to zrozumienie, to jednak niemniej byłby nadal przekonany, że podobny sposób zużywania sił duchowych do czynności czysto estetycznej, jest oznaką społecznego zwyrodnienia. A niebawem też w zbytkownem życiu stolicy francuskiej odnalazł potwierdzenie tych wniosków, jakie już wyciągnął, badając sztukę i literaturę tego narodu. Bywał w przybytkach

przyjemności, w teatrach, w operze, patrzył oczyma ascety i żołnierza i dziwił się ciągle, dlaczego to, co dla człowieka Zachodu stanowiło wartość życia, tak mało różniło się od tego, co dziecko Wschodu uważało za głupotę i zniewieściałość. Widywał na wytwornych balach kobiety, dekoltowane podług reguł mody i myślał, że kobieta japońska w takim wypadku zapadłaby się ze wstydu pod ziemię. A z drugiej znów strony dziwił się, czemu Europejczycy tak bardzo się gorszyli, patrząc na naturalną, obyczajną, zdrową półnagość japońskich chłopów, pracujących w polu podczas upału. Widział świątynie i pałace sprawiedliwości, a obok nich domy zepsucia i sklepy, które zysk ciągnęły ze sprzedaży bezwstydnych obrazków. Obyczajności nie znajdował nigdzie.

Świat ten nie miał wiary; był to świat obłudy, oszustwa, egoizmu, pogoni za rozkoszami, świat, którym rządziła nie religia, lecz polityka. I trudno było uważać za szczęście, że się człowiek urodził w tym świecie.

Posępna, poważna, ciężarna mocą Anglia nastręczała mu inne problemy. Badał bogactwo tej krainy, rosnące do niezmiernych granic i jego stronę odwrotną, brud i nędzę, rozkwitające bujnie w cieniach bogatej stolicy. Widział olbrzymie porty, przepełnione bogactwem zwiezionem ze stu krain, które przeważnie było łupieżą, zrozumiał, że Anglicy, podobnie jak ich przodkowie, byli rasą łupieżców i zastanawiał się, jaki byłby los tych milionów, gdyby choćby na prze-

ciąg miesiąca nie byli w możności przymuszania innych narodowości, aby dostarczały im wszystkiego. Oglądał wyuzdanie i pijaństwo, zamieniające to największe miasto świata podczas nocy w ohydną jaskinię i dziwił się konwencyonalnej obłudzie, która przymykała oczy na widok tych występków; dziwił się bezmyślnej dobroczynności, która przyczyniała się na swój sposób mimowolnie do rozszerzania chorób i złego. Przeczytał też, że jeden z wielkich Anglików [1]), który zwiedził wiele krajów, oświadczył, iż dziesiąta część ludności Anglii składa się z zawodowych zbrodniarzy i mieszkańców schronisk dla nędzarzy. A wszystko to istniało mimo niezliczonych praw, mimo milionów świątyń. Cywilizacya angielska była dla niego istotnie przekonywającym dowodem potęgi tej religii, którą przywykł uważać za źródło wszelkiego postępu. Ale angielskie życie uliczne odsłaniało przed nim zupełnie inne obrazy. Na ulicach miast buddyjskich nie widywało się nic podobnego.

Nie! Ta cywilizacya była zupełnie poprostu wynikiem ohydnej walki między ufnością a podstępem, słabością a siłą, przyczem siła i spryt wchodziły w przymierze, aby wtrącić to, co słabe, w bezdenne piekło. Dzieci Japonii nie mogłyby sobie wyobrazić podobnych stosunków nawet w najdzikszych snach gorączkowych! Ale mimo to nie mógł nie przyznać, że materyalne i inte-

---

[1]) Alfred Russel Wallace.

lektualne wyniki tych stosunków były bardzo potężne; chociaż złe, jakie spotykał, przekraczało miarę tego, co uważał za możliwe, to jednak można było także znaleźć wiele dobrych stron zarówno wśród biednych warstw, jak bogatych. Napotykał na niezliczone przeciwieństwa, a ta dziwna mieszanina zła i dobra była dla niego zagadką, której umysł jego nie mógł rozwiązać.

Polubił lud angielski bardziej niż inne narodowości, z któremi się stykał podczas swej wędrówki. Zachowanie się angielskiej *gentry* (drobnej szlachty) przypominało mu tryb życia samurajów. Po za pozornym chłodem tych ludzi odkrywał wielkie porywy przyjaźni i dobroci, głęboką uczuciowość, wielką odwagę, która połowę świata podbiła pod berło angielskie. Ale zanim opuścił Anglię, aby się udać do Ameryki, gdzie chciał badać dalsze pola ludzkiej działalności, przestały go interesować te różnice między narodowościami. Zbladły one w jego oczach wobec wzrastającego zrozumienia cywilizacyi świata zachodniego. Teraz już pojmował, że jest to jedna potężna całość, wykazująca wszędzie — bez względu na imperyalistyczną, monarchiczą czy demokratyczną formę rządu — te same nieubłagane konieczności i te same zadziwiające rezultaty, opierająca się wszędzie na podstawach i ideach, które były zupełnem przeciwieństwem poglądów i dążeń Dalekiego Wschodu. I nie znajdywał nic w tej cywilizacyi, coby mógł kochać, dopóki obracał się wśród niej, i nic, czegoby żałował, kiedy żegnał się

z nią na zawsze. Cywilizacya ta była dla jego ustroju duchownego tak obcą, jak życie na innej planecie lub pod innem słońcem. Ale rozumiał wartość tego narodu, gdy mierzono go miarą ludzkiego cierpienia, czuł jego groźną siłę i przeczuwał niezmierne znaczenie jego intellektualnej przewagi.

I znienawidził tę cywilizacyę; znienawidził jej olbrzymi funkcyonujący bez żadnego błędu mechanizm; znienawidził jej konwencye, jej chęć zysku, jej ślepe okrucieństwo, jej olbrzymi blichtr, odstraszającą ohydę jej nędzy i zuchwałość jej bogactwa. Odsłoniła ona przed nim bezdenne głębie upadku, ale nie wskazała mu żadnych ideałów, któreby mogły odpowiadać wartością ideałom jego młodości. Wszystko to było wielką dziką wojną i wprost wydawało mu się cudem, że w takich stosunkach zachowało się jeszcze tyle dobroci, jakiej sam zaznał. Prawdziwa przewaga świata zachodniego miała swe źródło wyłącznie w intellekcie: były to olbrzymie niebotyczne szczyty wiedzy, pod których wiecznym śniegiem musiało skostnieć wszelkie życie uczucia. Wydawało mu się pewnem, że stara japońska cywilizacya wzajemnej życzliwości i cnoty stała bez porównania wyżej ze względu na pojmowanie szczęścia, na etyczne dążenia, bardziej zgłębioną wiarę, wesołą odwagę, prostotę i samodzielność, skromność i zadowolenie. Przewaga świata zachodniego nie była etyczną. Tkwiła ona

w siłach intellektu, który stosowali silni w celu zagłady słabszych.

A jednak wiedza zachodnia przekonała go swą nie dającą się obalić logiką, że ta cywilizacya musi zwolna zyskiwać coraz większą siłę i że jak niezmierzony, niepowstzymany w biegu potop zaleje całą ziemię.

Japonia musiała się dostosować do nowych form życia, przyswoić sobie nowe metody myślenia. Nie było żadnego innego wyjścia. Rozumiał, że konieczność zmusi do tego jego ojczyznę. Ale ta konieczność nie mogła jej zmusić do porzucenia starych pojęć o prawie i bezprawiu, o obowiązku i honorze. I powoli w duszy jego budziło się postanowienie, które kiedyś w następstwie miało uczynić z niego kierownika i nauczyciela własnego narodu. Postanowił wszelkiemi siłami pracować nad zachowaniem dobrego obyczaju dawnych czasów, bez trwogi walczyć przeciw dalszemu wprowadzaniu tego wszystkiego, co nie było niezbędnie potrzebne do utrzymania i rozwoju jego narodu. Zdawał sobie sprawę, że usiłowania jego mogą być daremne, ale mógł też mieć nadzieję, że z powszechnej zagłady uda mu się uratować niejeden cenny klejnot. Żądza marnotrawstwa, z jaką się spotkał w zachodnim świecie, sprawiła na niego głębsze wrażenie niż żądza użycia i zdolność cierpienia tego świata. W czystem ubóstwie swego własnego kraju upatrywał siłę, w jego oszczędności i wyrzeczeniu widział jedyny środek rywalizacyi z Zachodem.

Obca cywilizacya nauczyła go rozumieć wartość i piękność własnej ojczyzny. Dawniej nie pojmował jej tak intenzywnie. To też dręczył się tęsknotą, oczekując chwili, która przyniesie mu możność powrotu do kraju rodzinnego.

VI.

W przeźroczystem półświetle kwietniowego poranku bez chmur na chwilę przed wejściem słońca ujrzał znowu przed sobą góry swej ojczyzny. Daleko rozciągnięty pas wzgórz, wysterczających z ciemno-czarnej wody, spowitych w fiolety. Poza parowcem, który wiózł wygnańca do ojczyzny, zabarwiał się zwolna horyzont różanymi płomieniami. Na pokładzie stało już kilku cudzoziemców, którzy nie chcieli stracić pierwszego najpiękniejszego wrażenia, jakie się odnosi, patrząc z morza na Fudżi, bo widok ten pozostawia na całe życie nie dające się zatrzeć wspomnienie. Cudzoziemcy spoglądali poprzez wznoszące się stopniami, poszarpane olbrzymy skalne w głęboką noc, na gwiazdy migocące jeszcze na niebie, lecz nie mogli dojrzeć Fudżi.

— Ach — zawołał z wesołym śmiechem oficer, do którego się zwrócili — patrzycie panowie za nisko, trzeba spojrzeć wyżej, znacznie wyżej!

Wówczas spojrzeli w górę, w górę, w górę aż w serce niebios i oto ukazał się oczom potężny szczyt płonący w różanym blasku, jak prze-

cudowny, uduchowiony kwiat lotosu w brzasku dnia wschodzącego. Nie mogli przemówić słowa z zachwytu. Wieczne śniegi zabarwiły się złotem, później zbladły znowu, gdy słońce rzuciło na nie swe promienie. Wydawało się, że ta góra cudów unosi się ponad ciemnemi grzbietami gór, nawet ponad gwiazdami, ponieważ potężna jej podstawa była jeszcze niewidzialna. Noc znikała, łagodne, blade światło przesnuło strop niebios i rozbudziło uśpione barwy. A przed oczyma patrzących otwarła się błyszcząca zatoka Jokohamy ze świętą górą, której upiorny szczyt, wyrastający z niewidzialnej podstawy, wznosił się w niezmierzonem przestworzu jak duch jakiś olbrzymi w śnieżne zasłony spowity. W uszach podróżnych dźwięczały jeszcze słowa:

— Trzeba spojrzeć wyżej, znacznie wyżej!

I słowa te nadały jakiś właściwy rytm potężnemu, nie dającemu się pokonać uczuciu, które przepełniało ich serca.

Dla niego wszystko zniknęło w mgle. Nie widział ani szczytu Fudżi wysoko pod firmamentem nieba, ani blizkich gór poniżej, które skąpane w promieniach słońca zmieniły miękką fioletową barwę na zieloną, nie widział ruchu okrętów w porcie ani nic z nowej Japonii.

Przed oczyma jego stała dawna Japonia: Wicher polny, woniejący wiosną, muskał lekko jego ciało i wywoływał z dawno zamkniętych obszarów czasu cienie tego wszystkiego, co niegdyś porzucił, o czem chciał zapomnieć. Widział twa-

rze swych drogich zmarłych, rozpoznawał ich głosy z poza grobu. Był znowu małym chłopcem w *Jasziki* swego ojca, przebiegał przez jaśniejące pokoje, bawił się na murawie w słońcu skąpanej, gdzie snuły się cienie liści po trawnikach, wpatrywał się w miękki, zielony, rozmarzony spokój krajobrazu. Znowu czuł łagodne dotknięcie ręki matki, która kierowała jego drobnemi, niepewnemi krokami, gdy szedł odmówić poranną modlitwę przed małym ołtarzem domowym, przed pamiątkowemi tablicami przodków. I usta mężczyzny, jakby pod wpływem nowego odrodzenia, wyszeptały prostą modlitwę dziecięcą.

BIBLIOTEKA
URZĘD. NOWOŻYTNEGO W KRAKOWIE

Duch cywilizacyi japońskiej.

Nie tracąc ani jednego okrętu, nie przegrawszy ani jednej bitwy, złamała Japonia potęgę Chin, stworzyła nową Koreę, rozszerzyła swe własne terytoryum i zmieniła całą polityczną fizyognomię Azyi wschodniej. Z politycznego punktu widzenia wywołuje to już słuszny podziw, ze stanowiska psychologicznego jest jeszcze bardziej zdumiewającem. Przedstawia to bowiem grę sił, których istnienia w tej rasie nie przewidywała zagranica, sił bardzo wysokiego rzędu. Psycholog zdaje sobie sprawę, że tego przyswojenia sobie »zachodniej cywilizacyi« w ciągu lat zaledwie trzydziestu, nie można uważać za równoznaczne z nabyciem organicznych właściwości, którychby umysł japoński przedtem nie posiadał. Psycholog wie, że podobne przyswojenie sobie cudzej kultury nie może spowodować nagłej przemiany właściwości duchowych i moralnych innej rasy. Przemiany takie nie dokonują się nigdy w okresie jednej generacyi. Nabyta cywilizacya oddziaływuje jeszcze powolniej; potrzeba setek lat, aby mogła przynieść pozytywne, trwałe rezultaty psychologiczne.

Obserwowana w tem oświetleniu, jest Japonia najbardziej dziwnym krajem na świecie. A najbardziej zadziwiającem w tym całym epizodzie »przejęcia się Zachodem« jest to właśnie, że mózg rasy mógł wytrzymać podobne wstrząśnienie. Podobny wypadek jest jedyny w całej historyi ludzkości. — Bo i cóż to oznacza? Ni mniej ni więcej jak nowe zorganizowanie części istniejącego aparatu myślowego — a to już musi być śmiercią dla wielu młodych, śmiałych duchów. Przejęcie się cywilizacyą Zachodu nie było bynajmniej tak łatwą sprawą, jak to sądzą ludzie nie myślący krytycznie. A jest również zupełnie zrozumiałem, że ta duchowa reorganizacya, okupiona tak wielkimi kosztami, przyniosła korzystne wyniki tylko w tych zakresach, w których wrodzona narodowi zdolność już poprzednio się przejawiła. Tak więc zastosowanie zachodnich zdobyczy przemysłowych doprowadziło w Japonii do zadziwiających rezultatów i objawiło się w tych przemysłach, w których Japończycy już z dawien dawna w swój właściwy sposób dokonali dzieł godnych uwagi. Nie było to nawet przekształcenie we właściwem słowa znaczeniu; raczej możnaby powiedzieć, że dawne istniejące zdolności zostały skierowane na nowe tory. W zawodach ściśle naukowych widzimy ten sam proces rozwoju. Do niektórych zawodów naukowych jak medycyna, chirurgia (nie ma na świecie zręczniejszych chirurgów jak Japończycy), chemia, badania mikroskopowe, posiadają Japończycy wrodzone uzdol-

nienie i na polach tych dokonali dzieł wielkich i sławnych. W sztuce wojowania i rządzenia wykazali też umiejętności niemałe, a historya Japonii jest dowodem ich niezwykłych zdolności wojskowych i politycznych. Natomiast w zakresie obcym narodowemu duchowi nie dokonano nic szczególniejszego. Tak naprzykład studyowanie zachodniej sztuki, muzyki i literatury jest tylko, jak się zdaje, marnotrawieniem czasu [1]). Zakresy te oddziaływują nader silnie na nasze życie uczuciowości, natomiast nie wywierają żadnego wpływu na uczuciowość Japończyka. A każdy poważny myśliciel wie, że przemiana uczuciowości danego osobnika jest drogą wychowania niemożliwą. I byłoby niedorzecznością twierdzić, że podobna przemiana charakteru uczuciowego oryentalnej rasy

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

[1]) Pod pewnym względem sztuka świata zachodniego wpłynęła na literaturę i dramaturgię japońską, ale i ten rodzaj wpływu dowodzi także różnicy rasowej, o której mówiłem. Europejskie dramaty i powieści przerobiono dla japońskiego widza teatralnego i czytelnika. Ale rzadko odważa się któryś z pisarzy japońskich na dosłowny przekład, ponieważ wypadki, myśli i psychologia oryginału byłyby niezrozumiałe dla przeciętnego czytelnika i widza teatralnego. Szkielet utworu pozostaje, uczucia i wypadki ulegają zupełnemu przekształceniu. »Nowa Magdalena« zamienia się w dziewczynę japońską, która wychodzi za Etę. »Les Misérables« Wiktora Hugo zmienili się w opowiadanie z japońskiej wojny domowej, Enjolras przybrał postać studenta japońskiego. Jest zaledwie kilka wyjątków, do których między innemi należy dosłowny przekład »Werthera«. Zyskał on w Japonii ogromne powodzenie.

dokonała się w ciągu tak krótkich lat trzydziestu, jedynie przez powierzchowne stykanie się z ideami świata zachodniego.

Życie uczuciowe, które jest dawniejsze i bardziej głębokie niż życie umysłowe, nie może uledz żadnej zmianie, chociażby nawet zmieniło się środowisko, tak jak nie zmienia się powierzchnia zwierciadła, mimo przebiegających po niej obrazach. Wszystko, czego Japonia dokonała w tak cudowny sposób w tak krótkim przeciągu czasu, dokonało się bez żadnej zmiany jej wewnętrznej istoty — a ci, którzy sądzą, że kraj ten jest nam obecnie bliższy warunkami uczucia niż przed laty trzydziestu, zapoznają nie dające się obalić kardynalne prawa wiedzy.

Sympatya nasza obraca się zawsze w granicach naszego zrozumienia. Sympatyzujemy w tym stopniu, w jakim pojmujemy. Europejczyk może sobie czasem wyobrażać, że sympatyzuje z Chińczykiem czy Japończykiem, ale sympatya ta musi być zawsze ograniczona do pewnej nie wielkiej powierzchni uczuć ogólno-ludzkich, do tych uczuć, które są jednakie u mężczyzny i u dziecka. Skomplikowane życie uczuciowe ludzi Wschodu składa się z szeregu indywidualnych, specyalnych wrażeń, które w świecie zachodnim nie mają żadnych analogij i których z tego powodu nie możemy pojąć w pełnej mierze. Z tych samych przyczyn Japończyk nie może zrozumieć zupełnie ducha europejskiego, chociażby nawet starał się o to. Nie mogąc więc pojąć należycie prawdziwych war-

tości życia umysłowego i duchowego japońskiego (jedno łączy się z drugiem nadzwyczaj ściśle), nie może też równocześnie wyzbyć się wrażenia, że to życie wewnętrzne w porównaniu z naszem europejskiem ma małe tylko znaczenie. Jest bowiem dla niego to życie zabawne, ma ukryte wdzięki i wartość, ale z drugiej strony wydaje się tak drobnostkowem, że w porównaniu z niem życie człowieka zachodniego przedstawia się bezporównania potężniej.

Albowiem możemy sądzić tylko na podstawie przejawów widzialnych i pochwytnych. A jeżeli tak będziemy postępować, jakże olbrzymi kontrast okaże się między zachodnim i wschodnim światem uczuć i myśli! Bezporównania większy niż pomiędzy łatwo zniszczalnemi drewnianemi ulicami japońskiej stolicy a potężną trwałością arteryj komunikacyjnych Londynu czy Paryża. Dla porównania form wyrażenia, jakie Wschód i Zachód nadały swym snom, dążeniom i uczuciom, zestawmy naprzykład katedrę gotycką ze świątynią Shinto, operę Vereiego lub trylogię Wagnera z przedstawieniem gejsz, epopeję europejską z poematem japońskim; jakżeż nierównorzędna jest tu różnica siły uczucia, potęgi fantazyi, artystycznej syntezy. Nasza muzyka jest oczywiście niewątpliwie sztuką nowożytną, ale także w przeszłości jest różnica w sile twórczej między sztuką japońską a europejską mało co mniej dobitna, a równie silnie występuje w okresie największego rozwoju rzymskiej potęgi, w czasie, kiedy po-

wstawały olbrzymie amfiteatry i wodociągi, które siecią swą ogarniały całe prowincye, równie silnie występuje w okresie greckim rzeźbienia bogów i nieporównanej poezyi.

A to doprowadza nas do innej właściwości w nagłym rozwoju rasy japońskiej. Gdzie znajdziemy zewnętrzne, namacalne dowody owej olbrzymiej siły, którą okazywała w przemyśle i w sztuce wojennej? Nigdzie! Tego, czego nie możemy odnaleźć w jej życiu duchowem i umysłowem mianowicie: popędu do wielkich rzeczy, nie znajdujemy także w jej przemyśle, ani w jej handlu.

Kraj pozostaje tem, czem był. Fizyognomia jego mimo wszelkich zmian epoki Meidzi prawie nie uległa zmianie. Miniaturowe koleje żelazne i słupy telegraficzne, mosty i tunele giną prawie w odwiecznej zieleni pejsażu. We wszystkich miastach, z wyjątkiem portów otwartych i kolonij cudzoziemskich, nie można znaleźć prawie żadnej charakterystycznej cechy ulicznej, któraby dowodziła jakiegośkolwiek wpływu idei zachodnich. Możnaby przejechać dwieście mil przez wnętrze kraju, a nie napotkałoby się żadnego widocznego dowodu nowożytnej cywilizacyi. Nie widać nigdzie, aby handel ze świadomością swej potęgi rozwijał się w gigantycznych magazynach, lub aby przemysł gromadził swe maszyny w olbrzymich halach. Miasto japońskie pozostało tem samem, czem było przed tysiącem lat: jest zbiorowiskiem małych drewnianych domków, zewnętrznie przedsta-

wiających się malowniczo jak lampiony, ale prawie równie nietrwałych. I nigdzie nie słychać hałasu i ruchu ulicznego, nie widać natłoku i ścisku. Nawet w Tokio, jeżeli ktoś pragnie, może znaleźć wprost wiejski spokój. Ten brak dających się widzieć i słyszeć oznak nowo odkrytej siły, która szaleje na rynkach świata zachodniego i zmienia mapę Wschodu, sprawia szczególne, mógłbym niemal powiedzieć, upiorne wrażenie. Jest to bez mała to samo uczucie, jakiego się doznaje, kiedy mile całe pielgrzymuje się, aby zobaczyć jakąś świętość japońską, a przybywszy na miejsce znajduje się pustkowie, ciszę i samotność, — upiornego bożka drewnianego, próchniejącego w cieniach tysiącleci. Siła Japonii, podobnie jak siła jej prastarej religii, nie potrzebuje głośnych przejawów zewnętrznych. Jedna i druga mają tam swe korzenie, gdzie tkwi prawdziwa siła każdego wielkiego narodu: w duchu rasy.

I.

Kiedy siedzę czasem pogrążony w zamyśleniu, wynurza się przedemną wspomnienie miasta, które wysoko piętrzy się pod niebo, które huczy i szumi jak morze. Zrazu słyszę tylko olbrzymi poszum, potem wizya przybiera wyrazistsze kształty: widzę otchłań, która podobna jest do ulicy i zamknięta górami, które składają się z domów. Jestem zmęczony, bo wiele mil przewędrowałem

wśród tych kamiennych wąwozów, a jednak noga moja ani przez chwilę nie dotknęła ziemi, a tylko bloków kamiennych, nie słyszałem nic prócz oszołamiającego hałasu. Wiem, że głęboko pod temi kamiennemi ulicami kryje się cały świat podziemny: system rur wodociągowych, przewody do oświetlenia, zakłady parowe. Po obu stronach piętrzą się fasady, poprzecinane szeregami okien — skały architektoniczne, zamykające przystęp słońcu. W górze wązki błękitny pas nieba jest pocięty drobnemi, cienkiemi nićmi — powikłaną siecią drutów telefonicznych. W tym bloku domów po prawej stronie mieszka dziewięć tysięcy dusz; mieszkańcy przeciwległego bloku płacą milion dolarów rocznego czynszu. Siedem milionów dolarów nie wystarczyłoby na pokrycie kosztów budowy tych kamiennych kolosów, które rzucają cień na przeciwległy skwer; a jest ich tak wiele, że ciągną się milami. Klatki schodowe są zbudowane ze stali i z cementu, z mosiądzu i z kamienia, ozdobione kosztownemi balustradami wiodą w górę na dziesięć i dwadzieścia pięter; ale noga ludzka ich nie dotyka. Ludzie wjeżdżają na górę i zjeżdżają z powrotem przy pomocy elektryczności i pary, wysokości te są zbyt zawrotne, oddalenia zbyt wielkie, aby można je przebyć pieszo.

Mój przyjaciel, który płaci pięć tysięcy dolarów rocznego czynszu za swoje mieszkanie na czternastem piętrze podobnego monstrum, nie był nigdy w klatce schodowej swego domu. Ja wcho-

dzę po schodach tylko dla zadowolenia własnej ciekawości, w innym wypadku nie czyniłbym tego, bo odległości są zbyt olbrzymie, a czas zbyt drogi, aby go tracić na tak powolną komunikacyę. Ludzie jeżdżą parą z jednej dzielnicy do drugiej, z domu do biura. Głos nie wystarcza do porozumiewania się wzajemnego w takiej kolosalnej wysokości; rozkazy i polecenia wydaje się i odbiera przez telefon. Siła elektryczna, działająca z oddali, otwiera drzwi — jeden nacisk ręki oświetla i ogrzewa setki pokoi.

Ale cała ta olbrzymiość ma charakter surowości i nieubłagania. Jest to gigantyczna, matematycznie zastosowana siła do celów użyteczności i trwałości. Te kolosalne zbiorowiska pałaców, domów towarowych i magazynów nie są bynajmniej piękne, człowiek nie czuje się w nich swojsko. Trwoży go już sama myśl o tej sile i o życiu, które ją stworzyło, o sile bez litości i o życiu bez poczucia wspólności. Są one wyrazem architektonicznym nowej epoki przemysłowej. A grzmot podków końskich i hałas kół trwa bez najmniejszej przerwy. Jeżeli człowiek chce o coś zapytać sąsiada, musi mu wrzeszczeć do ucha. Potrzeba nabyć doświadczenia, aby wyznać się w tym chaosie, lub zostać zrozumianym. Nowicyusz doznaje wrażenia, jakby nagle znalazł się wśród paniki, wśród burzy, wśród cyklonu.

Reasumując krótko powyższe wywody możnaby powiedzieć: budujemy na wieczność, Japończycy na czas przemijający. Z przedmiotów, któ-

re przeznaczone są do codziennego użytku, nie wiele jest w Japonii takich, któreby sporządzano z myślą o trwałości. Zużyte sandały słomiane zastępuje się nowymi na każdej stacyi przydrożnej; suknie składają się z poszczególnych kawałków materyj, zeszytych wielkimi ściegami i bez trudu można je popruć do prania; w gospodzie każdy gość otrzymuje nowe, nieużywane pałeczki do jedzenia; lekkie ramy *shoji* służą zarazem jako okna i ściany, dwukrotnie do roku powleka się je nową materyą, maty na podłogę zmienia się każdej jesieni. Wszystko to są tylko przykłady, wybrane na chybił trafił z niezliczonych drobiazgów życia japońskiego, które są dowodem zdolności narodu zadowalniania swych potrzeb nietrwałymi przedmiotami.

Jaka jest historya zwykłego domu mieszkalnego? Kiedy rano wychodzę z mojego pomieszkania, widzę gdzieś na najbliższym rogu ulicy, jak kilku mężczyzn na wolnej przestrzeni wbija w ziemię pniaki bambusowe. Gdy powracam do domu, po upływie pięciu godzin, znajduję już na tem samem miejscu szkielet domku bambusowego. Następnego dnia przekonuję się, że mury — raczej plecionka trzcinowa powleczona gliną — są już prawie gotowe. Około zachodu słońca dom już pod dachem. Następnego ranka maty już rozciągnięte, wewnętrzne ozdabianie na ukończeniu, w przeciągu pięciu dni dom najzupełniej gotów. Jest to oczywiście dom zbudowany tanio, wykwintniejszy kosztowałby więcej, budowa trwa-

łaby dłużej. Ale miasta japońskie składają się przeważnie z podobnych prostych domków. Są one zarówno tanie, jak pojedyncze.

Nie mogę już sobie przypomnieć, gdzie po raz pierwszy wyczytałem spostrzeżenie, że krzywizna dachu chińskiego zawiera w sobie wspomnienie koczowniczego namiotu. Ta idea prześladowała mnie długo później, kiedy niewdzięcznie zapomniałem nazwiska książki, w której znalazłem tę trafną uwagę. Gdy ujrzałem po raz pierwszy w miejscowości Izumo właściwą strukturę świątyni Szinto z jej szczególnymi krzyżowymi wyskokami na krańcach dachu i szczytach, ta hypoteza zapomnianego essayisty przyszła mi natychmiast na myśl.

Ale oprócz tych prymitywnych architektonicznych tradycyj, znajduje się w Japonii jeszcze wiele innych cech, które wskazują na koczownicze pochodzenie tej rasy. Wszędzie i zawsze brakuje tego, co zwykliśmy nazywać solidną trwałością; cała zewnętrzność życia, z wyjątkiem stroju ludności wieśniaczej i jej niezmienionych narzędzi pracy, posiada charakterystyczne znamiona zmienności. Pomijając już okoliczność, że w ciągu okresu tego stosunkowo krótkiego historycznego czasu, którego opisy znajdujemy w pisanej historyi japońskiej — istniało więcej niż sześćdziesiąt miast stołecznych, z pośród których niejedno zniknęło już zupełnie z powierzchni ziemi, można śmiało twierdzić, że każde miasto japońskie w ciągu trwania jednej generacyi zostało z gruntu

przebudowane. Wyjątek stanowi zaledwie kilka świątyń i kilka potężnych twierdz. Po części należy to przypisać licznym pożarom i trzęsieniom ziemi, głównej jednak przyczyny trzeba szukać w tem, że domy japońskie nie są budowane na trwałe. Lud prosty nie otrzymuje w spadku posiadania domu. Najdroższym kawałkiem ziemi jest dla każdego mieszkańca Japonii grobowiec nie zaś dom mieszkalny, to też w całym kraju nie można znaleźć prawie nic trwałego oprócz miast umarłych i siedzib prastarych świętości.

Sam kraj daje również obraz ustawicznej zmienności. Rzeki zmieniają kierunki swych biegów, wybrzeża swoje linie, równiny swój poziom, wulkaniczne góry wznoszą się i opadają, doliny wypełniają się potokami lawy, lub rumowiskiem gór, wskutek trzęsień ziemi, jeziora napełniają się wodą i wysychają zupełnie. Nawet nieporównany szczyt Fudżi, owego cudu otulonego śnieżnymi całuny, który był od wieków natchnieniem rodzimych artystów, nawet ten szczyt zmienił podobno swój kształt w ciągu mojego pobytu w krainie wschodzącego słońca. Inne zaś góry miały się w tym samym krótkim czasie zupełnie przekształcić. Tylko ogólne linie kraju, zasadniczy charakter natury, pozostają niezmienne. Ale nawet piękność krajobrazu jest również złudnym obrazem, pięknością opalizujących barw i ciągnących się mgieł przez przestworza. Tylko ten, kto istotnie zna krajobraz japoński, może w pełnej mierze ocenić, jak wybornie unaoczniają te zwod-

nicze mgły górskie przemiany, które się już dokonały i jak mistycznie odzwierciadlają te przeistoczenia, które kiedyś w przyszłości dokonają się w historyi archipelagu.

Bogowie są pierwiastkiem trwałym. Zarówno obecnie jak dawniej krążą dokoła swych siedlisk na wzgórzach i rozpościerają cichą pobożność w mrokach swych świętych gajów może właśnie dlatego, że nie są ani kształtem, ani materyą. Ołtarze bogów rzadko rozpadają się w gruzy i idą w zapomnienie, w przeciwieństwie do mieszkań ludzkich. Ale każda świątynia Szinto musi być przebudowana w ciągu dłuższych lub krótszych odstępów czasu. A największą świętość, skrzynię *Isé*, zmienia się na nową co lat dwadzieścia wedle starodawnego prawa. Drzewo z niej dzieli się na tysiączne małe amulety i rozdaje pielgrzymom.

Buddaizm i jego nauki o nietrwałości wszelkiego istnienia dostały się do Japonii przez Chiny z aryjskiej krainy Hindusów.

Założyciele pierwszych świątyń buddyjskich w Japonii należeli do innej rasy i wznosili trwałe budowle: świadczą o tem budowle chińskie w Kamakura, które przetrwały tyle wieków, podczas gdy z miast wielkich, otaczających je niegdyś, nie pozostało dzisiaj ani śladu. Ale psychologiczny wpływ buddaizmu nie nadawał się bynajmniej do tego, aby w jakimśkolwiek kraju wzbudzić poszanowanie materyalnej trwałości. Nauka, że wszechświat jest illuzyą, że życie ludzkie jest tylko przelotnym epizodem, wyjętym z nieskoń-

czonego szeregu, że trzeba przypłacić smutkiem i cierpieniem wszelkie przywiązanie do ludzi, miejsc i rzeczy, że tylko pokonanie wszelkiego pragnienia — nawet pragnienia nirwany — może zapewnić ludzkości wieczysty pokój — nauka ta harmonizowała niewątpliwie ze starodawnemi uczuciami rasowemi.

Aczkolwiek szerokie tłumy ludności nie wnikały nigdy w głębszą filozofię obcej wiary, to jednak teorya o doczesności wszystkich rzeczy musiała z biegiem czasu wywrzeć głęboki wpływ na narodowy charakter. Tłómaczyła ona wszystko i dawała pocieszenie, wpajała siłę do dzielnego znoszenia wszelkich przeciwności, zahartowała tę cierpliwość, która jest charakterystycznem znamieniem rasy japońskiej. Ta teorya doczesności pozostawiła swe ślady nawet w sztuce, która rozwinęła się pod buddyjskimi wpływami — jeżeli wogóle nie zawdzięcza im swojego powstania. Buddaizm uczy, że świat jest tylko snem, tylko iluzyą, tylko fantasmagoryą; ale nauczył on także ludzi chwytać przemijające wrażenia tego snu i tłómaczyć ich znaczenie w odniesieniu do wielkich idei. I Japończycy stali się pojętnymi uczniami. W jaśniejącej słońcem wspaniałości rozkwitu wiosennego, w zmieniających się porach roku, w purpurze więdnącego liścia jesiennego, w upiornym przepychu śniegu, w fantastycznem i tajemniczem kołysaniu się fal i chaotycznej gonitwie obłoków, doszukiwali się starych paraboli głębszego znaczenia. Nawet nieszczęścia — pożary, wylewy, trzęsienia

ziemi, zarazy — były dla nich nowym dowodem prawdziwości teoryi o wieczystej znikomości.

Wszystko co żyje w czasie, musi zaginąć. Lasy, góry — wszystko. Niosącemu śmierć czasowi podlega wszystko, co pragnie. Słońce i księżyc, nawet Sakra ze swym orszakiem trabantów muszą bez wyjątku zaginąć; niema nic, coby zachowało istność. Na początku wszystkie rzeczy były z sobą złączone — później rozdzieliły się. Nowe złączenia zrodziły nowe substancye, bo w naturze niema jednolitego, istniejącego pierwiastka zasadniczego.

Wszystkie zaś rzeczy złożone podlegają starości; wszystkie rzeczy złożone są nietrwałe. Aż do najmniejszego ziarenka *sesamu* nie ma połączenia, które byłoby trwałe. Wszystko jest znikome. Przyrodzona śmiertelność cięży na wszelkiej rzeczy.

Wszystkie rzeczy złożone bez wyjątku są niepewne, niestałe, bezwartościowe, zmienne, znikome; są one przypadkowe, jak obrazy zwierciadła, jak widzenia senne, jak piana... Tak jak każde naczynie gliniane rozpryskuje się ostatecznie w skorupy, tak kończy się także każde życie ludzkie.

II.

A jednak opłaci się niewątpliwie trud badania, czy właśnie ta nietrwałość i ta mała miara nie posiadają jakichśkolwiek szczególniejszych właściwości, które wpłynęły korzystnie na ukształtowanie się życia japońskiego.

Niema nic charakterystyczniejszego dla tego życia, jak jego fluktuacya. Ludność Japonii możnaby porównać z medyum, którego cząsteczki odbywają ciągłe krążenie. Ruch ten sam w sobie jest szczątkowym. Jest on intenzywniejszym i bardziej odśrodkowym niż ruch ludności krain zachodnich. Jest także bardziej spontaniczny, tak spontaniczny, że w warunkach cywilizacyi zachodniej nie byłby w ogóle możliwy. Stosunek między ruchliwością Japończyków a ruchliwością Europy możnaby uplastycznić porównaniem między stopniami szybkości pewnych wysokich i pewnych nizkich wibracyj. Ale przy podobnem porównaniu wysoki stopień szybkości przedstawiałby wynik sztucznej siły, podczas gdy przy powolnej wibracyi nie zachodziłby ten wypadek. A ta różnica rodzaju oznaczałaby więcej, niżby można wywnioskować z powierzchownych objawów.

W pewnym kierunku Amerykanie mogą się słusznie uważać za wielkich podróżników. Ale z innego punktu widzenia nie jest to trafne. Mieszkaniec Ameryki z warstwy ludowej nie może się w żadnym wypadku równać z Japończykiem należącym do tej samej klasy społecznej. A jeżeli chcemy porównywać ruchliwość rozmaitych narodów, musimy oczywiście w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na szerokie masy, na robotników, a nie tylko na nieliczną klasę posiadających. Japończycy w swym własnym kraju są największymi podróżnikami pośród wszystkich cywilizowanych narodów. Są największymi podróżnikami,

ponieważ nawet ich kraj, uformowany wyłącznie z pasm górskich, nie tworzy dla nich przeszkody. Japończycy, którzy najwięcej podróżują, rekrutują się z tej klasy społecznej, która do swego rozwoju nie potrzebuje ani kolei żelaznych, ani okrętów parowych.

U nas jednak zwykły robotnik jest bez porównania mniej swobodny, niż zwykły robotnik w Japonii. Jest on mniej swobodny skutkiem niezmiernie skomplikowanego mechanizmu społeczności zachodniej, która zdąża do złączenia jak największego i ześrodkowania swych sił.

Robotnik europejski jest mniej swobodnym od japońskiego, ponieważ społeczna i przemysłowa maszynerya, od której jest zależny, kształtuje go według swoich własnych określonych potrzeb i to zawsze w ten sposób, że rozwija w nim pewne tylko zdolności kosztem innych wrodzonych mu zdolności. Jest mniej swobodny, ponieważ musi prowadzić tryb życia, który uniemożliwia mu osiągnięcie ekonomicznej niezależności przez samą tylko oszczędność. Aby osiągnąć niezależność, musi posiadać wyjątkowy charakter i wyjątkowe zdolności, dzięki czemu zyskuje przewagę nad wielu tysiącami współobywateli, którzy podobnie jak on, pragną wyzwolić się z pod jarzma ekonomicznej zależności. Krótko mówiąc, jest mniej swobodnym, ponieważ specyalny charakter jego cywilizacyi paraliżuje jego przyrodzoną zdolność ukształtowania sobie życia bez pomocy maszyn i kapitału. Ale takie sztuczne życie musi

wcześniej czy później doprowadzić do utraty niezależnej swobody ruchu. Zanim mieszkaniec świata zachodniego zdecyduje się zmienić miejsce stałego zamieszkania, zastanawia się długo nad tą sprawą; w życiu Japończyka troski podobne nie grają roli. Poprostu opuszcza miejscowość, która mu z jakiegoś względu nie dogadza i przenosi się do innej odpowiedniejszej, nie łamiąc sobie nad tem głowy. Nic go absolutnie nie krępuje. Ubóstwo nie jest u niego zaporą, jest raczej pobudką do czynu. Nie posiada żadnego ruchomego dobra, albo też takie, którem może rozporządzić w ciągu kilkunastu minut. Odległości są dla niego bez znaczenia. Natura obdarzyła go zupełnie dobrze rozwiniętemi nogami, dzięki czemu może z łatwością przebywać codziennie pięćdziesiąt mil angielskich. Żołądek jego ma taki ustrój, że wystarcza mu pożywienie najskromniejsze, które nie wyżywiłoby Europejczyka. Organizm jego znosi z równą odpornością gorąco, zimno i wilgoć, ponieważ nie zniewieściał jeszcze skutkiem używania niezdrowego ubrania, wskutek zbytecznego konfortu, wskutek przyzwyczajenia do szukania ciepła przy piecu lub przy kominku, a przedewszystkiem wskutek noszenia skórzanego obuwia.

I wogóle, zdaje mi się, że rodzaj naszego obuwia wywiera wpływ większy na całe życie, niż się to powszechnie przypuszcza. Obuwie świata zachodniego jest przeszkodą rozwoju indywidualnej swobody. Jest nią wskutek swej kosztowności — ale bezporównania bardziej wskutek swej

formy. Obuwie to nadało pierwotnej formie nogi zachodniego człowieka kształty przeciwne celowi, które uniemożliwiają chodzenie. A fizyczne skutki tego nie ograniczają się tylko do nóg. To, co pośrednio czy bezpośrednio działa jako przeszkoda na organy ruchu, musi rozszerzyć swój wpływ także na cały ustrój fizyczny.

Ale czy na tem kończy się już zło? Kto wie, czy nasza gotowość poddawania się niedorzecznym konwencyom naszej cywilizacyi nie wynika stąd właśnie, że tak długo poddawaliśmy się tyranii szewców. W naszej sztuce rządzenia, w naszej społecznej etyce możnaby może wykazać wiele słabości, które w mniejszym lub większym stopniu stoją w związku z przyzwyczajeniem używania obuwia skórzanego. Tolerancya wobec cielesnych oszpeceń musi się przyczyniać do rozwoju względności wobec duchowego ucisku.

Japończyk ze sfery ludowej, ten zręczny rękodzielnik, który może bez trudu odnieść zwycięstwo nad rękodzielnikiem zachodnim w jednej i tej samej gałęzi przemysłu, był w tem szczęśliwem położeniu, że nigdy nie dręczyła go plaga szewców i krawców. Jego nogi są piękne, jego ciało zdrowe, jego umysł swobodny. Jeżeli przyjdzie mu ochota pojechać dalej o sto mil, może się przygotować do podróży w przeciągu pięciu minut, wszystkie jego podróżne zapasy nie kosztują więcej jak pięć centów, a cały pakunek podróżny może się pomieścić w worku płóciennym. Mając w kieszeni dziesięć dolarów może

podróżować przez cały rok, nie będąc zmuszonym do pracy, albo też może pracą opłacić poprostu koszta podróży; może też podróżować jako pielgrzym. Mógłby ktoś zarzucić, że każdy dziki człowiek jest zdolny do tego samego. Zapewne — ale jest to ideał, niedający się osiągnąć, dla człowieka cywilizowanego; Japończyk zaś jest przynajmniej od tysiąca lat człowiekiem bardzo kulturalnym. I stąd wynika, że Japończyk zagraża teraz targom świata zachodniego.

Przyzwyczailiśmy się za bardzo porównywać ten rodzaj swobodnego krążenia z życiem naszych żebraków i włóczęgów. To też trudno nam teraz ocenić tę swobodę wedle jej istotnej wartości. Przyzwyczailiśmy się też za bardzo do pojęcia, że to życie wędrowne musi pozostawać w niemiłym związku z nieczystością i przykrą wonią. Ale zacytuję trafne słowa profesora Chamberlaina: »Ludność japońska odznacza się najlepszą wonią na świecie«. Japoński »włóczęga« kąpie się codziennie w ciepłej wodzie, dopóki posiada choćby jednego szeląga, gdy zaś całkiem zabraknie mu pieniędzy, wówczas zadawalnia się zimną kąpielą. Niewielkie jego zawiniątko zawiera grzebienie, wykłówacze do zębów, przybory do golenia i szczoteczki do zębów. Japończyk nie zaopuszcza się nigdy. Skoro przybędzie na miejsce dokąd dążył, zamienia się w wędrowca o przyzwoitych manierach i o wyglądzie bez zarzutu, chociaż nawet skromnym.

Ta zdolność istnienia bez sprzętów, bez dobytku i z małym tylko zapasem ubrania jest nie-

tylko dowodem wyższości rasy japońskiej w walce o byt, lecz uwidacznia też prawdziwy charakter niektórych słabych stron naszej własnej cywilizacyi. Skłania nas ona do uświadomionego patrzenia na bezpożyteczną różnorodność naszych własnych codziennych potrzeb. Nie umiemy się obejść bez mięsa, chleba, bez szklanych okien i pieców, bez kapeluszy i białych koszul, bez kufrów i pudełek, łóżek i materacy, poduszek i kołder. A przecież Japończyk żyje bez tego wszystkiego, brakuje mu jeszcze niejedno więcej, w rzeczywistości zaś żyje lepiej. Zastanówmy się tylko, jak ważną rolę odgrywa w toalecie człowieka zachodniego krochmalona koszula. A przecież ta koszula płócienna — ta widoczna oznaka gentlemana — jest sama w sobie zupełnie bezużyteczną częścią stroju. Ani nie daje ciepła, ani nie jest wygodna. Reprezentuje ona w naszym stroju szczątek czegoś, co niegdyś było zbytkowną dystynkcyą klasową, lecz co dzisiaj jest niedorzeczne i bezużyteczne, podobnie jak guziki, które się przyszywa na zewnętrznej stronie rękawów naszych płaszczów.

III.

Brak wielkich pomników dla upamiętnienia istotnie wielkich czynów, jakich Japonia dokonała, jest również charakterystyczny dla szczególnego procesu rozwojowego tej krainy. Japonia produ-

kuje bez kapitału w naszem znaczeniu tego słowa. Stała się krajem przemysłowym, chociaż jej kultura nie przybrała cech mechanicznych i sztucznych. Wielki zbiór ryżu hoduje się w milionach maleńkich farm; wielki zbiór jedwabników odbywa się w milionach małych chatek; plantacye herbaty rosną na niezliczonych, drobnych kawałeczkach gruntu. Przybywszy do Kiôto, aby zamówić jakiś przedmiot u największego producenta porcelany w świecie, przekonuje się człowiek, że te towary, lepiej znane w Londynie i w Paryżu niż w samej Japonii, są wyrabiane w małej drewnianej chacie, w którejby nie chciał mieszkać żaden chłop amerykański. Największy producent waz *cloisonné*, który za przedmiot wysokości pięciu cali może zażądać sumy dwustu dolarów, produkuje swe arcydzieła w dwupiętrowym domku japońskim, zawierającym może zaledwie sześć izb. Piękne, słynne w całym kraju pasy jedwabne są tkane w domach, których budowa nie kosztowała nawet pięciuset dolarów. Naturalnie jest to ręczna robota. Ale nawet fabryczne zakłady tkackie, które posługują się maszynami i to z taką doskonałością, że przewyższają znacznie większe zakłady podobne na Zachodzie — nawet te zakłady z małym wyjątkiem nie imponują niczem. Są to długie, nizkie, jedno- lub dwupiętrowe szopy drewniane, których wzniesienie kosztuje prawie tyle, co u nas budowa stajni drewnianej. Ale w tych chatach wyrabia się jedwabie, które rozchodzą się po rynkach targowych całego świata. Niekiedy można odróżnić

fabrykę od starej *Jasziki* lub starej szkoły japońskiej, tylko słysząc szmer maszyn, chyba, że ktoś umie odczytać napis chiński, umieszczony na bramie ogrodowej. Istnieje wprawdzie kilka wielkich fabryk i browarów zbudowanych z cegły, ale liczba ich jest nieznaczna. I chociaż są zwykle położone w pobliżu kolonij cudzoziemskich, sprawiają w ogólnym obrazie pejsażu jakby wrażenie anachronizmu.

Nasze europejskie olbrzymie budowle i monstra maszynowe mają swe źródło w wielkich połączeniach kapitału. Ale na Dalekim Wschodzie nie istnieją assocyacye tego rodzaju, co więcej, nie ma wogóle kapitału potrzebnego do ich powstania. A przypuściwszy nawet, że z biegiem wieków utworzyłoby się w Japonii stowarzyszenie kapitalistów, to i tak nie ma obawy, by mogły powstać podobne monstrualności architektoniczne. Nawet dwupiętrowe budynki z cegły, wzniesione w głównych centrach handlowych, okazały się niepraktycznymi. Wydaje się to niemal, jak gdyby częste trzęsienia ziemi zmuszały Japonię do zachowania starodawnej prostoty budownictwa. Warunki przyrodzone terenu buntują się przeciw wprowadzeniu architektury świata zachodniego, buntują się przeciw nowym środkom komunikacyjnym, niszcząc nieraz całe linie kolejowe.

Lecz nie tylko przemysł jest zorganizowany w ten sposób; również w całym systemie rządzenia panują podobne stosunki. Tylko tron mikada stoi na trwałych podstawach. Rząd państwowy ulega

ustawicznym zmianom. Ministrowie, namiestnicy, naczelnicy, inspektorowie, wszyscy wysocy dygnitarze wojskowi i cywilni ustępują ze swych stanowisk w niezmiernie krótkich okresach czasu, a wraz z nimi ustępuje za każdym razem cały tłum podwładnych. Prowincyą, gdzie spędziłem pierwsze dwanaście miesięcy pobytu w Japonii, rządziło w ciągu lat pięciu czterech rozmaitych gubernatorów. Podczas mojego pobytu w Kumanato przed wybuchem wojny chińskiej, zmieniało się trzykrotnie naczelne kierownictwo tego ważnego posterunku. Najwyższy rządowy zakład naukowy był kierowany w ciągu trzech lat przez trzech dyrektorów.

Zwłaszcza w dziedzinie wychowania są te zmiany wprost fenomenalne. Podczas mojego pobytu zajmowało stanowisko ministra oświaty ni mniej ni więcej tylko pięciu ludzi, wprowadzono więcej niż pięć rozmaitych systemów nauczania. Dwadzieścia sześć tysięcy szkół publicznych pozostaje w takiej zależności od władz miejscowych, że, gdyby nawet nie działały inne wpływy, ustawiczne zmiany byłyby nieuniknione właśnie skutkiem zmian w łonie tych władz miejscowych. — Dyrektorów i nauczycieli przenosi się z jednego stanowiska na drugie. Można spotkać ludzi zaledwie trzydziestoletnich, którzy jednak udzielali już nauki prawie we wszystkich prowincyach kraju. I trzeba uważać niemal za cud, że wobec takich stosunków system nauczania osiąga jednak tak trwałe i dobre wyniki.

Europa przyzwyczaiła się słusznie wychodzić z założenia, że pewna miara trwałości jest niezbędnym warunkiem każdego prawdziwego postępu i każdego rozwoju. Ale Japonia dała dowód, że wielki rozwój jest możliwy mimo zupełnego braku stałości.

Wyjaśnienia tego dziwnego zjawiska trzeba szukać w charakterze rasy, który jest diametralnie różny od charakteru naszej rasy. Na wskróś ruchliwy, na wskróś wrażliwy lud japoński dążył zgodnie do wielkich celów i godził się z tem, że ideje władcy kształtowały całą masę czterdziestomilionowego zaludnienia Japonii dowolnie, podobnie jak wicher układa fale morskie lub piasek w pewne kształty. A to poddanie się było następstwem właściwości, które po wszystkie czasy cechowały duchowe życie tego ludu, było następstwem nadzwyczajnego braku samoistności i niewzruszonej niczem lojalności. Względny brak indywidualnego egoizmu w charakterze narodowym uratował cesarstwo i dał możność narodowi utrzymania swej niezależności wobec olbrzymiej przemocy obcych. Dlatego Japonia winna największą wdzięczność dwom założycielom swych religii: szyntoizmowi, który uczy, że człowiek powinien myśleć o cesarzu i państwie zanim wolno mu było pomyśleć o sobie i o członkach swej rodziny — i buddaizmowi, który przyzwyczaił swych wyznawców uważać wyrzeczenie się dóbr doczesnych, zaprzeczenie własnej istoty, znoszenie cierpień i utratę rzeczy, które kochamy i zależność od rze-

czy, które nienawidzimy — za prawo świata nie dające się odmienić.

Dzisiaj jednak zaczyna się przejawiać widoczna tendencya osiągnięcia większej stałości, dążenie, które mogłoby doprowadzić do takiego samego biurokratyzmu, jaki jest przekleństwem i słabością Chin. Moralne rezultaty nowo wprowadzonego systemu wychowawczego nie odpowiedziały materyalnym zdobyczom. Braku »indywidualności« (w zwykłem znaczeniu prawdziwego szukania siebie) nie będzie można zarzucić Japończykom najbliższego stulecia. Nawet zadania studentów odzwierciedlają nowy światopogląd wzrastającego egoizmu.

»Zmienność — pisze w swem wypracowaniu jeden z uczniów, na którym znać jeszcze słabe wpływy buddaizmu — jest istotą naszego życia. Spotykamy nieraz ludzi, którzy wczoraj byli bogaczami, a dzisiaj są nędzarzami. Wynika to według praw rozwoju z współzawodnictwa. Nie możemy się usunąć od tego współzawodnictwa, musimy się zwalczać, nawet gdybyśmy nie chcieli. I jakąż bronią będziemy walczyć? Bronią wiedzy, ukutą wychowaniem.«

Istnieją dwa sposoby wykształcenia swej istoty: jeden z nich wiedzie do wyłącznego rozwoju szlachetnych właściwości, drugi oznacza coś, o czem najlepiej mówić możliwie najmniej. Ale nowoczesna Japonia, jak się zdaje, nie zaczyna się kształcić pierwszym sposobem. Przyznaję, że należę do tych, którzy są zdania, że serce ludzkie nawet

w historyi rasy ma większe znaczenie, niż intellekt, i że wcześniej czy później okaże się, że serce umie lepiej niż intellekt rozwiązać straszliwe zagadnienia życiowego sfinksa. I wierzę niezłomnie, że starzy Japończycy byli bliżsi rozwiązania tej zagadki, ponieważ cenili wyżej piękność moralną niż intelektualną.

Na stacyi kolejowej.

Telegram nadesłany wczoraj z Fukuoka doniósł, że udało się tam ująć wielkiego zbrodniarza. Dzisiejszym południowym pociągiem miano go przywieść do Kumamoto, aby wykonać tu egzekucyę. Wysłano kilku policyantów, których zadaniem było strzedz więźnia.

Przed czterema laty jakiś zuchwały złodziej włamał się w nocy do pewnego domu przy ulicy Zapaśników, zwyciężył w walce z mieszkańcami domu, związał ich i uciekł, zabierając z sobą bardzo wielką ilość kosztowności. Dzięki sprytowi i zręczności policyi udało się pochwycić złoczyńcę w ciągu dwudziestu czterech godzin, zanim jeszcze mógł zrabowane klejnoty ukryć w bezpiecznem miejscu. Ale kiedy go prowadzono do więzienia, udało mu się przerwać nałożone na ręce kajdany. Z błyskawiczną szybkością wyrwał policyantowi miecz od boku, położył go trupem na miejscu i umknął. Od tego czasu aż do ostatniego tygodnia nie widziano go nigdzie, nie dochodziły o nim żadne słuchy.

W ostatnich dniach pewien urzędnik policyjny zwiedzał przypadkowo zakłady więzienne w miej-

scowości Fukuoka. Podczas wizytacyi oddziału przymusowych robót zwróciła jego uwagę twarz, która przed czterema laty utkwiła mu tak silnie w pamięci, że jej zapomnieć nie zdołał.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał urzędnik policyjny jednego ze stróżów.

— Złodziej — brzmiała odpowiedź — zapisane w księgach jego nazwisko brzmi Kusabé.

Detektyw podszedł ku więźniowi, na którego padło jego oko i rzekł:

— Nie nazywasz się Kusabé! Twoje nazwisko jest Nomura Teichi. Jesteś winnym zbrodni, spełnionej w Kumamoto.

Zbrodniarz przyznał się do wszystkiego.

Wraz z wielkim tłumem miejscowej ludności udałem się na dworzec kolejowy, aby być świadkiem przybycia zbrodniarza do miasta. Przypuszczałem, że zobaczę i usłyszę wybuchy gniewu, co więcej, obawiałem się, że może przyjść do czynnego wymiaru kary. Zamordowany był osobistością bardzo lubianą w całem mieście; nie można było wątpić, że krewni jego znajdą się równie pośród licznie zebranych tłumów — wiadomo też, że pospólstwo w Kumamoto nie odznacza się zbytnią łagodnością. Byłem przekonany, że znajdę skutkiem tego na dworcu silny oddział policyjny. Tymczasem przewidywania moje zawiodły zupełnie.

Kiedy pociąg zatrzymał się na dworcu, rozegrała się tylko zwyczajna, pełna hałasu i pośpiechu scena, kiedy przybywają przyjezdni: słychać

było głośne nawoływania niezliczonych podróżnych, którzy szybko przebiegali, wymijając się nawzajem, słychać było wołania małych kolporterów i kupczyków, którzy ofiarowywali na sprzedaż numery dzienników i limonadę kumamotańską.

Czekaliśmy mniej więcej pięć minut po za baryerą. Potem w towarzystwie kilku policyantów, którzy popchnęli go ku drzwiom, ukazał się więzień o barczystej, dzikiej postaci. Głowę trzymał pochyloną na piersi, ręce miał silnie skrępowane na plecach. Więzień i strażnicy zatrzymali się w pobliżu drzwi, a zebrany tłum cisnął się ku przodowi, aby zobaczyć mordercę. Ale wszyscy milczeli. Teraz urzędnik policyjny zawołał donośnym, rozlegającym się do koła głosem:

— Sugihara San! Sugihara O Kibi! — Czy ona jest tutaj obecna?

— Hai! — odpowiedziała wątła kobiecina, stojąca w pobliżu mnie z dzieckiem na plecach. Mówiąc to, zaczęła się przeciskać przez tłum.

Była to wdowa po zamordowanym, dziecko synek zamordowanego.

Na znak dany przez urzędnika policyjnego, cisnący się tłum ustąpił nieco w tył, pozostawiając wolną przestrzeń dookoła skazanego i jego eskorty. Na to miejsce weszła wdowa po zamordowanym ze swoim chłopcem i spojrzała prosto w oblicze mordercy. Zapanowało naokół grobowe milczenie.

Ale urzędnik policyjny nie zwrócił się do stojącej przed nim wdowy. Słowa swoje skierował

do trzymanego przez nią dziecka i mówił głosem cichym, lecz tak wyraźnym, że rozumiałem każdą poszczególną zgłoskę:

— Patrzaj chłopcze, oto jest człowiek, który zabił twojego ojca. Wówczas nie byłeś jeszcze na świecie, spoczywałeś w łonie matki. Jego to jest dziełem, że nie zakosztowałeś nigdy słodyczy miłości ojcowskiej. Spojrzyj na niego!

Mówiąc te słowa urzędnik policyjny ujął więźnia silnie za brodę i zmusił go do podniesienia opuszczonej dotychczas na piersi głowy.

— Przypatrz mu się dobrze, mały chłopcze — ciągnął dalej — nie obawiaj się niczego. Jest to przykry widok, ale jest to twój obowiązek. Przypatrz mu się!

Poprzez ramiona matki chłopiec wpatrywał się w więźnia szeroko rozwartemi oczyma, jak gdyby trwogą przejęty. Po chwili zaczął szlochać, potem łzy strumieniem popłynęły z jego oczów. Ale mimo to posłusznie, pewnym wzrokiem wpatrywał się w drgającą kurczowo twarz uwięzionego.

Zdawało się niemal, że stojący dokoła tłum przestał na chwilę oddychać.

Widziałem wyraźnie, jak twarz uwięzionego mieniła się i kurczyła. Nagle, nie zważając na więzy krępujące mu ruchy, rzucił się na kolana, uderzył czołem o ziemię i zaczął wołać głosem w którym brzmiała gwałtowna rozpacz, wstrząsająca serca obecnych:

— Przebacz mi, chłopcze, przebacz mi!

— Nie z zemsty popełniłem tę zbrodnię, popełniłem ją z trwogi, dręczyło mnie pragnienie, aby się uratować. Zgrzeszyłem strasznie, strasznie wobec ciebie.... ale teraz odpokutuję mój zbrodniczy postępek.... oto prowadzą mnie na śmierć.... chętnie śmierć poniosę.... chcę umrzeć.... ale przebacz mi, mały chłopcze.... bądź litościwym i przebacz mi!

Dziecko ciągle jeszcze łkało w milczeniu. Strażnik więzienny podniósł z ziemi zalewającego się łzami zbrodniarza, tłum, zachowując grobowe milczenie zaczął się rozstępować na prawo i lewo, aby przepuścić więźnia i eskortującą go policyę. A potem nagle zupełnie nieprzewidzianie odezwało się gwałtowne łkanie wśród całego tłumu. A kiedy opalony słońcem, stary strażnik więzienny, idąc powoli naprzód, zbliżył się ku mnie, ujrzałem coś, czego zapewne w innym wypadku nie zobaczyłbym nigdy, czego prawdopodobnie nie ujrzę już nigdy więcej w życiu, ujrzałem coś, co wogóle oglądały oczy tylko nie wielu ludzi — ujrzałem łzy w oczach surowego policyanta japońskiego.

Liczny tłum zaczął się powoli rozpraszać, pozostawiając mnie samego, pogrążonego w myślach o tej niezwykle dziwnej moralności, jaka odzwierciedliła się w tej tragedyi.

Oto miałem tu do czynienia ze sprawiedliwością surową i niczem nie dającą się zachwiać, ale mimo to pełną litości. A sprawiedliwość ta wpoiła winnemu świadomość jego zbrodni, stawiając

mu przed oczy patetyczny obraz naturalnych następstw tego zbrodniczego czynu. Oto miałem przed sobą rozpaczną skruchę, która, gotowa ponieść śmierć za spełnioną winę, błagała tylko o przebaczenie. Oto stał przedemną tłum ludu — który, w razie gdyby go podrażniono, byłby może najniebezpieczniejszym w całem cesarstwie — tłum ludu, który wszystko rozumiał, który był przystępny wszystkim odruchom wzruszenia, który doznawał niejako zadośćuczynienia, patrząc na przygnębienie i hańbę mordercy, lecz który z drugiej strony nie żywił ślepej żądzy zemsty, którego serce przepełniał smutek z powodu popełnionej przez mordercę winy. A uczuć tych doznawał dzięki prostemu, intuicyjnemu pojmowaniu ciężarów życia i słabości ludzkiej natury.

Ale najbardziej charakterystycznym momentem w całym tym epizodzie, a charakterystycznym również dla całego Wschodu było to właśnie, że ten apel, mający przemówić do sumienia, oparto na uczuciu miłości ojcowskiej w sercu zbrodniarza — na tej potencyalnej miłości ku dziecku, która w duszy każdego Japończyka tak niezmiernie głębokie zapuściła korzenie.

Istnieje w Japonii opowieść, przedstawiająca losy osławionego rozbójnika, nazwiskiem Iszikawa Goëmon. W nocy włamał się on do pewnego domu, tu jednak uśmiech dziecka — które, widząc go, wyciągnęło ku niemu rączęta — wywarł na niego czar tak nieprzemożony, że zapomniał najzupełniej o swoich zbrodniczych zamysłach.

I zabawiając się z dzieckiem, stracił tyle czasu, że ominął chwilę, sposobną do wykonania zamierzonego napadu na mieszkańców domu.

Opowieść ta nie jest bynajmniej nieprawdopobną. Sprawozdania policyjne przedstawiają rok rocznie wypadki tego rodzaju, świadczące o charakterystycznych uczuciach litości i ochraniania dzieci w sercach zawodowych zbrodniarzy.

Przed kilku miesiącami dzienniki miejscowe donosiły o straszliwym wypadku ohydnego wymordowania całej rodziny, mieszkającej w pewnym domu. Siedem osób zostało we śnie formalnie pokrajanych w kawałki. Przywołana policya znalazła w kałuży krwi małe krzyczące dziecko, zupełnie nienaruszone. I było zupełnie widocznem, że morderca musiał postępować z nadzwyczajną troskliwością i staraniem, aby przy ogólnej rzezi dziecko nie poniosło żadnej szkody.

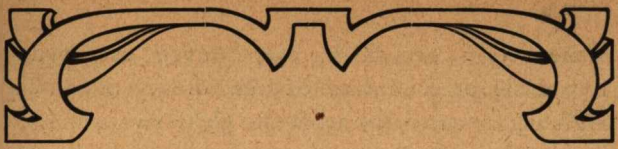

Śpiewaczka uliczna.

Na podwórzu mojego domu stanęła kobieta, trzymająca w ręku *samisen*; towarzyszył jej chłopiec mniej więcej siedmioletni. Weszła na moje podwórze, aby śpiewać. Była ubrana jak wieśniaczka japońska, głowę owinęła w niebieską chustkę. Była bardzo brzydka, a tę naturalną brzydotę potęgowało jeszcze straszliwe oszpecenie przez ospę. Dziecko trzymało w ręku zwitek drukowanych pieśni.

Niebawem poczęli się zbierać na podwórzu sąsiedzi, *inkyos* z okolicznych domów, przeważnie młode matki i dziewczęta do dzieci, trzymające, zwyczajem japońskim, niemowlęta na plecach. Nie brakło jednak także starszych kobiet i mężczyzn. Zeszli się również tragarze uliczni, opuszczając swe stanowiska na rogach placów; całe podwórze było wkrótce szczelnie zapełnione przybyszami.

Śpiewaczka usiadła pod progiem moich drzwi, nastroiła swój instrument, uderzyła kilka akordów akompaniamentu; po krótkiej chwili czar owładnął słuchaczami, spoglądali z podziwem na siebie, uśmiechając się wzajemnie.

Bo z tych brzydkich, oszpeconych ust, wydobywał się przecudowny dźwięk, drzący młodością i głębią, poruszający serca do głębi swoją niewypowiedzianą słodyczą.

— Czy to kobieta, czy też czarodziejka leśna? — zapytał jeden ze słuchaczy.

Była to tylko kobieta, ale bardzo wielka artystka. Sposobem swej gry na *samisenie* mogłaby zawstydzić najbardziej uczoną gejszę; ale czyż wogóle istniała gejsza, któraby posiadała podobny głos, któraby śpiewała podobną pieśń? Spiewała tak, jak tylko dziecko pól śpiewać umie; mogło się wydawać, że wokalne rytmy podsłuchała u słowika lub u konika polnego, podobne półtony i ćwierćtony nie znalazły nigdy wyrazu w muzyce świata zachodniego.

A kiedy tak śpiewała, słuchacze zaczęli cicho płakać. Nie zrozumiałem słów pieśni, ale czułem, jak tęsknota i wdzięk i cierpliwość życia japońskiego wnika wraz z jej śpiewem w moje serce i skarży się, szukając czegoś, co nie istniało tam nigdy. Zdawało mi się, że niedostrzegalna pieszczota krąży i wibruje naokół mnie, że przed mojemi oczyma wstają dawno zapomniane miejscowości i chwile, łącząc się z uczuciami jeszcze bardziej zagadkowemi — z uczuciami wyzwolonemi z czasu i przestrzeni. A potem zauważyłem, że śpiewaczka jest ślepa...

Kiedy zaś pieśń umilkła, zaprosiliśmy śpiewaczkę do domu i zapytaliśmy o koleje jej życia. I ona przeżyła kiedyś lepsze czasy; jako młoda

dziewczyna nauczyła się grać na *samisenie*. Mały chłopczyk był jej synem. Mąż jej był sparaliżowany, ospa pozbawiła ją wzroku. Ale mimo tego była silną i mogła przejść wiele mil. A kiedy chłopiec czuł się zmęczony, niosła go na plecach. Żywiła męża obłożnie chorego, oraz dziecko; śpiewem swoim bowiem wzruszała ludzi do łez, dzięki czemu otrzymywała obficie drobną monetę i pożywienie.

Takie były dzieje jej życia. Daliśmy jej trochę pieniędzy i wieczerzę, poczem odeszła w towarzystwie chłopca.

Kupiłem egzemplarz ballady, traktującej o podwójnem samobójstwie, które wydarzyło się niedawno. Tytuł brzmiał: »Smutna pieśń o kochankach Tamajoné i Takejiro, skomponowana przez Takanaka Joné z pod numeru czternastego czwartej dzielnicy Nippon-Baszi w południowym dystrykcie miasta Osaki«.

Była to oczywiście odbitka drzeworytnicza, ozdobiona dwoma małymi obrazkami. Jeden z nich przedstawiał dziewczę i chłopca, oboje śmiertelnie zasmuconych. Drugi obrazek, rodzaj winiety końcowej, wyobrażał biurko do pisania, gasnącą lampę, otwarty list, czarę z płonącem kadzidłem i wazę zawierającą *Szikimi*, tę świętą roślinę, której wedle obrządku buddystycznego używa się do ofiar dla uczczenia zmarłych. Z niezwykłego tekstu, wydrukowanego kursywą, wyglądającą jak pochyło napisane znaki stenograficzne, można było wyczytać tylko następujące wiersze, brzmiące w tłómaczeniu, jak poniżej:

»W pierwszej dzielnicy Niszi-Hommaszi w głośnej Osace — (oh, jakże smutna jest ta historya Szinszu!).

»Tamajone dziewiętnaście wiosen liczyła — gdy ją zobaczył, pokochał ją Takejiro, młody robotnik.

»I związali się przyrzeczeniem miłości na czas życia obojga — (oh, jakaż boleść gejszę pokochać).

»Na ramionach swych wytatuowali deszczowego smoka i znak »Bambus« — niepomni trosk życia...

»Ale on nie mógł zapłacić pięćdziesięciu pięciu yenów za jej wolność — (oh! biedne Takejiry serce!).

»Dlatego postanowili oboje wspólnie śmierć ponieść, ponieważ nigdy w tem życiu połączyć się nie mogli...

»Wiedziała, że towarzyszki złożą jej w ofierze kadzidło i kwiaty — (oh, jakże źle, że przemijają tak rychło, jak rosa poranna!).

»Tamajone bierze w rękę puhar napełniony czystą wodą i oboje idący na śmierć tak śluby składają.

»Oh, jakże smutne jest samobójstwo kochanków — oh, jak żal ich życia złożonego na ofiarę miłości!«

Słowem, nie było nic niezwyczajnego w tej historyi, nic godnego uwagi w tych wierszach. Czar pieśni miał swe źródło w głosie śpiewaczki. I w długi czas później, kiedy już odeszła, śpiew

jej dźwięczał mi jeszcze w duszy, drżał dziwnem połączeniem tęsknoty i słodkiego umiłowania, tak szczególnie, że nie mogłem się go pozbyć, że musiałem się zastanawiać nad tajemnicą tych magicznych dźwięków.

A myśli moje kształtowały się w ten sposób:

Wszelki śpiew, wszelka melodya, wszelka muzyka są tylko przejawami ewolucyi pierwotnego wyrażania uczuć, tej mowy prostej, nie zepsutej sztuką, która oddaje smutek, radość, namiętność barwnymi dźwiękami. I tak, jak inne mowy, objawiają się w rozmaitych formach, tak samo i ta mowa dźwięków znajduje swój wyraz w rozmaitych kombinacyach. Dlatego melodye, które nas poruszają do głębi, nie znajdują oddźwięku w uszach Japończyków, dlatego melodye, które na nas wywierają wrażenie, nie mają żadnych absolutnie stycznych z uczuciowem życiem rasy, której ustrój duchowy jest tak różny od naszego, jak na przykład barwa niebieska od żółtej.

A jednak czem da się to wytłómaczyć, że w mojem sercu, w sercu cudzoziemca ten śpiew nawskroś wschodni, którego w żadnym wypadku nie potrafiłbym się nauczyć, ten zwyczajny śpiew ślepej kobiety z ludu obudził tak głębokie uczucia?

Niewątpliwie w głosie śpiewaczki musiały się odzywać jakieś pierwiastki, króre mogły potrącić struny czegoś wyższego, niż suma doświadczeń pewnej poszczególnej rasy, czegoś większego, niż samo życie ludzkie, czegoś prastarego, jak poznanie dobra i zła.

I.

Dwadzieścia pięć lat temu, pewnego letniego wieczoru usłyszałem w jednym z parków londyńskich głos dziewczęcy, mówiący »dobra noc« jakiemuś z przechodniów. Nie rzekła nic więcej, prócz tych dwóch małych słówek: »dobra noc«. Nie wiem, kto była ta dziewczyna, nie widziałem nawet jej twarzy, nie słyszałem nigdy więcej jej głosu. A przecież dzisiaj jeszcze, chociaż tyle przeminęło już czasu, samo wspomnienie tych usłyszanych dźwięków budzi w mej duszy niepojęty, szczególny dreszcz radości i cierpienia, cierpienia i radości. Źródło tego uczucia nie może się kryć we mnie, w mojem obecnem życiu, lecz w jakichś przeczuciach prabytu.

Bo to, co stanowi czar głosu, który się raz tylko słyszało, nie może być z tego świata. Kryje się w tem tajemnica. I nie było nigdy dwóch głosów, któreby miały to samo zabarwienie. Ale w mowie miłości tkwi pieszczotliwość dźwięków, wspólnych miryadom głosów całej ludzkości. I nie można wątpić, że nasze zrozumienie dźwięków sympatyi, żałości i litości jest dziedziczne. Tem da się wytłómaczyć, że głos tej ślepej śpiewaczki w mieście dalekiego Wschodu może wywołać głębsze uczucia nawet w sercu człowieka zachodu. Budzi uśpione echa.

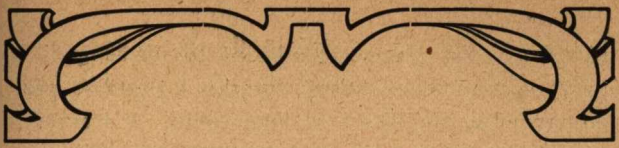

Z dziennika z podróży.

Kiedy Japonka podczas podróży czuje się znużona sennością, a nie może się położyć, wówczas podnosi w górę lewe ramię i zakrywa twarz opadającym szerokim rękawem, zanim zacznie drzemać.

W tym samym wagonie drugiej klasy, w którym się znajduję, siedzą w tej chwili trzy śpiące kobiety, jedna obok drugiej. Wszystkie zasłoniły oblicza lewymi rękawami swych sukien i kołyszą się w takt wstrząśnień wagonu jak kwiaty lotosu, poruszane lekkim wiatrem.

Ten zwyczaj zasłaniania się lewym rękawem jest albo świadomy, albo instynktowny — prawdopodobnie instynktowny, ponieważ prawa ręka najlepiej służy do tego celu, aby podeprzeć się, uchwycić poręczy siedzenia w razie gwałtownego, nieprzewidzianego wstrząśnienia wagonu.

Widok ten jest zarazem piękny i zabawny, ale przedewszystkiem piękny, ponieważ daje on przykład owego wdzięku, z którym wytworna Japonka czyni wszystko, zawsze w sposób ujmujący i nie zwracający uwagi. Ale widok ten ma

również cechy patosu, ponieważ to ułożenie ciała przypomina także wyraz smutku i postawę przy odmawianiu modlitwy w zmęczeniu. A wszystko to wynika z wrodzonego i troskliwie rozwijanego poczucia obowiązku, aby okazywać światu tylko szczęśliwe i zadowolone oblicze.

Przypomina mi to pewne zdarzenie:

Stary sługa mojego domu wydawał mi się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Kiedy ktoś przemówił do niego, uśmiechał się radośnie, podczas pracy miał zawsze wesoły humor, słowem, wydawało się, że troski istnienia nie obchodzą go i nie dotykają zupełnie. Ale pewnego dnia miałem sposobność obserwować go w chwili, gdy sądził, że nikt na niego nie patrzy. I przestraszyła mnie ta twarz, nad którą przestał panować. Nie były to rysy, które przyzwyczaiłem się widywać; twarde linie troski i gniewu, wyżłobione głęboko na obliczu, nadawały mu wygląd człowieka starszego o lat czterdzieści.

Poruszyłem się, aby zwrócić na siebie jego uwagę. I natychmiast twarz jego się wygładziła, złagodniała, rozbłysnęła, niby odmłodzona cudownie. I istotnie był to cud nieustannego, zaprzeczającego własną istotę panowania nad sobą.

I.

Drewniane okienice mojego małego pokoju hotelowego są na oścież otwarte. Promienie słońca,

przenikające złotem gałęzie ogrodu, malują na zasłonie okna ostrolinijny cień drzewa wiśniowego...

Żaden śmiertelny artysta nawet największy mistrz japoński, nie potrafiłby doskonalej oddać tej sylwety. Złożony z barw ciemnoniebieskich, kontrastujących ze świetlistym blaskiem, cudowny obraz ma tony raz miększe, raz głębsze, w miarę zmniejszającej się odległości niewidzialnych gałęzi w ogrodzie. I oto, gdy patrzę na to, przychodzi mi na myśl, czy przypadkiem zastosowanie papieru do celów oświetlania nie wywarło wpływu na sztukę japońską.

Dom japoński, w którym zamknięte są zasłony okien *szojis*, wygląda w nocy jak wielka latarnia papierowa, jak latarnia magiczna, rzucająca ruchliwe, migocące cienie do wnętrza, zamiast na zewnątrz. Podczas dnia padają cienie na *szoji* tylko z zewnątrz; ale rankiem przy wschodzie słońca wyglądają cudownie, gdy promienie słoneczne tak, jak w tej chwili, przelewają się przez piękną przestrzeń ogrodu.

Istnieje stare greckie podanie, które początek sztuki wywodzi z pierwszych nieudolnych usiłowań, aby odtworzyć na murze cień rzucany przez ukochaną istotę. Podanie to nie ma wcale cech nieprawdopodobieństwa. Co więcej, ze znacznem prawdopodobieństwem można przypuścić, że uczucie sztuki ma swoje początki w studyowaniu cieniów. Ale cienie na *szojis* są tak cudowne, że mogłyby one dać nam klucz do rozpoznania ge-

nezy pewnych japońskich zdolności rysunkowych, bynajmniej nie prymitywnych, a raczej rozwiniętych ponad wszelkie porównanie, którycbby w inny sposób nie można wprost wytłómaczyć. Oczywiście trzeba tu także wziąć na uwagę właściwości papieru japońskiego, na którym lepiej rysują się cienie, niż na jakiejkolwiek szybie szklanej, trzeba wziąć na uwagę sam charakter tych cieni. Bo na przykład roślinność świata zachodniego nie daje tak wdzięcznych sylwet, jak drzewa ogrodów japońskich, które, dzięki trostkliwemu pielęgnowaniu przez długie wieki, mają najdoskonalsze kształty, jakie przyroda dopuszcza. Pragnąłbym, aby papier moich *szojis* miał wrażliwość płyty fotograficznej i mógł zatrzymać te przepyszne efekty świetlne, wywołane czarem słonecznych promieni. Bo, niestety, rozpoczęło się już dzieło zniszczenia; sylwety wydłużają się powoli.

Ze wszystkich szczególnie pięknych rzeczy w Japonii najpiękniejsze są dojścia do wysoko położonych miejsc nabożeństwa i spoczynku, drogi, które wiodą »nigdzie« i stopnie, które wstępują w »nicość«.

Właściwym ich czarem jest czar najzupełniejszej harmonii między dziełem rąk ludzkich, a najwspanialszymi nastrojami przyrodzonymi: światła, kształtu i barwy, czar, który pryska w dniach deszczowych. Ale chociaż jest tak kapryśny, niemniej pozostaje cudownym.

Dojście takie zaczyna się zazwyczaj łagodnie się wznoszącą aleją wyłożoną płytami kamiennemi. Ciągnie się ona mniej więcej na przestrzeni pół mili, z obu stron ogradzają ją olbrzymie drzewa. W regularnych odstępach od siebie umieszczone strzegą drogi kamienne potwory. Potem dochodzi się do olbrzymich, wstępujących w mrok schodów, które wiodą na wielką terasę, ocienioną jeszcze potężniejszymi i jeszcze starszymi kolosami drzewnymi. I znowu zaczynają się schody prowadzące na inne terasy, również spowite tajemniczymi cieniami.

Idący wdrapuje się bez przerwy pod górę, wreszcie ponad szarym *torii* ukazuje się brama: mała, pusta, bezbarwna skrzynia drewniana: — *szintomiyia*. Widok tego pustkowia spowitego w drzemiące cienie i w głuchą ciszę sprawia wprost upiorne wrażenie po wszystkich cudach i podniosłych uczuciach długiej wędrówki.

Kto szuka, może znaleść wiele takich objawień buddaizmu. Dla przykładu przytoczę wycieczkę do Higaszi Otani w Kyoto. Wielka ulica prowadzi wędrowca na podwórze świątyni, stamtąd po niezliczonej ilości stopni, potężnych, porosłych mchem, otoczonych wspaniałą balustradą wchodzi się na murowaną terasę. Wędrowiec, patrząc na te wspaniałe obrazy, musi niemal przypuszczać, że drogą ta wiedzie go do jakichś włoskich ogrodów rozkoszy z epoki »Decamerona«. Ale gdy się stanie na terasie, otwiera się nagle przed oczyma brama cichego cmentarza!

Czy buddystyczny twórca tych fantastycznych dróg zamierzał nam przez to przypomnieć, że wszelka wspaniałość, wszelka radość i piękność muszą wreszcie zakończyć się taką ciszą?

II.

Przez trzy dni spędzałem prawie cały czas na wystawie narodowej — ale wystarczyło to zaledwie, aby zyskać ogólne tylko przelotne wrażenie charakteru i znaczenia tej wystawy. Jest to wystawa w przeważającej części przemysłowa. Ale niemal wszystko zachwyca oko: sztuka z bajecznem powodzeniem upiększyła wszystkie dzieła przemysłu. Cudzoziemscy kupcy i bardziej bystrzy obserwatorowie, aniżeli ja, upatrują w tej wystawie inne jeszcze, bardziej ponure znaczenie: widzą najwymowniejszą groźbę, jaką handel i przemysł Wschodu wystosował kiedyśkolwiek pod adresem Zachodu. »W porównaniu z Anglią — pisał o tej wystawie korespondent londyńskiego *Timesa* — stoi jeden *farthing* (mała moneta zdawkowa angielska, czwarta część *penny)* przeciwko jednemu *penny*.«

Historya japońskiej inwazyi z Lancashire jest bardzo dawna. Było to zwycięstwo pokojowe — łatwy proces powolnego wypierania, który się istotnie dokonał...

Wystawa w Kyoto jest dowodem ciągle postępującego naprzód, olbrzymiego rozwoju przemy-

słowego zmysłu przedsiębiorczego. Kraj, gdzie tygodniowa zapłata robotnika wynosi trzy szylingi i gdzie domowe potrzeby życia można pokryć odpowiadającymi temu kosztami, musi pokonać współzawodnika, który, wobec równości wszystkich innych warunków, produkuje czterykroć drożej. I niewątpliwie przemysłowe *Jiujutsu* wyda całkiem nieoczekiwane rezultaty.

Cena wstępu na wystawę jest również charakterystyczna: wynosi ona tylko pięć senów. Ale nawet mimo tej minimalnej opłaty, wystawa przyniesie prawdopodobnie olbrzymie dochody; — tak wielki jest napływ zwiedzających. Tłumy chłopów, przeważnie pieszych wędrowników, — napływają codziennie do miasta, jak gdyby pielgrzymka. — I rzeczywiście jest to także pielgrzymką dla milionów, bo przy tej sposobności ma się odbyć poświęcenie największej świątyni Sinszu.

Właściwa wystawa sztuki wydaje mi się znacznie mniej doniosłą, niż wystawa, urządzona w Tokio w roku 1890. Są i tu piękne rzeczy, lecz liczba ich jest bez porównania mniejsza — może ma to być dowodem, że naród wszystkie swe siły i zdolności wytęża w tej dziedzinie, w której można »zrobić pieniądze«. Bo w tych wszystkich wielkich oddziałach, gdzie sztuka łączy się z przemysłem — więc w ceramice, robotach emaliowych, intarsyi, hafcie — trudno byłoby znaleźć przedmioty piękniejsze i kosztowniejsze. Wysoka wartość niektórych okazów wystawowych spowodowała pewnego z moich japońskich przyjaciół

do zrobienia następującej uwagi, pobudzającej do rozważań:

— Jeżeli Chiny przyswoją sobie metody produkcyjne Zachodu, w takim razie będą mogły zwyciężyć na wszystkich targach świata.

— Być może — odpowiedziałem — ale tylko w dziedzinie tanich towarów. Natomiast nie widzę najmniejszego powodu, dlaczegoby Japonia miała kłaść główny nacisk na tanią produkcyę. Przeciwnie sądzę, że powinna raczej oprzeć swe rachuby na swej przewadze w sztuce i na swym wybornym smaku. Artystyczny duch każdego narodu posiada specyalną wartość; żadna konkurencya nie może z nim podjąć walki na tem polu. Wśród narodów europejskich Francya jest nalepszym tego przykładem. Bogactwo Francyi nie polega na jej zdolności pokonywania sąsiadów niższemi cenami. Produkcya francuska jest raczej najdroższą na świecie; handluje ona towarami zbytku i piękna. Ale mimo to świat cały kupuje jej towary, ponieważ są najdoskonalsze w swoim rodzaju. Dlaczegóż Japonia nie miałaby się stać Francyą Dalekiego Wschodu?

Najsłabszą częścią oddziału sztuki jest wystawa obrazów olejnych, malowanych na europejską modłę. Niema żadnej absolutnie przyczyny, dla którejby Japończycy nie mogli dokonywać cudów w malarstwie olejnem, jeżeli tylko przy tem będą się kierować swoją własną szczególną metodą artystycznego wyrażania. Ale ich usiłowania, skierowane do naśladownictwa metod Zachodu, nie wzno-

szą się ponad mierność nawet w takich studyach, które wymagają bardzo realistycznego traktowania.

Idealne obrazy olejne podług kanonów sztuki zachodniej znajdują się jeszcze poza obrębem ich możliwości. Być może, że uda im się jeszcze odkryć dla siebie samych nowe drogi, wiodące do piękna — może nawet w malarstwie olejnem, o ile przystosują metodę do specyalnych wymogów narodowego ducha. Dotąd jednak nic jeszcze tego nie zapowiada.

Obraz nagiej kobiety, przeglądającej się w wielkiem zwierciedle, wywarł bardzo niekorzystne wrażenie. Dzienniki japońskie zażądały usunięcia tego dzieła z wystawy, a żądaniu temu towarzyszyły niezbyt pochlebne wyrażenia o zapatrywaniach świata zachodniego. A jednak obraz ten był dziełem japońskiego artysty. Był tandetą, ale śmiało naznaczono na niego cenę trzech tysięcy dolarów.

Umyślnie zatrzymałem się przez chwilę w pobliżu obrazu, aby zbadać wrażenie, jakie sprawia na widzów — zwłaszcza na chłopów. Przyglądali się obrazowi, uśmiechali się pogardliwie, czynili czasem przelotne uwagi i odwracali się, aby zająć się pilnie kilku kakemonami, które też były tego bezporównania godniejsze, aczkolwiek cena ich wahała się tylko między dziesięcioma a pięćdziesięcioma yenami. Uwagi, jakie zasłyszałem, odnosiły się głównie do »cudzoziemskich« idei o dobrym smaku (artysta namalował postać kobiecą z europejską głową). Ale widocznem było, że nikt nie uważa tego obrazu za japoński. Gdy-

by zaś przedstawiał kobietę japońską, tłum niewątpliwie nie byłby tego ścierpiał.

Oburzenie na obraz nie było jednak bądź co bądź nieuzasadnionem. Dziełu temu brakowało wszelkiego idealnego pojęcia; było to poprostu przedstawienie nagiej kobiety. A samo przedstawienie nagiego ciała kobiecego nie jest nigdy sztuką, o ile sztuka jest równoznaczna z idealizmem. Odpychająco działał brutalny realizm obrazu. Idealna nagość może być wzniosłą, najwznioślejszą ze snów ludzkich. Ale naga postać nie jest nigdy wzniosłą. Idealna nagość nie potrzebuje okrycia, ponieważ czar leży w liniach, które są za piękne, aby je okrywać lub łamać. Ale rzeczywisty, żyjący człowiek niema nigdy podobnie doskonałej geometryi ciała...

Pytanie: Czy artysta ma prawo przedstawiać nagość dla niej samej, jeżeli nie umie jej wyzwolić z najdrobniejszego śladu realizmu i osobistości?

Istnieje tekst buddyjski, który twierdzi, że tylko ten jest mądry, kto może widzieć rzeczy w oderwaniu od ich indywidualizmu. I ten sposób buddyjskiego patrzenia jest właśnie tem, co tworzy wielkość prawdziwej sztuki japońskiej.

III.

Najwspanialszy pomnik architektury religijnej w całym kraju wykończono właśnie niedawno.

Wielkie miasto świątyń wzbogaciło się dwoma budowlami, które prawdopodobnie od 2000 lat, odkąd miasto istnieje, nie miały sobie równych. Jedno z tych dzieł cudownych jest darem cesarskiego rządu, drugie darem pracującego ludu.

Świątynią wzniesioną przez rząd jest Dai-Kio-ku-Den, zbudowane ku uczczeniu wspomnienia wstąpienia na tron cesarza Kwammu-Tenno, pięćdziesiątego pierwszego cesarza Japonii i założyciela świętego miasta. Dai-Kio-ku-Den jest poświęcone pamięci tego cesarza; jest to więc świątynia Szinto, jedna z najwspanialszych, jakie istnieją. Pomimo to jednak nie jestto bynajmniej architektura Szinto, lecz raczej podobizna pierwotnego pałacu cesarza Kwammu-Tenno, zbudowana dokładnie podług rozmiarów oryginału. Wrażenie, jakie wywarło to niezwykłe odstępstwo od form konwencyonalnych na uczucie narodowe i głęboką poezyę czcigodnego uczucia, jaką powołuje do życia, może odczuć w pełnej mierze tylko ten, kto wie, że Japonią jeszcze dzisiaj rządzą istotnie zmarli. — Pomniki budownictwa z czasów wzniesienia Dai-Kioku-Den są więcej niż piękne, tak, że nawet w tem najstarszem ze wszystkich miast japońskich, sprawiają niezwykłe wrażenie. Każda z ostrołukowych linij ich załamanych dachów przypomina inne, bardziej fantastyczne epoki. Najbardziej zadziwiającą częścią całości są dwupiętrowe bramy, uwieńczone pięciu wieżami — możnaby wprost powiedzieć ucieleśnione sny chińskie. Szczególny wdzięk dzia-

łania barw jest niemniej pociągający, jak kształt budowli — wynika to z pomysłowego użycia starych zielonych cegieł w różnokolorowym dachu. Wzniosły duch cesarza Kwammu-Tenno raduje się zapewne tem czarownem ożywieniem przeszłości przez architektoniczną nekromancyę.

Ale podarunek ludu dla miasta Kioto jest jeszcze wspanialszy — reprezentuje go olbrzymie Higaszi-hongwanji czyli wschodnia świątynia Hongwan (Szinszu). Czytelnicy ze świata zachodniego zdołają sobie może w przybliżeniu wytworzyć pojęcie o wielkości tej świątyni, jeżeli się dowiedzą, że budowa jej trwała lat siedm i kosztowała ośm milionów dolarów. Ze względu na rozmiary mogą tę świątynię przewyższać inne, tańsze nawet, japońskie budowle, ale każdy człowiek, który jest obeznany z architekturą świątyni buddyjskiej, łatwo zrozumie trudność zbudowania świątyni wysokości stu dwudziestu siedmiu stóp, szerokości stu dziewięćdziesięciu dwu stóp i długości przeszło dwustu stóp. Wskutek swego szczególnego kształtu, a zwłaszcza wskutek silnie załamanych linij dachu wydaje się ta świątynia jeszcze większa, niż jest w rzeczywistości — sprawia wprost wrażenie góry. Ale bądź co bądź w każdym kraju uważanoby ją za budowlę zupełnie niezwykłą, bo oto widzimy tam trawersy długości czterdziedwu stóp, a cztery stopy grube i kolumny, mające w średnicy dziewięć stóp. O wewnętrznej dekoracyi świątyni może czytelnik nabrać chociaż słabego wyobrażenia, gdy wspomnę, że malowi-

dło samych kwiatów lotosu na tylnej ścianie za głównym ołtarzem kosztowało dziesięć tysięcy dolarów. Całe koszta budowy tej świątyni pokryły drobne datki pracującego ludu, a przecież są jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że buddaizm na wygaśnięciu!

Więcej niż sto tysięcy ludu napłynęło z całego kraju na uroczystość otwarcia. Tysiączne masy obozowały na matach, rozłożonych w olbrzymim podworcu świątyni. Przyglądałem się im o godzinie trzeciej w nocy. Podworzec wyglądał, jak jedno wielkie wzburzone morze. Całe te masy wyczekiwały pod żarem wschodzącego słońca niecierpliwie ceremonii otwarcia, które nastąpiło o godzinie siódmej rano. W jednym kącie podworca ugrupowało się przeszło dwadzieścia młodych dziewcząt, całkiem biało odzianych, na głowach w jakichś dziwnych czepcach. Zapytany przezemnie przechodzień objaśnił mi, że są to zawodowe lekarki, rodzaj naszej stacyi ratunkowej, na wypadek, gdyby wśród tłumu ktoś zachorował. Podziwiałem cierpliwość i poddanie się, z jakiem te masy wyczekiwały. Ale bo też ten lud ma powód do tak gorącego kochania tej świątyni, przecież ona jest dziełem jego mozolnej, jużto bezpośredniej, jużto pośredniej pracy.

Bo też niemałą część istotnej pracy przy tem dziele wykonało wielu z nich z miłości. Potężne belki dachu stoczono do Kioto z dalekich stoków górskich z pomocą lin, skręconych z włosów kobiet i dziewcząt, wyznających religię Buddy. Je-

dna z tych lin, przechowana w świątyni, ma długości przeszło trzysta sześćdziesiąt stóp i trzy cale średnicy.

Te dwa wspaniałe pomniki narodowo-religijnego uczucia były dla mnie najpewniejszą zapowiedzią przyszłego powiększenia się tych uczuć pod względem etycznej siły, a zarazem wzrostu narodowego dobrobytu. Chwilowe ubóstwo jest przyczyną pozornego, czasowego upadku buddaizmu. Ale rozpoczyna się już epoka wielkiego dobrobytu. Niektóre zewnętrzne formy buddaizmu muszą upaść, niektóre przesądy szyntoizmu są skazane na zagładę. Ale to, co jest istotą narodu, zapuszczać musi w sercach coraz głębsze korzenie i zahartowywać naród do ciężkich walk życiowych, jakie go obecnie czekają.

Zwiedziłem wystawę rybacką, urządzoną w Hyogo w ogrodzie nadmorskim. Nazywa się ona Warakuen. Znaczy to: ogród przyjemności pokoju. Wystawa przedstawia się jak stary pejzaż z dawnych czasów i zasługuje w zupełności na swoje miano. Poprzez krańce ogrodu widać wielką zatokę, rybaków na łodziach, białe żagle, błyszczące w słońcu i uciekające w dal, na brzegach horyzontu piętrzą się wysoko wierzchołki gór, powleczone wskutek oddalenia łagodnie fioletowymi tonami.

Widziałem stawy o dziwnych kształtach, napełnione przejrzystą wodą morską, w której pływały pięknie zabarwione ryby. Poszedłem do akwaryum, gdzie za szkłem poruszały się ryby

jeszcze dziwniejszego rodzaju — ryby, wyglądające jak małe latawce zrobione ręką dziecka, inne kształtu miecza, zabawne małe rybki nacierające ustawicznie na siebie, ryby błyszczące jak skrzydła motyle i ryby poruszające swemi długiemi pletwami jak kobiety rękami podczas tańcu. Widziałem rozmaite modele łodzi rybackich, sieci i wędki, pułapki na ryby i lampiony, służące do nocnego połowu ryb. Widziałem obrazy, przedstawiające najrozmaitsze sposoby rybołówstwa, jakoteż wyobrażenia plastyczne połowu wielorybów. Jeden z tych obrazów sprawiał szczególne wrażenie; przedstawiał on śmiertelną agonię olbrzymiej ryby uderzonej harpunem, obok na falach czerwonawej piany kołysały się łodzie, na grzbiecie potwora siedziała naga postać rybaka, zadająca cios ostatni; mogłem też widzieć rezultat tego ciosu, czerwony promień krwi.. Słyszałem jak obok mnie jakieś małżeństwo japońskie tłómaczyło małemu chłopcu znaczenie obrazu. Matka mówiła do syna:

— Kiedy wieloryb czuje zbliżający się kres, zaczyna mówić i błaga Buddę o pomoc następującemi słowami: »Namu Amida Butsu»!

Następnie przeszedłem do drugiego oddziału wystawy, gdzie można było widzieć oswojone jelenie, »złotego niedźwiedzia« w klatce, pawie i małpy. Lud karmił piernikami jelenia i niedźwiedzia, zmuszał pawia do roztoczenia ogona, dręczył i drażnił małpy. Usiadłem na werandzie poblizkiego domu letniego, aby wypocząć. Przyszła

tam także rodzina japońska, która przed chwilą oglądała obraz przedstawiający połów wieloryba.

Usłyszałem głos chłopca, który mówił:

— Tam w łodzi siedzi stary, bardzo stary człowiek. Dlaczego on nie popłynie do pałacu króla smoków na dalekiem morzu, tak, jak to uczynił Uriszima.

— Uriszima pochwycił żółwia — odpowiedział ojciec — który nie był wcale żółwiem, lecz córką króla smoków. Za to więc został później wynagrodzony. Tymczasem ten rybak nie schwytał wcale żółwia, a chociażby nawet przypuścić, że go schwytał, to jest on już człowiekiem za bardzo starym, aby się żenić. Dlatego też nie mógłby się dostać do pałacu króla smoków.

Chłopiec spojrzał na kwiaty, na morze, oblane słonecznym blaskiem, na żagle białe, migocące na olbrzymim przestworze wód i na skąpane w fioletach szczyty gór, wznoszących się ponad wszystkiem. A potem zawołał:

— Czy sądzisz ojcze, że gdzieś na całym świecie istnieje miejsce piękniejsze od tego?

Na twarzy ojca pojawiła się słoneczna radość; otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale zanim zdołał wyrzec słowo, dziecko zaczęło skakać wesoło, klaskając z zachwytem w dłonie, ponieważ paw zupełnie nieprzewidzianie roztoczył barwną wspaniałość swego ogona. Wszyscy obecni pospieszyli nagle ku ogrodzeniu ptaka i wskutek tego nie mogłem usłyszeć odpowiedzi na to piękne zapytanie.

Ale potem rozmyślałem nad słowami chłopca i przypuszczam, że odpowiedź brzmiałaby w następujący sposób:

»Nie ulega wątpliwości, mój synu, że ogród ten jest cudownie piękny, ale cały świat jest pełen cudów, może więc istnieją gdzieś ogrody piękniejsze, aniżeli ten, w którym się znajdujemy w tej chwili.

»Ale najpiękniejszy ze wszystkich ogrodów nie znajduje się na naszym świecie; jest to ogród Amida w raju Wschodu.

»A kto w ciągu lat swego życia nie popełnia nic złego, może po śmierci przebywać w tym ogrodzie czarodziejskim.

»Śpiewa tam Knyaku, ptak rajski, pieśni o »Siedmiu krokach« i o »Pięciu siłach« i roztacza wspaniałe swe błyszczące skrzydła, których blask równa się jasności słonecznych promieni.

»Są tam wody mieniące się, jak najkosztowniejsze klejnoty, a na nich kwitną lotosy, których wdzięk nie da się określić słowami. A z kwiatów tych powstają ustawicznie promienne tęcze i świetlane duchy nowo urodzonych Buddów.

»A woda, pluskająca pomiędzy kwiatami lotosu, szepce ich duchom tajemnice prabytu o nieskończonem wspomnieniu i nieskończonej wizyi i o »Czterech uczuciach nieskończonych.

»A na tem miejscu niema różnicy między bogami i ludźmi, bo nawet bogowie muszą ukorzyć czoła przed wspaniałością Amidy. I wszyscy śpiewają pieśń pochwalną, która zaczyna się słowami:

»O miejsce niezmierzonej światłości!«

»Ale te głosy niebiańskie brzmią w wieczność, jak gdyby śpiew choralny tysiąców:

»Nawet to nie jest jeszcze wysoko, można się wznieść wyżej jeszcze — bo i to nie jest rzeczywistością — nie jest jeszcze pokojem«.

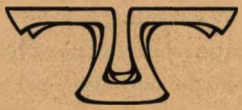

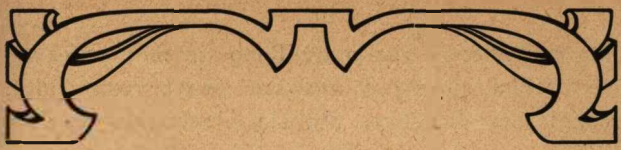

Mniszka w świątyni Amidy.

Kiedy mąż O-Toyi, daleki jej krewny, przygarnięty z miłości przez rodzinę, został powołany do stolicy przez swego lennika, pozostała żona nie martwiła się wcale o przyszłość. W sercu jej panował tylko niezmierzony smutek. Było to pierwsze ich rozłączenie od chwili, kiedy połączyły ich śluby. Ale w tem opuszczeniu pozostał jej jeszcze ojciec i matka, pozostał jej droższy nad wszystko synek — aczkolwiek ledwie sama przed sobą śmiała się przyznać do tego. Pozatem miała zawsze wiele roboty. Trzeba było zajmować się tysiącznemi sprawami domowego gospodarstwa, trzeba było tkać materye na suknie, zarówno jedwabne jak bawełniane.

Raz na dzień zastawiała na cześć swego nieobecnego męża miniaturową ucztę na ozdobnym stoliczku z laki, jaką zwykle zastawia się na cześć duchów zmarłych przodków i na cześć bogów. Ucztę tę przygotowywała we wschodniej stronie pokoju i podsuwała do stolika wezgłowie nieobecnego. Czyniła to zaś z tego powodu we wschodniej stronie pokoju, ponieważ mąż jej wyruszył

ku wschodowi. Zanim O-Toyo zebrała potrawy ze stolika, podnosiła zawsze przykrywkę misy z polewką do góry, aby się przekonać, czy na lakierowanej powierzchni wewnętrznej osiadła para. Tradycya mówi bowiem, że dopóki widać parę na wewnętrznej powierzchni pokrywy, dopóty nieobecny małżonek cieszy się dobrem zdrowiem. Skoro zaś pokrywa jest sucha, dowodzi to, że umarł i że dusza jego sama powróciła, szukając pożywienia. O Toyo znajdowała codziennie grubą perlistą parę na lakierowanej przykrywie.

Chłopiec był jej nieustanną radością. Miał dopiero trzy lata, ale zadawał już takie zapytania, na które jedynie bogowie mogliby odpowiedzieć zadowalniająco. Jeżeli się chciał z nią bawić, odkładała najpilniejsze zajęcie, aby zaspokoić jego życzenie; jeżeli wolał siedzieć przy niej spokojnie, w takim razie opowiadała mu cudowne historye, albo też pobożnie i pięknie tłómaczyła mu rzeczy, których nikt pojąć nie może. Wieczorem, kiedy zapalono małe lampy przed świętym ołtarzem i obrazami, uczyła go słów dziecinnej modlitwy, kiedy zaś ułożył się już do snu, siadała z robotą w ręku przy jego posłaniu, wpatrując się w jego twarzyczkę wzrokiem nieskończonej miłości. Czasami chłopiec uśmiechał się we śnie, a wówczas O-Toyo wiedziała, że bogini Kwannon raduje jego dziecięce serduszko igraszkami ze świata cieni i szeptała buddyjskie zaklęcia, prosząc boginię, która »zawsze łaskawie wysłuchuje pobożnych słów ludzkich«.

Niekiedy w bardzo pogodny dzień wdrapywała się na górę Dakeyami, niosąc synka na grzbiecie. Wycieczka taka sprawiała zawsze wielką przyjemność chłopcu, który dzięki temu wiedział i słyszał niezmiernie wiele rzeczy, pochłaniających zupełnie jego uwagę. Droga, wznosząca się łagodnie pod górę, wiodła przez gaje i lasy, poprzez łąki rozległe, między stromemi górami. Pełno tam było kwiatów, z któremi łączą się przecudowne opowieści, pełno drzew, w których mieszkają duchy. Dzikie gołębie gruchały wesoło: *Korup — korup*, a oswojone odpowiadały im jękliwym głosem: *Owao — Owao;* świerszcze odzywały się z pośród traw, śpiewały i mruczały.

Wszyscy ludzie oczekujący z tęsknotą na nieobecnych członków swej rodziny, pielgrzymują na szczyt góry Dakeyama, o ile tylko znajdą wolny czas potemu. Góra jest widoczną z każdego punktu miasta, ze szczytu jej można ogarnąć wzrokiem kilka prowincyj. Na samym wierzchołku znajduje się kamień wielkości i kształtu człowieka, naokół niego rozrzuconych jest wiele mniejszych kamieni krzemiennych. A opodal znajduje się stara świątynia *szinto,* która w dawnych czasach była poświęcona duchowi pewnej księżniczki. Księżniczka ta umierając z tęsknoty za kochankiem, który udał się w dalekie kraje, wyglądała za nim ze szczytu góry przez długie lata, aż wreszcie żałość zabiła jej ciało i przemieniła je w kamień. Z tego powodu lud wzniósł na górze świątynię, a wszyscy kochający, gdy oczekują powro-

tu nieobecnych krewnych i członków rodziny, modlą się tutaj, aby ubłagać im u bogów szczęśliwy powrót. Po modlitwie każdy człowiek zabiera odchodząc jeden z licznie nagromadzonych tam kamieni. Kiedy zaś oczekiwany powróci szczęśliwie do domu, zwyczaj każe odnieść kamień na szczyt góry i przynieść jeszcze pewną liczbę innych kamieni, jako dar dziękczynny.

Pewnego dnia, zanim O-Toyo ze swoim synkiem zdołała dotrzeć do świątyni, zapadł już mrok. Droga była daleka, O-Toyo z trudem potrafiła przebyć otaczające miasto pola ryżowe, kilkakrotnie też musiała się posługiwać czółnem, co bardzo podróż opóźniało. Chwilami gwiazdy i robaczki świętojańskie oświecały jej drogę, to znowu księżyc pojawiał się na horyzoncie. O-Toyo szła ciągle naprzód, śpiewając swemu synkowi dziecinną piosnkę do księżyca:

Nono-San,
mała dziewczynko księżycowa,
jaki twój wiek?
»Trzynaście dni, trzynaście dni
i dziewięć!«
Jeszcze tak młoda!
Albowiem nosisz pas,
piękny czerwony pas *(obi)*
związany sztucznie
dokoła biódr.
Czy dasz mu konia?
»Nie, ach, nie!«
Czy dasz mu krówkę?
»Nie, ach, nie!«

A z wilgotnych, ciągnących się milami pól brzmiał w jasną noc wielki, łagodnie kołyszący się chór, który wydaje się głosem ziemi — śpiew żab. O-Toyo zaś tłómaczyła swemu dziecięciu znaczenie tego śpiewu, jak następuje:

— Me Kayui, Me Kayui, oczy mnie pieką, chce mi się spać.

To były szczęśliwe dnie i godziny.

I.

Ale później, nagle, w ciągu krótkich trzech dni straszliwe moce, których przeznaczenia wieczyście pozostaną niezbadane, zadały okrutny cios jej sercu. Najpierw otrzymała wiadomość, że ukochany jej małżonek, za którego szczęśliwy powrót tylekroć wznosiła modły do bogów, nie powróci już nigdy do domu, ponieważ pochłonął go grób, ta ziemia, z której powstaje wszystko, co ziemskie. A niedługo później była już pewną, iż mały jej synek zasnął snem tak głębokim, że nie mógł go obudzić do życia najzdolniejszy lekarz chiński. Wszystko to uświadamiała sobie tylko w krótkich chwilach jasności umysłu. Albowiem pomiędzy temi błyskawicami świadomości, panowała w jej umyśle owa głęboka ciemność, którą bogowie zasłaniają ludziom wszelkie myśli.

Wszystko minęło. A kiedy mrok umysłu począł ustępować, ujrzała naprzeciwko siebie odwiecznego wroga ludzkości, którego miano: wspom-

nienie. Wobec innych potrafiła pokazywać twarz łagodną i uśmiechniętą, jak za dawnych czasów, ale gdy zostawała sam na sam ze swojemi wspomnieniami, wówczas siły ją opuszczały. Porządkowała małe zabawki, rozkładała na podłodze małe sukienki dziecięce, głaskała je pieszczotliwie, rozmawiała z niemi najcichszym szeptem, albo też uśmiechała się w milczeniu. Ale uśmiech ten zmieniał się nieraz w konwulsyjne, głośne łkanie. O-Toyo — uderzała głową o ziemię, lub zadawała bogom nierozsądne pytania.

Pewnego dnia przypomniała sobie tajemniczą pociechę, ów zwyczaj, który lud nazywa *Tovitsu-Banashi*, zaklinanie duchów. Czyżby istotnie nie mogła wywołać ducha swego chłopca na krótką chwilę? Wprawdzie zaniepokoiłoby to małą duszyczkę, ale czyż chłopiec nie zniósłby chętnie tej chwilowej boleści ze względu na kochającą go matkę? — Nie mogła wątpić, że byłby gotów wszystko dla niej uczynić.

Aby wywołać ducha zmarłego, trzeba się zwrócić do kapłana buddystycznego lub szyntoisty, który jest obeznany z obrzędem zaklinania. Trzeba też oddać temu kapłanowi tablicę śmiertelną (*ihai*) tego człowieka, którego duch ma się pojawić. Następnie przedsiębierze się ceremonię oczyszczenia, zapala się świece i kadzidła przed *ihai*, odmawia się modlitwy, albo odczytuje ustępy z Sutry, składa się dary z kwiatów i ryżu. Ale ryż, używany do obrzędu, nie może być gotowany.

Kiedy zaś wszystko to jest już dopełnione, wówczas kapłan ujmuje w lewą rękę mały instrument w kształcie łuku i uderzając weń szybko prawą ręką, wywołuje imię zmarłego i wymawia słowa: *Kitazo-jo! Ktazo-jo!* co znaczy: »oto przyszedłem!« — A podczas tego wołania, zmienia się powoli głos kapłana, aż wreszcie ma najdokładniejsze brzmienie głosu zmarłego. Bo duch zmarłego wstępuje w ciało kapłana.

Duch odpowiada szybko na zadawane mu pytania i powtarza bez przerwy:

»Spiesz się, spiesz się, bo ten mój powrót jest bardzo bolesny i mogę tylko krótką chwilę tutaj pozostać!«

A kiedy wreszcie rozmowa się zakończy, duch znika, a kapłan nieprzytomny pada twarzą na ziemię.

Ale wywoływanie duchów jest zdrożną czynnością, ponieważ ponoszą one przez to szkody. Gdy powrócą w podziemia muszą zająć niższe miejsce, niż zajmowały pierwej. Obecnie praktyki te są zabronione ustawami. Niegdyś przynosiły pociechę cierpiącym, ale prawo jest dobrem i sprawiedliwem prawem. Zdarzali się bowiem ludzie, którzy igrali z boskim pierwiastkiem w duszy ludzkiej.

Tak więc pewnej nocy O-Toyo klęczała w samotnej małej świątyni na krańcach miasta przed *ihai* swego syna i wsłuchiwała się chciwie w formuły zaklęcia. Nagle wydało się jej, że słyszy z ust kapłana głos, dobrze jej znany, głos, droższy jej nad

wszystko, ale brzmiący szeptem, cichutko, jak westchnienie wiatru. A głos ten mówił do niej:

— Pytaj prędko, mateczko, pytaj prędko — ciemna jest moja droga i daleka, nie mogę dłużej zwlekać z powrotem.

O-Toyo zapytała, drżąc:

— Czemu muszę opłakiwać moje dziecię? Jakąż jest sprawiedliwość bogów?

A głos odpowiedział jej cicho:

— O matko, nie powinnaś płakać za mną. Umarłem tylko dlatego, abyś ty nie umarła, bo rok ten był rokiem zarazy i smutku; wiedziałem, że masz umrzeć, więc błagałem bogów, aby pozwolili mi umrzeć zamiast ciebie. I wysłuchali moje błagania. O matko, nie opłakuj mnie Nie należy nigdy opłakiwać zmarłych; bezgłośna ich droga wiedzie poprzez rzekę łez, a kiedy matki płaczą, wówczas podnoszą się fale i dusza nie może dojść do swego celu, lecz musi się niespokojnie błąkać tu i tam. Dlatego proszę cię, droga mateczko, nie martw się z powodu mnie; czasem tylko dawaj mi trochę wody.

Od tej godziny nie widziano już nigdy więcej łez w oczach nieszczęśliwej kobiety. Poważnie i w milczeniu wypełniała pobożne obowiązki córki, jak za lat dawniejszych. Mijały dnie i miesiące, a ojciec postanowił wyszukać jej drugiego męża. I zwierzył się z tem matce:

— Gdyby córka nasza mogła mieć jeszcze kiedyś potomka, byłoby to dla niej i dla nas wszystkich największą radością życia.

Ale matka, głębiej patrząca w życie, odpowiedziała:

— Córka nasza nie jest nieszczęśliwą i niema mowy, aby powtórnie złożyła śluby małżeńskie. A przytem stała się taką, jak małe dziecko, które nie zna ani grzechu, ani troski.

I istotnie serce O-Toyi nie doznawało teraz smutku. Coraz częściej jednak objawiała się u niej miłość do całkiem małych przedmiotów. Zaczęło się to tem, że łóżko wydało się jej za wielkie, może skutkiem uczucia pustki, która powstała przez utratę dziecięcia. A potem noc w noc, dzień w dzień, coraz inne rzeczy wydawały się jej za duże: dom, pokój, sypialnia, wazy kwiatowe, nawet naczynia kuchenne. Lubiła jeść ryż tylko z maleńkich miseczek miniaturowemi pałeczkami, jakich używają dzieci. Nie stawiano przeszkód jej kaprysom w tych drobnych sprawach, zwłaszcza, że były to jej jedyne kaprysy. Ale mimo to starzy rodzice nieraz zastanawiali się nad jej przyszłością. Aż wreszcie pewnego dnia odezwał się ojciec:

— Nie można wątpić, że byłoby to wielką przykrością dla naszej córki, gdyby była zmuszona żyć pośród obcych ludzi. A my jesteśmy już tak starzy, że niezadługo będziemy ją musieli opuścić. Może najlepiej byłoby ją namówić, aby została mniszką. Moglibyśmy jej zbudować małą świątynię.

Następnego dnia matka zwróciła się do O-Toyo z następującemi słowy:

— Czy nie chciałabyś zostać pobożną mniszką i zamieszkać w maleńkiej kapliczce z maleńkim ołtarzykiem i małymi posążkami Buddy? Przebywalibyśmy do końca życia w pobliżu ciebie. Jeżeli podoba ci się ta myśl, w takim razie pomówimy z kapłanem, aby cię wykształcił w czytaniu »Sutry«.

O-Toyo zgodziła się chętnie na propozycyę i prosiła tylko, aby jej sporządzono niezmiernie małą suknię mniszą.

Ale dobra matka sprzeciwiła się temu.

— Pobożna i dobra mniszka powinna się posługiwać jak najmniejszymi przedmiotami, ale suknia jest wyjątkiem. Mniszka powinna mieć suknię dużą i szeroką, ponieważ tak nakazuje mistrz Budda.

O-Toyo przyznała słuszność słowom matki i zgodziła się nosić takie same suknie, jakie mają inne zakonnice.

Na pustym placu, gdzie stała niegdyś wielka świątynia Amida-ji, zbudowali starzy rodzice dla O-Toyi małą *andera*, czyli świątynię mniszą, nazwali ją również Amida-ji i poświęcili ją Amidzie-Nyorai i innym Buddom. Ozdobiono nową świątynię bardzo małym ołtarzem i potrzebnymi przyborami, przypominającymi niemal zabawki dziecinne. Był tam mały egzemplarz Sutry, ustawiony na miniaturowym pulcie do czytania, były niewielkie parawany i dzwonki i kakemony. O-Toyo żyła tam bardzo długo, już kiedy rodzice jej pomarli. Ludzie nazywali ją Amida-ji-

no Bikuni, co znaczy »mniszka ze świątyni Amidy«.

Przed samą bramą świątyni stała statua Jizo. Ale ten właśnie Jizo miał szczególne przymioty; był on przyjacielem chorych dzieci. Przed posągiem jego można było prawie zawsze znaleźć złożone w ofierze małe placuszki ryżowe. Oznaczało to, że błagano go o wyzdrowienie jakiegoś chorego dziecięcia; liczba placuszków ryżowych oznaczała liczbę lat chorego dziecięcia. Przeważnie leżały tam tylko dwa lub trzy placuszki, rzadziej można było widzieć siedm aż do dziesięciu. Amida-ji Bikuni, mniszka Amidy opiekowała się troskliwie posążkiem bożka, paliła przed nim kadzidła, ozdabiała go kwiatami ze swego ogródka, ponieważ poza świątynią urządzono jej też mały ogródek.

Kiedy odbyła poranną pielgrzymkę z miseczkami jałmużniczemi, siadała zazwyczaj przy maleńkich krosnach i tkała rozmaite materye, które jednak były zbyt wązkie do rzeczywistego użytku. Mimo to jednak niektórzy właściciele sklepów, którzy znali dzieje życia O-Toyi, chętnie nabywali te tkaniny. W zamian za nie dawali jej malutkie filiżanki, wazoniki na kwiaty i zabawne, karłowe drzewka do jej ogrodu.

O-Toyo czuła się najszczęśliwszą wówczas, gdy przebywała w towarzystwie dzieci, a tego nie brakowało jej nigdy prawie. Dzieci japońskie spędzają zazwyczaj przeważną część dnia na podwórzach świątyń. Wiele też z nich spędziło szczę-

śliwy wiek dziecięcy w świątyni Amida-ji. Wszystkie matki z okolicznych ulic cieszyły się bardzo, gdy ich dzieci tam przebywały i nieraz przykazywały swym małym pociechom, aby nigdy pod żadnym warunkiem nie wyśmiewały się z dobrej Bikuni-San...

— Jej sposób obejścia bywa niekiedy niezwykły — mawiały często do dzieci — ale pochodzi to stąd, że Bikuni-San miała kiedyś małego synka, który umarł. Boleść z tego powodu była zbyt wielką dla jej matczynego serca. To też powinnyście być grzeczne wobec niej i zawsze okazywać jej szacunek.

Dzieci były istotnie bardzo grzeczne, ale nie okazywały O-Toyi szacunku w zwyczajnem znaczeniu tego słowa. Odczuwały one lepiej, jak powinny się w tym wypadku zachowywać. Nazywały ją »Bikuni-San«, pozdrawiały ją przyjacielsko, ale postępowały z nią tak, jak gdyby była równą im wiekiem. Bawiły się z nią, ona zaś dawała im herbatę w maleńkich filiżaneczkach, piekła dla nich placuszki ryżowe, niewiele większe, jak ziarna fasoli, tkała na krosnach tkaniny bawełniane i jedwabne na suknie dla ich lalek.

I była w stosunku do swych małych przyjaciół, jak siostra.

Dzieci bawiły się z nią codziennie, dorastały, stawały się zbyt duże, aby się bawić, i opuszczały podwórze świątyni Amidy, aby rozpocząć ciężką pracę życia, stać się ojcami i matkami dzieci, które później posyłały również na podwó-

rze świątyni. A dzieci tej nowej generacyi kochały Bikuni-San tak samo, jak niegdyś ich rodzice.

Bikuni-San bawiła się z dziećmi w dalszym ciągu, bawiła się już z wnukami tych, którzy przypominali sobie jeszcze z lat dawnych, jak budowano świątynię Amidy. Cała ludność starała się, aby Bikuni-San nie cierpiała jakiegokolwiek niedostatku. Dawano jej więcej, niż potrzebowała dla siebie. To też mogła wskutek tego obdarowywać dzieci tak hojnie, jak to było ich marzeniem; nie zapominała nawet o małych zwierzętach, gnieżdżących się w pobliżu świątyni. Ptaki wiły sobie gwiazda w jej domu, brały bez trwogi pożywienie z jej rąk i zapomniały zupełnie siadywać na głowach Buddów, jak to dawniej czyniły.

I.

Ale pewnego dnia Bikuni-San umarła. Po jej pogrzebie przyszła gromadka dzieci do mojego domu. Mała dziewięcio-letnia dziewczynka wygłosiła do mnie imieniem wszystkich przybywających następującą przemowę:

— Panie, prosimy o dar dla Bikuni-San, która wczoraj umarła. Na grobie jej umieszczono wielki *haka* (kamień grobowy). Jestto bardzo piękny *haka*, ale my chciałybyśmy także postawić na jej grobie całkiem mały *haka,* ponieważ Bikuni San często mawiała za życia, że pragnęłaby mieć taki

malutki *haka*. A kamieniarz przyrzekł nam, że wyrzeźbi taki kamień i ozdobi go bardzo pięknie, jeżeli mu przyniesiemy pieniądze. Więc może byłbyś pan łaskaw dać nam jakiś pieniądz na ten cel.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałem. — Ale obecnie nie będziecie mieć prawdopodobnie miejsca do zabawy?

Mała dziewczynka odpowiedziała z uśmiechem:

— Będziemy się dalej bawić w świątyni Amidy. Bikuni-San jest tam pogrzebana, więc będzie się przysłuchiwać naszym zabawom i cieszyć się niemi.

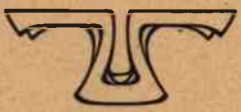

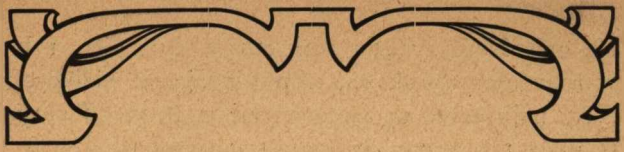

Po wojnie.

Hyogo kąpie się dzisiaj w czarodziejskiem, przejrzystem morzu światła, które trudno wprost opisać słowami. Są to blaski wiosenne, które skutkiem swej woniejącej przejrzystości nadają odległym przedmiotom nieziemskie, duchowe znamiona. Kształty, aczkolwiek silnie zarysowane, są jednak wyidealizowane misterną grą barw, zawieszonych nad niemi; wielkie pagórki po za miastem pną się ku błyszczącemu niebu bez chmur, które wydaje się raczej duchem błękitu, niż samym błękitem.

Ponad szaro-niebieskimi stromymi szczytami dachów kołyszą się i falują niezwykłe twory; widok to nie nowy dla mnie, ale zawsze sprawiający mi przyjemność. Wszędzie poruszają się przytwierdzone na wielkich tykach bambusowych olbrzymie różnobarwne ryby papierowe, które mają zupełnie wygląd i poruszenia żyjących prawdziwych ryb. Przeważna część ich ma od pięciu do piętnastu stóp długości, ale tu i tam można też widzieć mniejszą rybę, niekiedy długości zaledwie jednej stopy, przytwierdzoną do ogona większej ryby.

Na niektórych tykach wisi cztery lub pięć ryb w rozmaitej wysokości, odpowiadającej wielkości ryb; największe są umieszczone u góry. Twory te mają tak wspaniały kształt i barwę, że cudzoziemiec, patrząc na nie po raz pierwszy, jest zupełnie oszołomiony tym widokiem. Sznury, na których ryby wiszą, są zawsze przeciągnięte przez głowę, a wiatr, który ma wolne wejście przez otwarte usta, nietylko rozdyma ciało ryb tak, że wydają się żyjącemi stworzeniami aż do złudzenia, ale nadto nadaje im ustawicznie falujący ruch. Papierowe twory wznoszą się i opadają, podskakują nagle do góry i kręcą się jak żyjące ryby; ogon waha się w różne strony, a pletwy poruszają się zupełnie tak, jak przy istotnem pływaniu.

W ogrodzie mojego sąsiada umieszczono dwa wspaniałe egzemplarze: jedna z ryb ma brzuch pomarańczowej barwy i szaro niebieski grzbiet, druga mieni się połyskiem srebra, obie zaś mają ogromne, upiorne oczy. Cichy szmer, z jakim żeglują ku niebu, brzmi jak szelest trzcin wodnych kołysanych wiatrem. Nieco dalej widzę inną wielką rybę, na której grzbiecie siedzi mały czerwony chłopiec. Ta mała postać jest wyobrażeniem Kintoki'ego, najpotężniejszego ze wszystkich dzieci, które kiedykolwiek przyszły na świat w Japonii. Legenda opowiada, że Kintoki już w niemowlęcym wieku staczał zapasy z niedźwiedziami i zastawiał sidła na ptaki-koboldy.

Każdy wie, że te papierowe karpie czyli *kois*, jak się w Japonii nazywają, wywiesza się na do-

mach tylko podczas wielkiego święta urodzin chłopców, które przypada w piątym miesiącu roku. Umieszczenie takiej papierowej ryby na domu jest zawiadomieniem, że w domu tym przyszedł na świat chłopiec w ciągu ostatniego roku i symbolizuje nadzieje rodziców, że syn ich kiedyś w przyszłości mimo wszystkich przeszkód i trudności zdoła sobie utorować drogę przez życie, taksamo jak żyjący *koi,* szeroki karp japoński pruje wielkie rzeki przeciwko prądowi wody. — W wielu jednak okolicach południowej i zachodniej Japonii rzadko można się spotkać z tymi *kois.* Miejsce ich zastępuje długa, wązka flaga bawełniana zwana *nobori*, która podobnie jak żagiel przytwierdzona jest małemi klamrami i kółkami prostopadle do tyczki bambusowej. Na sztandarze tym widać różnobarwne rysunki *koi* w wirach wodnych, albo obraz szoki, pogromcy demonów, albo też wyobrażenia sosen czy żółwi, które wszystkie są symbolami szczęścia.

Ale w tych jaśniejących słońcem dniach wiosennych roku 2555 japońskiej rachuby czasu, *Koi* stał się symbolem czegoś więcej niż miłości rodzicielskiej: stał się symbolem wielkich nadziei narodu, który z wojny wyszedł zwycięzcą; odrodzenie kraju na polu wojskowem, prawdziwe święto urodzenia »nowej Japonii« rozpoczyna się zwycięstwem nad Chinami. Wojna zakończona, przyszłość, aczkolwiek jeszcze chmurami zakryta, zapowiada najlepsze nadzieje. I jakkolwiek wielkie mogłyby być trudności, które stają w drodze dal-

szym zdobyczom, Japonia nie doznaje ani trwogi, ani skrupułów.

Może w tem bezmiernem zaufaniu w siebie kryje się nawet przyszłe niebezpieczeństwo. Nie jest to jednak uczucie nowe, zrodzone przez zwycięską wojnę; bynajmniej, to dawne poczucie rasowe, które częste zwycięstwa tylko wzmocniły. Od dnia wypowiedzenia wojny nie wątpiono nigdy, ani przez chwilę w ostateczne zwycięstwo. Wszędzie widać było powszechny i głęboki entuzyazm, aczkolwiek poruszenie to nie przejawiało się niczem na zewnątrz.

Poważni mężowie zabrali się zaraz do dzieła, aby spisać dzieje tryumfów japońskich. Te historye, ogłaszane w tygodniowych lub miesięcznych publikacyach i ozdobione drzeworytami lub rycinami fotograficzno-litograficznemi, rozszerzyły się licznie w całym kraju na długi czas przedtem, zanim cudzoziemscy obserwatorowie odważali się wyrażać jakieś przypuszczenia o ostatecznym wyniku wojny. Naród japoński był od samego początku świadomy swej siły i bezsilności Chin.

Handlarze zabawek dziecinnych rzucili na targi niezliczone ilości zabawek skonstruowanych z pomysłowym mechanizmem. Przedstawiały one chińskich żołnierzy uciekających, albo też zabijanych przez rycerzy japońskich, albo wreszcie prowadzonych do więzienia i skrępowanych własnymi warkoczami; przedstawiały słynnych jenerałów chińskich, błagających o łaskę, lub składających *Kotau* (akt poddańczy). W miejsce staro-

dawnych zabawek dziecinnych, wyobrażających samurajów w pełnej zbroi, pojawiły się figurki z gliny, drzewa, papieru i jedwabiu, przedstawiające japońską konnicę, piechotę i artyleryę, modele twierdz i bateryj, portrety znakomitości wojennych. Zdobycie szańców Portu Arthura przez brygadę Kumamoto dało temat do bardzo pomysłowej mechanicznej zabawki. Inne, niemniej pomysłowo skonstruowane, przedstawiały walkę Matsuszima-Kan z pancernikami chińskimi. Sprzedawano też miryady maleńkich karabinków, wiatrówek, które z głośnym hukiem wyrzucały korek, sprzedawano olbrzymie ilości maleńkich mieczów i małych trąbek wojennych, których nieustanne granie przypominało mi hałas trąb w wieczór noworoczny w Nowym Orleanie.

Każda wieść o zwycięstwie powodowała olbrzymią produkcyę barwnych rycin, narysowanych nie zawsze artystycznie i wykonanych tanimi środkami, a ryciny te, aczkolwiek zwykle miały swe źródło tylko w wyobraźni autorów, nadawały się jednak wybornie do tego, aby zagrzać powszechną miłość sławy. Pojawiły się także nadzwyczajne figury szachowe; każda z nich przedstawiała chińskiego albo japońskiego żołnierza lub oficera [1]).

---

[1]) Wywody te mogą dzisiaj, ze względu na wojnę rosyjsko-japońską, wywołać szczególniejsze zainteresowanie.

(*Przyp. tłomacza*).

Po za tem teatry przedstawiały wojnę w jeszcze bardziej plastyczny sposób. I nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że niemal każdy epizod całej wyprawy został odtworzony na scenie. Co więcej, artyści udawali się nawet na pola bitew, aby wystudyować tam szczegóły walki i scenerye, i aby dzięki temu przedstawić scenerye zgodnie z prawdą. Z pomocą sztucznych zamieci śnieżnych, udało im się potem urządzić odpowiadające prawdzie przedstawienie losów wojennych armii mandżurskiej. I dramatyzowano w ten sposób każdy czyn bohaterski. Więc śmierć trębacza Szirakami Genjiro [1]), bohaterską odwagę żołnierza Harada Jinkiszi, który życie swoje postawił na kartę, aby otworzyć swym towarzyszom bramę twierdzy; heroizm czternastu jeźdźców, którzy stawili czoło atakowi trzystu żołnierzy piechoty; uwieńczony pomyślnym skutkiem napad nieuzbrojonych kulisów na oddział chiński. Wszystkie te wypadki i jeszcze wiele innych przedstawiano w tysiącach widowisk teatralnych. Niezliczone iluminacye, podczas których na tysią-

---

[1]) W ciągu bitwy pod Seng-Hwan polecono pewnemu trębaczowi japońskiemu, nazwiskiem Szirakami Genjiro, zatrąbić na apel. Ale trębacz zdołał wydobyć zaledwie jeden ton, gdy kula nieprzyjacielska przebiła mu płuca i powaliła go na ziemię. Towarzysze jego usiłowali mu odebrać z ręki róg, ponieważ widzieli, że rana jest śmiertelna. Ale Szirakami nie dał go sobie odebrać, jeszcze raz podniósł róg do ust, wytężając ostatnie siły, wydobył jeszcze jeden potężny dźwięk, a potem padł trupem na ziemię.

cach lampionów papierowych błyszczały patryotyczne sentencye i wyrazy lojalności, rozgłaszały sławę cesarskiej armii i radowały serce i oczy żołnierzy, udających się kolejno do obozu. W Kobé, którędy ustawicznie odbywał się przemarsz oddziałów wojskowych, urządzano także iluminacyę każdego wieczora przez całe tygodnie, a mieszkańcy, nie wyłączając nawet najuboższych ulic, składali ciągle i ciągle nowe datki na flagi i łuki tryumfalne.

Ale tryumfy wojny zostały też uwiecznione w przemyśle krajowym. Heroiczne czyny i zwycięstwa znalazły swój wyraz zarówno na porcelanie, metalu i kosztownych tkaninach jak w aktualnych ozdobach rysunkowych papieru listowego i okładek książek. Można je było widzieć również na jedwabnej podszewce *Haori* [1]) na szatach kobiecych z *chirimenu* [2]), na haftowanych przepaskach, we wzorach zdobiących koszule jedwabne i odświętne sukienki dziecięce, nie wspominając już o tanich materyach, jak kaliko i drukowane tkaniny bawełniane. Można je było widzieć na wyrobach z laki najrozmaitszego rodzaju, na parawanach jedwabnych i przykrywkach rzeźbionych pudełek, na workach do tytoniu, guzikach,

---

[1]) Rodzaj wierzchniej szaty, którą noszą zarówno mężczyzni jak kobiety, a której podszewka bywa nieraz ozdobiona wspaniałymi rysunkami.

[2]) *Chirimen* jestto krepa jedwabna wyrabiana w rozmaitych gatunkach, z których pewne są bardzo trwałe i bardzo kosztowne.

na szpilkach do włosów i kobiecych grzebieniach, nawet na pałeczkach do jedzenia. Po tanich cenach sprzedawano w małych paczkach wykalacze do zębów, a na każdym wykalaczu widniał jakiś poemat na cześć wojny, wydrukowany miniaturowem pismem.

I aż do zawarcia pokoju, a przynajmniej aż do niedorzecznego zamiaru pewnego *soszi* [1]), który usiłował zabić pełnomocnika chińskiego podczas rokowań pokojowych, wszystko poszło takim torem, jak tego pragnął i spodziewał się naród.

Ale zaledwie rozgłosiły się warunki pokojowe, Rosya natychmiast interweniowała i zapewniła sobie pomoc Francyi i Niemiec do zgniecenia Japonii. Przymierzu temu nikt się nie oparł. Rząd zawiódł oczekiwania narodu uległością, jakiej nikt nie przewidywał. Japonia dawno już pozbyła się wszelkich wątpliwości o swej potędze wojskowej. Siła jej rezerw jest prawdopodobnie większa, niż kiedykolwiek przypuszczano, a japoński system

---

[1]) *Sosżis* są plagą nowoczesnej Japonii. Są to przeważnie studenci, którzy nie ukończyli studyów, a którzy zarabiają na życie, wynajmując się do czynów gwałtu i terroru. Politycy japońscy używają ich bądź to przeciw *sosżis* swoich przeciwników, bądź też jako krzykaczy i rozbijaczy zgromadzeń podczas wyborów. Osoby prywatne wynajmują ich niekiedy do ochrony osobistej. W ostatnich latach podczas przeważnej części niepokojów wyborczych odegrali *sosżis* wielką rolę; wykonali też szereg zamachów na wybitne osobistości. Przyczyny, które w Rosyi wywołały nihilizm, mają wiele podobieństwa do przyczyn, które w Japonii rozwinęły w nowszych czasach klasę *sosżisó'w*.

nauczania, oparty na tysiącu dwudziestu sześciu szkołach jest kolosalną machiną kształcącą. Na swej własnej ziemi mogła Japonia stawić czoło każdej potędze świata.

Flota natomiast była słabą stroną, a słabość tę uświadamiano sobie w zupełności. Była to flota, złożona z małych krążowników, którymi jednak umiano znakomicie operować. Wprawdzie admirał japoński bez straty jednego okrętu zniszczył w dwóch starciach morskich chińską flotę, ale z drugiej strony flota japońska była za słabą, aby módz się oprzeć zjednoczonej sile trzech mocarstw europejskich; kwiat armii japońskiej był zajęty na lądzie. Z wielką roztropnością wybrano najwłaściwszą chwilę do interwencyi, a prawdopodobnie miano na celu jeszcze coś więcej, prócz samej interwencyi. Ciężkie okręty rosyjskie uzbroiły się do walki, a one same wystarczały już, aby zgnieść flotę japońską, aczkolwiek Rosyanie musieliby byli drogo opłacić zwycięstwo. Ale nagle akcya rosyjska została przerwana objawami sympatyi angielskiej dla Japonii. Anglia miała możność zebrać w ciągu kilku tygodni na wodach azyatyckich flotę, mogącą zniszczyć w jednem starciu sprzymierzone siły morskie innych mocarstw europejskich. I jeden strzał, dany z rosyjskiego krążownika, mógłby był wywołać wojnę powszechną świata.

Marynarze japońscy dyszeli pragnieniem, aby podjąć walkę równocześnie ze wszystkiemi trzema mocarstwami. Byłaby to straszna walka, bo

żaden admirał japoński nie ustąpiłby z pola, żaden okręt japoński nie zwinąłby żagli. Także armia lądowa pragnęła gorąco zbrojnego starcia. I istotnie rząd musiał wytężyć całą swą mądrość i energię, by naród powstrzymać od wojny. Ograniczono wolność słowa, nałożono wędzidła prasie, wreszcie zapewniono pokój przez oddanie Chinom półwyspu liaotuńskiego w zamian za większe odszkodowanie wojenne, niż to, jakiego pierwotnie żądano. Rząd japoński postąpił rzeczywiście z nienaganną roztropnością i przezornością, ponieważ w ówczesnem stadyum rozwoju japońskiego kosztowna wojna z Rosyą mogłaby mieć najzgubniejsze skutki dla przemysłu, handlu i finansów państwa. Ale duma narodowa została głęboko zraniona, a kraj dzisiaj jeszcze nie chce przebaczyć rządowi jego postępowania.

Okręt Matsuszima-Kan powrócił z Chin i zarzucił kotwicę przed ogrodem radości pokoju. Nie jest to właściwie kolos, aczkolwiek dokonał olbrzymich dzieł; mimo to jednak wygląda wcale imponująco, gdy w jasnych blaskach słońca kołysze się na powierzchni morza i wznosi się z pośród błękitnych fal jak kamienna, szara twierdza. Uszczęśliwionej zwycięstwem ludności pozwolono swobodnie zwiedzać okręt; przybywający przystroili się odświętnie, jak na wielkie nabożeństwo. I ja otrzymałem pozwolenie zwiedzenia okrętu wraz z kilku innemi osobami. Wydaje się wprost, że wszystkie łódki znajdujące się w porcie wynajęto dla zwiedzających, tak olbrzymią jest ilość

czółen, uwijających się dokoła pancernika wojennego. I jest wprost niemożliwością, równocześnie wpuścić na pokład wszystkich, których przywiodła tu ciekawość. Polecono nam zatrzymać się chwilę, a podczas tego wpuszczono na statek setki tych, którzy dawniej przybyli i którzy teraz zastępują miejsce innych, odchodzących. Ale oczekiwanie nie jest nieprzyjemne, bo chłodne powietrze morskie niezmiernie orzeźwia, a widok radości ludu jest nader interesujący. Jak wesoło, z jakim zapałem cisną się naprzód, gdy przyjdzie na nich kolej! Jak falują i tłoczą się te tłumy! Dwie kobiety wpadają w morze, lecz natychmiast wyławiają je majtkowie; obie Japonki twierdzą, że bynajmniej nie sprawiło im to przykrości, iż wpadły w wodę, ponieważ teraz mogą się chełpić, że życie swoje zawdzięczają załodze zwycięskiego pancernika Matsuszima-Kan. W rzeczywistości nie groziło im wcale niebezpieczeństwo zatonięcia, ponieważ dokoła uwija się legion zwyczajnych żeglarzy, gotowych każdej chwili pospieszyć z pomocą.

Ale majtkom z pancernika Matsuszima-Kan zawdzięcza naród coś bezporównania ważniejszego, niż życie dwóch młodych kobiet, to też ludność stara się ze wszelkich sił dać im poznać swą wdzięczność za ich bohaterskie czyny. Ponieważ przepisy dyscyplinarne zabraniają im przyjmowania jakichkolwiek podarunków, które tysiące osób chętnie chciałoby im ofiarować, więc obecni wyrażają swe uczucia serdecznemi, gorącemi słowami.

Oficerowie i załoga muszą już być niewątpliwie zmęczeni, mimo to jednak uprzejmie przyjmują cisnące się tłumy ciekawych i z zachwycającą wprost grzecznością odpowiadają na zadawane im pytania. Pokazują gościom wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów: olbrzymie armaty, przyrządy do nabijania i celowania, działa szybkostrzelne, elektryczne reflektory i ich mechanizm, rzucający w odległe przestrzenie snopy jasnego światła.

Nawet mnie, który jako cudzoziemiec potrzebowałem specyalnego pozwolenia na zwiedzenie pancernika, oprowadzają wszędzie, do góry i na dół, pozwalają mi rzucić w przelocie okiem na portret pary cesarskiej, umieszczony w kajucie admirała, opowiadają mi bardzo malowniczo przebieg wielkiej bitwy nad Jalu. Podczas tego panami statku są w tym złocistym poranku wiosennym starzy, posiwiali mężczyźni i kobiety z dziećmi. Oficerowie, kadeci, zwykli majtkowie, nie szczędzą trudu, aby okazać im jak największą uprzejmość. Niektórzy rozmawiają z pradziadkami, inni pozwalają dzieciom bawić się rękojeściami swych mieczów, uczą dzieci podnosić w górę rączki i wołać *Teikoku — Banzaj*! Dla zmęczonych matek rozkładają maty, na których w cieniu między pokładami mogą spokojnie wypocząć.

Pokłady te były przed kilku miesiącami jeszcze zaczerwienione krwią dzielnych mężów, tu i tam widać jeszcze czarne plamy, których woda i szczotka zmyć nie zdołały; lud patrzy na te ślady

z serdecznem, prawdziwem nabożeństwem. Okręt admiralski został dwukrotnie trafiony olbrzymimi granatami, wszystkie nieopancerzone części były podziurawione gradem pocisków. Wytrzymał ten atak, ale utracił połowę swej załogi. Pojemność okrętu wynosi zaledwie cztery tysiące dwieście ośmdziesiąt tonn; napadły na niego dwa pancerniki chińskie, każdy o siedmiu tysiącach czterystu tonnach.

Z zewnątrz nie widać na spiżowem ciele głębszych ran, ponieważ spękane płyty pancerne zamieniono na nowe. Ale przewodnik mój wskazuje mi z dumą liczne miejsca naprawione na pokładzie, na stalowych linach okrętowych, na kominach maszyn, wskazuje mi straszne otwory, otoczone wystającemi ostrzami, wyżłobione w grubej na stopę stali lawet armatnich. Pod pokładem objaśnia nam drogę granatu, który przebił okręt.

— Kiedy granat uderzył — tak opowiada — wstrząśnienie wyrzuciło żołnierzy tak wysoko (wskazuje ręką na dwie stopy nad pokład). W tej samej chwili zapanowała ciemność, jak w najczarniejszą noc, nie można było wprost dojrzeć własnej ręki przed oczyma. Gdy się wyjaśniło, przekonaliśmy się, że granat zdruzgotał jedno z największych dział okrętowych i zabił całą załogę, która je obsługiwała. Czterdziestu ludzi padło trupem na miejscu, znacznie więcej odniosło ciężkie rany; ani jeden człowiek, znajdujący się w tej części okrętu, nie wyszedł cało. Pło-

mienie ogarnęły pokład, ponieważ zapas amunicyi eksplodował. Wskutek tego musieliśmy równocześnie toczyć bój i starać się ugasić pożar. Pracowali nawet ciężko ranni, którym skóra zwisała strzępami z twarzy i rąk, jak gdyby nie czuli bólu; umierający ostatnim wysiłkiem pomagali w podawaniu wody do gaszenia płomieni. Ale udało się nam wreszcie salwą z naszych haubic zmusić pancernik »Ting-Yuen« do milczenia. Na okrętach chińskich znajdowali się europejscy kanonierzy; gdyby nie to, zwycięstwo nasze byłoby niezmiernie łatwe!

Przewodnik mój daje temi słowy wyraz powszechnemu nastrojowi... W tym pięknym dniu jesiennym nic nie zdołałoby bardziej rozradować serc załogi pancernika »Matsuszima«, jak rozkaz podniesienia kotwicy i ataku na wielkie krążowniki rosyjskie, znajdujące się na dalekiem wybrzeżu.

I.

Kiedy przed kilku laty jechałem ze Simonoseki do stolicy japońskiej, widziałem po drodze wiele pułków, które właśnie udawały się na pole walki. Wszystkie miały białe mundury, ponieważ gorąca pora roku nie przeminęła jeszcze. Żołnierze ci wyglądali całkiem jak studenci, których uczyłem (i istotnie było wśród nich tysiące takich, których dopiero co wypuszczono ze szkoły). Nie mogłem się pozbyć uczucia, że jednak okrucieństwem jest

posyłanie tego kwiatu młodzieży na pole walki. Wyraz tych twarzy chłopięcych był tak szczery, tak uśmiechający się do świata, tak nieświadomy całkiem poważnego ciężaru życia!

— Nie obawiaj się pan o nich — rzekł mój towarzysz podróży, Anglik, który całe swe życie spędził w obozach — nic im się nie stanie, powrócą w wybornem zdrowiu.

— Wiem o tem — odpowiedziałem — ale myślę w tej chwili o febrze, mrozie i zimie w Mandżuryi. To wszystko jest straszniejsze, aniżeli otwory karabinów chińskich.

Dźwięk trąbki, zwołujący żołnierzy do apelu z chwilą zapadającego zmierzchu, lub oznajmiający czas odpoczynku, od wielu lat brzmiał bardzo miło w moich uszach podczas lata, które spędzałem zazwyczaj w jednem z japońskich miast garnizonowych. Ale podczas tych miesięcy wojny sprawiał na mnie zupełnie inne uczucie ten głos długo przeciągnięty, żałosny. Nie sądzę, aby w samej melodyi było coś niezwykłego, natomiast wydawało mi się nieraz, że trębacz japoński gra ją z jakiemś szczególnem uczuciem; a kiedy melodya ta zabrzmi równocześnie w jasną, gwiaździstą noc z trąb całej dywizyi, wówczas ten bogaty zespół dźwięków ma jakąś melancholijną słodycz, której nigdy nie zdołam zapomnieć. I zapadałem wówczas w jakiś stan rozmarzenia, w którem wydało mi się, jakoby wróg upiorny wzywał młodość i siłę tysięcy do państwa cieniów i wiecznego spokoju.

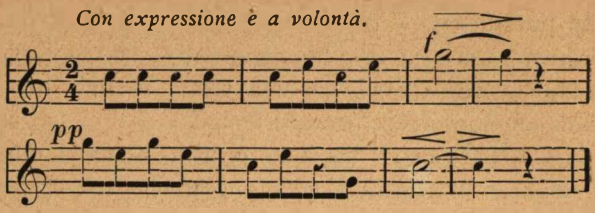

Dzisiaj znowu poszedłem, aby przyjrzeć się powrotowi kilku pułków. Na ulicy, przez którą mieli przechodzić, a która wiedzie z Kobe do stacyi Nanko-San (największej świątyni, poświęconej duchowi bohatera Kusunogi Masaszige), wzniesiono łuki tryumfalne, ozdobione zielenią. Obywatele miasta złożyli sumę sześciu tysięcy jenów, aby mieć zaszczyt podejmowania pierwszą ucztą powracających z wojny żołnierzy; wiele już oddziałów witano i przyjmowano w ten serdeczny sposób. Namioty na wielkiem podwórzu świątyni, gdzie wojsko zasiadło do uczty, przybrano flagami i girlandami, dla wszystkich pułków przygotowano podarunki: słodycze, paczki cygar i tkaniny, na których wydrukowano poematy, wysławiające dzielność japońskiego żołnierza. — Przed samą bramą świątyni wzniesiono także bardzo piękny łuk tryumfalny; na obu jego fasadach były wypisane słowa powitania złotemi głoskami chińskiemi, na szczycie łuku królował sokół, ocieniający kulę ziemską szeroko rozpostartemi skrzydłami.

Najpierw czekałem z Manyemonem na dworcu kolejowym, położonym w pobliżu świątyni. Kie-

dy pociąg zajechał, patrol wojskowy polecił zebranym opróżnić dworzec, zewnątrz na ulicy policya utrzymywała porządek, zapobiegała natłokowi i wstrzymała wszelki ruch. W kilka minut później batalion wyszedł przed budynek dworca. Żołnierze maszerowali szeregami przez łuk tryumfalny, na czele ich szedł posiwiały oficer, który kulał nieco i palił papierosa. Tłum zbił się dookoła nas, ale nie ozwał się ani jeden okrzyk, nie słychać było ani jednego słowa — tylko grzmiący krok żołnierzy rozlegał się wśród wielkiej ciszy.

Nie mogłem wprost uwierzyć, że są to ci sami ludzie, których widziałem wyruszających na pole walki. Tylko odznaki na ich mundurach dowodziły, że tak jest istotnie. Spalone słońcem i ponure były ich twarze; wielu z nich miało wielkie brody. Ciemnoniebieskie mundury zimowe były zwalane brudem i podarte, buty rozbite i zniekształcone, ale równy, pewny, rytmiczny krok był krokiem żołnierzy z krwi i kości. Nie byli to już chłopcy, lecz zahartowani mężowie, gotowi podjąć walkę z każdą armią wojenną świata. Na obliczach nie widziało się ani radości, ani dumy. Twarde, badawcze oczy ledwie przelotnem spojrzeniem zaszczycały tę manifestacyę powitalną, flagi, dekoracye, łuk tryumfalny i umieszczoną na górze kulę ziemską, ocienioną skrzydłami zwycięskiego sokoła. Wynikało to może z tego powodu, że oczy te nieraz spoglądały na rzeczy, które ludzi poważnie nastrajają. Tylko jeden jedyny czło-

wiek uśmiechnął się przechodząc około tłumów, a uśmiech ten przypominał mi wyraz twarzy pewnego żuawa, którego jako chłopiec widziałem podczas powrotu pułków z Afryki: był to uśmiech szyderczy, przenikający do głębi. Wielu obecnych było widocznie wzruszonych, bo intuicyjnie odczuwali przyczynę tej przemiany. Ale jakkolwiek możnaby to tłómaczyć, żołnierze ci byli teraz lepszymi żołnierzami, czekały ich teraz powitania, podarunki i gorące uwielbienie narodu, a potem wypoczynek i wygody w obozach ojczystych.

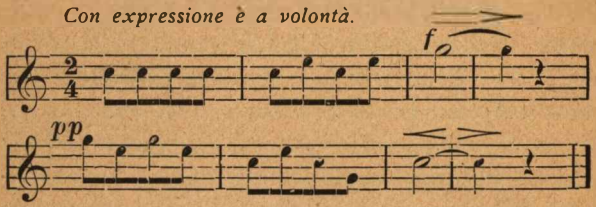

Zwróciłem się do Manyemona i rzekłem:

— Dzisiaj przybędą do Osaki i Nagoji. Usłyszą sygnał trąbki i stanąwszy do apelu przypomną sobie swych biednych towarzyszy, którzy już nigdy nie ujrzą ojczyzny.

Starzec odpowiedział mi z poważną prostotą:

— Ludzie Zachodu sądzą może, że umarli nie powracają nigdy. Ale nasze przekonania w tej kwestyi są zupełnie inne: japońscy zmarli powracają wszyscy, oni znają drogę. Z chińskich pól dalekich powrócą tutaj wszyscy, powrócą i ci,

którzy spoczęli głęboko na dnie morza. Wszyscy są z nami już w tej chwili — wszyscy. A kiedy zmierzch zapadnie, gromadzą się wszyscy i oczekują na sygnał obozowy. I usłyszą go także w tym dniu, w którym oddziały syna niebios wyruszą przeciwko Rosyi.

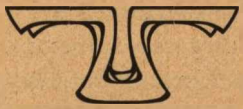

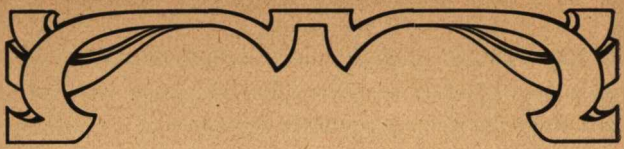

Haru.

W domu ojcowskim wychowano Haru owym staroświeckim sposobem, który wytwarza najmilszy typ kobiet na całym świecie. Wychowanie to kształciło przedewszystkiem prostotę uczuć, naturalny wdzięk w obejściu, posłuszeństwo i poczucie obowiązku, rozwijając to wszystko w stopniu, nieznanym i nieosiągniętym nigdzie poza Japonią.

Dla każdego społeczeństwa, z wyjątkiem dawnej Japonii, rezultat tej metody byłby zbyt subtelnym i pięknym. Nie było to jednak odpowiednie przygotowanie do twardszego życia czasów nowych. Dziewczynę z dobrej rodziny wychowywano tak, aby czuła się zupełnie zależną od męża. Uczono ją, że nie ma nigdy okazywać zazdrości, smutku, ani gniewu; nigdy, nawet w takich okolicznościach, które mogłyby usprawiedliwić podobne uczucia. Oczekiwano po niej, że błędy swego męża i pana będzie pokonywała tylko bronią łagodności. Jednem słowem, kazano jej być stworzeniem prawie nadludzkiem i zewnętrznie przynajmniej ucieleśniać ideał zupełnego wy-

rzeczenia się samej siebie. To mogła spełniać w pożyciu z mężem, równym sobie pochodzeniem, z człowiekiem subtelnego rozeznania a delikatnych uczuć, z człowiekiem zdolnym do odgadywania jej uczuć i nie urażenia ich nigdy.

Haru pochodziła wszelako z daleko lepszej rodziny, aniżeli jej mąż. Była też dlań czemś trochę za dobrem, on bowiem nie mógł jej odczuć do gruntu. Wydano ją za mąż bardzo młodo. Zrazu byli bardzo biedni, a stosunki ich powoli obróciły się na lepsze, gdyż mąż Haru był zdolnym aferzystą. Czasami zdawało się jej, że bardziej ją kochał, gdy jeszcze znajdowali się w skromniejszych warunkach bytu; kobieta rzadko myli się w takich rzeczach.

Haru sporządzała mężowi ubranie, on zaś chwalił ją zawsze za zręczność, jaką okazywała. Uprzedzała wszystkie jego życzenia, pomagała mu przy ubieraniu i rozbieraniu, starała się aby ładne ich mieszkanie było mu jak najmilsze i najwygodniejsze; żegnała go z wdziękiem, gdy zrana szedł do pracy i witała za powrotem; przyjmowała jego przyjaciół bez zarzutu; prowadziła gospodarstwo z oszczędnością godną podziwu i rzadko kiedy domagała się od niego czegoś, co miało spowodować koszta. W rzeczywistości nie potrzebowała prosić o nic podobnego, on bowiem nie był nigdy skąpym i lubił, aby ubierała się ładnie, tak, iż była jak piękna srebrzysta ważka, okryta fałdami skrzydełek. Chętnie też brał ją do teatru i na inne rozrywki. Towarzyszyła mu na

wycieczkach do miejsc, słynnych pięknością kwitnących, wiosennych czereśni, blaskiem robaczków świętojańskich w lecie, albo też purpurą drzew w jesieni. Często przepędzali razem dzień nad morzem, w Maiko, gdzie sosny kołysały się, jak tańczące dziewczęta; albo też popołudnie w Kiyomidzu, w prastarym pałacyku, gdzie wszystko wygląda na sen z dawnych, dawnych czasów. Wielkie lasy spoczywają w głębokim cieniu, szemrzący strumyczek, zimny i czysty wytryska ze skał i słychać zawsze skargę niewidzialnych fletów, które brzmią mile starą piosenką, pieszczotliwym tonem, napoły spokojnym, napoły żałosnym, gdy złote światło konającego słońca wydaje ostatnie tchnienie na błękicie.

Poza temi małemi rozrywkami i wycieczkami, Haru rzadko kiedy opuszczała dom. Krewni jej i męża mieszkali daleko, w innych prowincyach; nie miała wiele wizyt. Lubiła siedzieć w domu, pielęgnować kwiaty do nisz bożków, zdobić pokoje i karmić oswojone złote rybki w stawku w ogrodzie, które na sam jej widok podnosiły główki, gdy się zbliżała.

W życiu jej nie było jeszcze dziecka, któreby wniosło w nie radość lub smutek. Mimo uczesania, jakie noszą mężatki, wyglądała na młodą dziewczynę; była też naiwna, jak dziecko, mimo zmysłu praktycznego w sprawach domowych, zmysłu, podziwianego przez męża, który często posuwał się aż do radzenia się jej w poważnych kwestyach. Może serce jej radziło wtedy lepiej,

niż ładniutka główka; koniec końcem, rada, intuicyjna, czy nie, okazywała się dobrą. Pięć lat żyła z mężem szczęśliwie, on zaś przez ten czas postępował z nią tak delikatnie, jak tylko może postępować młody kupiec japoński z żoną wyższego pochodzenia, niż jego własne.

Potem jednak zaczął stygnąć tak nagle, iż nabrała przekonania, że przyczyną zmiany nie było to, czego słusznie mogła obawiać się bezdzietna żona. Nie mogąc dociec istotnej przyczyny, Haru usiłowała przekonać siebie samą, iż może zapomniała o czem w pełnieniu obowiązków. Daremnie jednak badała swe niewinne sumienie i starała się odgadywać życzenia. Mąż się nie zmieniał. Nie rzucił nigdy nieprzyjaznego słowa, Haru jednak poza nienaturalnem milczeniem wyczuwała tłumioną chęć dotknięcia jej.

Japończyk z lepszego towarzystwa nie łatwo odzywa się niegrzecznie do żony. Uchodzi to za rzecz trywialną i brutalną. Człowiek wykształcony, charakter normalny, odpowiada łagodnie nawet na wyrzuty żony. Według etykiety japońskiej, postawę taką nakazuje najpospolitsza grzeczność. Jestto zresztą postępowanie jedynie możliwe. Kobieta wysubtelniona i wrażliwa niedługo poddaje się ordynarnemu traktowaniu; kobieta z temperamentem mogłaby nawet pozbawić się życia dla jednego słowa, rzuconego w chwili roznamiętnienia, takie zaś samobójstwo hańbi męża na całe życie.

Jest wszakże ciche okrucieństwo, gorsze od słów, a pewniejsze w ciosie, naprzykład zaniedbywanie i obojętność tak wyraźna, że musi budzić zazdrość. Wprawdzie kobiety japońskie są wychowane tak, aby nigdy nie okazywały zazdrości, uczucie to jest jednak starszem od wychowania, tak starem, jak miłość i może tak samo długotrwałem. Kobieta japońska pod swą spokojną maską przeżywa to samo, co jej siostra z zachodu, gdy oczarowując swych gości wieczorem, w głębi duszy rwie się do chwili oswobodzenia, która jej pozwoli puścić wodze samotnej boleści.

Haru miała powód do zazdrości, była jednak zbyt dziecinną, aby natychmiast dorozumieć się o co idzie, służba zaś zbyt była jej oddaną, aby dawać objaśnienia. Mąż dawniej zwykł był spędzać wieczory w jej towarzystwie, czy to w domu, czy gdzieindziej. Teraz jednak co wieczora wychodził sam. Zrazu tłómaczył się interesami; potem nie szukał nawet za pretekstem i nie wspominał, kiedy zamierza wrócić. W ostatnim czasie zachowywał się nawet wobec niej z milczącą niegrzecznością. Zrobił się zeń inny człowiek; »tak, jak gdyby zły duch zaczarował mu serce« — mówiła służba. W istocie zaś dał się schwytać w pułapkę, zręcznie zastawioną. Wolę sparaliżował mu szept pewnej gejszy, uśmiech jej zaślepił mu wzrok. Kobieta ta była o wiele brzydszą od Haru; była wszakże bardzo biegłą w sztuce przędzenia siatek, oszałamiających siatek zmysłowości, które chwytają słabych mężczyzn, pętają coraz

silniej, aż nakoniec przychodzi chwila rozczarowania i ruiny.

Haru nie wiedziała o niczem. Nie przeczuwała nic złego, póki dziwne postępowanie męża nie weszło w zwyczaj a i potem zrozumiała wszystko wtedy dopiero, gdy zauważyła, iż pieniądze męża znikają w obcych rękach. Mąż nigdy jej nie mówił, gdzie spędza wieczory. Ona zaś obawiała się pytać, aby nie uchodzić za zazdrosną. Zamiast przetłomaczyć to, co czuła, na słowa, odnosiła się doń z tak czarującą uprzejmością, że roztropniejszy mąż natychmiast by był pojął wszystko. Ten wszakże był bystrym tylko gdy szło o interesa. Wieczory dalej przepędzał za domem; sumienie przemawiało coraz rzadziej, nieobecność przeciągała się coraz dłużej.

Uczono Haru, że dobra żona nie kładzie się spać, póki mąż i pan nie wróci do domu. Postępowała tak i zaczęła wskutek tego cierpieć na nerwy, zapadać w stany gorączkowe, wywołane bezsennością i smutnemi myślami w długich, samotnych godzinach oczekiwania, gdy służbę oddaliła spać o zwykłym czasie.

Mąż raz tylko, gdy wrócił bardzo późno, rzekł:

— Żal mi, iż z mego powodu tak długo się nie kładłaś. Proszę, nie czekaj więcej nigdy!

Haru, w obawie iż mąż istotnie czynił sobie wyrzuty z jej powodu, uśmiechnęła się przyjaźnie i rzekła:

— Nie chciało mi się spać, ani nie jestem zmęczona. Proszę nie myśleć o mnie, Czcigodny!

On też przestał myśleć o żonie, kontent, iż może wziąć ją za słowo. Niedługo potem nie przyszedł przez całą noc, — drugiej uczynił taksamo i trzeciej nie inaczej. Po tej trzeciej nocy nie przyszedł i na śniadanie do domu. Teraz Haru wiedziała, iż nadszedł czas, kiedy obowiązek małżonki nakazuje przemówić.

Czekała cały ranek, w trwodze o niego, w trwodze o siebie. Nareszcie doszła do świadomości krzywdy, która najgłębiej rani serce kobiece. — Wierni słudzy powiedzieli trochę, reszty mogła się domyślić. Była bardzo chorą, lecz nie czuła tego. Wiedziała tylko, iż jest wielce rozgniewaną, egoistycznie rozgniewaną z powodu bólu, jakiego doznaje, okrutnego, dławiącego, unicestwiającego bólu. Przyszło południe, a jeszcze ciągle przemyśliwała nad tem, jak w najmniej samolubny sposób wypowiedzieć to, co obowiązek nakazywał, pierwsze słowa wyrzutu, jakie miały przejść jej przez wargi. Nagle serce w niej zadrgało, przed oczyma ujrzała ciemność, usłyszała bowiem turkot kół kurumy i głos sługi, który wołał:

— Przybył Szanowny.

Haru powlokła się ku wejściu, aby go powitać, a smukłe jej ciało drgało od gorączki, bólu i trwogi, że ten ból się zdradzi. Mąż przeląkł się, widząc, że Haru, zamiast powitać go jak zwykle z uśmiechem, chwyta małą, drżącą rączką za płaszcz jedwabny, patrzy mu w twarz oczyma, które chcą sięgnąć do głębi duszy i usiłuje mówić, dobywa jednak tylko jedno słowo: »Anata«?

(Ty?). Prawie w tej samej chwili rozwarł się łagodny uścisk dłoni, oczy zawarły się z dziwnym uśmiechem. Zanim mógł wyciągnąć ramię, aby ją wesprzeć, runęła na ziemię. Usiłował podnieść ją, ale życie uciekło już z delikatnej powłoki. Umarła.

Zapanowało oczywiście wielkie zamieszanie. — Biegano po lekarzy, płakano, lamentowano i wykrzykiwano rozpaczliwie jej imię. Ale ona leżała blada, bez ruchu, piękna, z twarzą, z której zniknął ból i gniew; uśmiechała się, jak w dzień wesela.

Ze szpitala przyszło dwóch lekarzy, japońskich lekarzy wojskowych. Rzucali pytania, krótkie, surowe, pytania, które uderzały męża w samo serce. Potem powiedzieli prawdę, która jak stal wyostrzona weszła mu w duszę, świadomą winy, i zostawili samego ze zmarłą.

Ludzie dziwili się, że nie został kapłanem, aby dać wyraz pokucie. Teraz całymi dniami siedzi wśród postawów jedwabiu z Kioto i posągów bożyszcz z Osaki, siedzi poważnie, w milczeniu. Służba uważa go za dobrego pana; nigdy nie odzywa się gniewnie. Często pracuje do późna w noc. Do pięknego domu, gdzie niegdyś mieszkała Haru, sprowadzili się obcy ludzie, a właściciel nigdy tam nie zajrzy. Może obawia się ujrzeć smukły cień, który ustawia kwiaty, albo z wdziękiem łodyżki irysu pochyla się nad złotemi rybkami w sadzawce.

Gdziekolwiek jednak spoczywa, tam w chwilach ciszy zjawia się u wezgłowia cicha postać, szyje,

wygładza, krząta się koło pięknych szat, które niegdyś wkładała, by ją zdradzać. A kiedyindziej — w najpracowitszych chwilach pracowitego życia — głuchnie hałas wielkiego sklepu, ideogramy na ścianach bledną i nikną, a cichy, żałośliwy głos, któremu bogi nigdy nie pozwalają zmilknąć, rzuca mu w serce, nakształt pytania, jedno jedyne słowo:

— »Anata«? (Ty?).

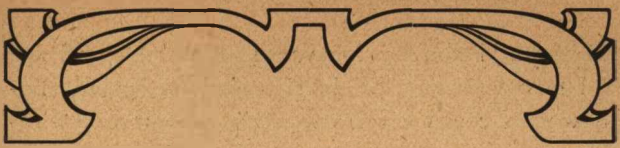

Do rozwoju.

W portach japońskich, które otwarły się dla cudzoziemców, osadnicy obcy stanowią jaskrawy kontrast z ludnością japońską.

Metodyczna brzydota ulic w tych portach budzi wspomnienia miejscowości, nie należących do tej części świata, zupełnie tak, jak gdyby wiatr zawiał tu przez morze fragmenty zachodniego życia: kawałek Liwerpoolu, kawałek Marsylii, Nowego Jorku, Nowego Orleanu. Nie brak też cech, które zatrącają tropicznemi miastami z kolonij, oddalonych o dwanaście lub piętnaście tysięcy mil. Budynki, w stosunku do lekkich, nizkich sklepów japońskich olbrzymie, wyglądają na jakiś groźny gest siły pieniężnej. Banalne ogródki ze strzyżonymi płotami otaczają wszystkie możliwe gatunki budynków mieszkalnych, począwszy od indyjskich »bungalowów« aż do angielskich lub francuskich mieszkań letnich z wieżyczkami i oknami w łuk: białe gościńce są twarde, równe jak stół i obrębione drzewami.

Przewieziono tu wszystko prawie, co przybyło do Japonii z Anglii, z Ameryki. Widzi się wieże

kościelne i kominy fabryczne, słupy telegraficzne i latarnie uliczne. Widzi się domy towarowe, zbudowane z cegieł importowanych, zaopatrzone w rolety z wystawami o szklannych szybach i poręczach z lanego żelaza. Wychodzą tutaj dzienniki ranne i dzienniki wieczorne, tygodniki, otwierają się kluby, czytelnie i kręgielnie, sale bilardowe, bazary, szkoły i kaplice. Egzystują Towarzystwa elektryczności i telefonów, powstają szpitale, sądy, więzienia i policya. Urzędują cudzoziemcy-adwokaci, lekarze, aptekarze, handlują obcy kupcy, cukiernicy, mleczarze, krawcy, nauczyciele, profesorowie muzyki. Jest ratusz, gdzie się załatwiają sprawy gminne, gdzie obradują zgromadzenia publiczne wszelkiego rodzaju, ratusz, używany także na przedstawienia amatorskie, odczyty i koncerty. Czasem zatrzymuje się tam wędrowna trupa teatralna, aby pobudzać mężczyzn do śmiechu, kobiety do płaczu, zupełnie tak samo, jak to czyni w ojczyźnie. Są tam place do kricketa, tory wyścigowe, publiczne ogrody, czyli, jakby powiedziano w Anglii, skwery; są jachtkluby, stowarzyszenia gimnastyczne i szkoły pływania. Brzdąkanie ćwiczeń fortepianowych, hałas orkiestry i miauczenie harmoniki należy do głosów dobrze znajomych, codziennych. Brakuje tylko katarynki.

Ludność składa się z Anglików, Francuzów, Amerykanów, Duńczyków, Szwedów, Szwajcarów, Rosyan z małą domieszką Włochów i Lewantyńczyków. Omałoco nie zapomniałem o Chińczykach. Jest ich wielu i zajęli sami dla siebie cały

kącik okręgu. Dominuje wszakże żywioł angielski i amerykański, z przewagą Anglii. Błędy, a także szlachetne strony ras panujących można tu wystudyować lepiej, niż za oceanem, gdyż w małych zbiorowiskach, tych oazach życia zachodniego na wielkim, nieznanym, dalekim Wschodzie, każdy z natury rzeczy zna wszystkich i wie o nich wszystko. Można nasłuchać się szkaradnych historyj, o których nie warto pisać; ale słyszy się także szlachetne, wielkoduszne czyny ludzi, którzy przedstawiają się sami za egoistów i noszą maski konwencyonalizmu, aby ukryć przed widownią publiczną to, co w nich najlepszego.

Terytoryum, przeznaczone dla obcych, nie jest jednak wielkie. Wystarczy mały spacer, aby je przejść, a nim upłynie trochę czasu, może znów przenieść się do nicości, z której wyszło, a to z przyczyn, które przedstawię. Osady te rozwijają się nader szybko. Wystrzelają z ziemi jak grzyby, na równi z miastami amerykańskiego Zachodu, i wkrótce po skonsolidowaniu dosięgają granicy rozwoju.

Dokoła osady obcych rozciąga się właściwe miasto, przechodząc wreszcie w regiony całkiem nieznane. Świat ten pozostaje dla zwykłego osadnika białego księgą o siedmiu pieczęciach. Uważa on, iż szkoda czasu pójść tam, choćby raz na lat dziesięć. Nie bawi go to wcale, nie zaciekawia, gdyż nie jest on badaczem, lecz poprostu aferzystą i nie ma czasu namyślić się nad tem, jak dziwnem jest wszystko, co go otacza. Przejść

linię osiedlenia, jest w jego pojęciu czemś podobnem do przeprawy przez Ocean Spokojny, przez ten Ocean, który przy całym ogromie nie jest tak szerokim, jak przepaść dzieląca od siebie rasy ludzkie. Gdy kto zapuści się w nieskończony zamęt uliczek japońskich, psy szczekają nań, dzieci się gapią, jak gdyby był jedynym obcym, którego tu kiedykolwiek widziano. Czasem wołają za nim jeszcze »Jin«, »Tojin« albo »Kotojin«, co znaczy: »włochaty cudzoziemiec« i niema żadnej pretensyi do nazwy komplementu.

Kupcy kolonij europejskich przez długi czas zachowywali we wszystkiem swą odrębność i narzucali firmom miejscowym obyczaje handlowe, którym nikt z kupców europejskich nie byłby się poddał, obyczaje, wskazujące jasno na to, iż obcy z góry uważali wszystkich Japończyków za oszustów. Nikt z obcych nie kupował niczego, zanim ów przedmiot nie przeszedł kilkakrotnych najskrupulatniejszych oględzin. Zamówień na import nie przyjmowano, jeżeli nie towarzyszyła im znaczna zaliczka. Daremnie protestowali przeciw temu japońscy kupcy i kupujący. Musieli poddać się tej tyranii. Czekali jednak, aż kolej przyjdzie i na nich. Poddawali się z tą myślą, aby później znaleźć odwet.

Szybki rozwój kolonii cudzoziemskiej i korzystna inwestycya kapitału europejskiego wskazywała im, ile jeszcze mają do nauczenia się, zanim potrafią stanąć o własnych siłach. Zdumiewali się, ale bez cienia podziwu, prowadzili handel z cu-

dzoziemcami lub pracowali w ich służbie, lecz nienawidzili ich z całego serca. W dawnej Japonii kupiec szedł w randze społecznej dopiero po zwykłym wieśniaku — obcy przybysze przybierali książęce tony i bezczelność zwycięzców w kraju podbitym. Jako pracodawcy byli zwykle szorstcy, często brutalni. Przedewszystkiem jednak okazywali niezwykły spryt w zarabianiu pieniędzy, żyli jak królowie i płacili wielkie pensye. — Warto było przejść czas próby w ich służbie, a za to nauczyć się wszystkiego, co było niezbędne do uchronienia kraju przed panowaniem cudzoziemców. Kiedyś — myślano — Japonia będzie miała własną flotę handlową, własne ajencye bankowe na obczyźnie, kredyt za granicą i potrafi otrząsnąć z siebie zarozumiałych przybyszów. Na razie musiano ich znosić — jako nauczycieli.

W ten sposób import i eksport pozostał wyłącznie w ręku obcych i z niczego wzrósł do setek milionów. Dobrze eksploatowano Japonię. Ta wiedziała jednak, że w tej formie płaci poprostu za naukę. Cierpliwość jej była niewyczerpaną i mogła była obudzić przypuszczenie, że krzywdy wyrządzonej nikt nie pamięta. Ale naturalnym biegiem rzeczy, przyszła kolej i na Japończyków.

Pierwszą korzyść przyniósł im wielki napływ ludzi, poszukujących szczęścia na obcym gruncie. Nie można już było utrzymać dawnych zwyczajów handlowych w drodze obniżania cen. Nowe firmy były szczęśliwe, przyjmując zamówienia z całem ryzyko, choćby i bez zaliczek, których

już nie można było żądać. Równocześnie stosunki między obcymi a krajowcami znacznie się polepszyły, gdyż ostatni przejawili niebezpieczną umiejętność: umiejętność bronienia się wspólnie przeciw złemu traktowaniu, tak, iż nawet rewolwerem nie dawali się zastraszyć, nie chcieli zaś znosić nadużyć, a głównych prowokatorów umieli pozbyć się w krótkiej drodze. Brutalniejsza część japońskiej ludności portowej, szumowiny narodu, były nawet gotowe przejść do akcyi zaczepnej, gdyby je czemkolwiek rozdrażniono.

Obcy, którzy zrazu sądzili, że opanowanie całego kraju jest tylko kwestyą czasu, zaczęli dopiero po dwóch dziesiątkach lat rozumieć, jak bardzo omylili się w szacowaniu rasy japońskiej. Japończycy byli wybornymi uczniami, »prawie takimi, jak Chińczycy«. Wypierali małych kupców cudzoziemskich, a niejedno większe przedsiębiorstwo było zmuszone zamknąć interes wskutek konkurencyi japońskiej. Dla firm większych minęły czasy łatwego zysku, zaczął się okres twardej pracy.

W poprzednim okresie, jak to łatwo zrozumieć, obcy zaspokajali swe osobiste potrzeby tylko u obcych, tak, że pod skrzydłami handlu hurtownego rozwinął się wielki handel detaliczny. Teraz ten handel w koloniach cudzoziemskich był skazany na zagładę; niektóre gałęzie zniknęły zupełnie; inne malały w oczach. Dzisiaj, oszczędny cudzoziemiec, pisarz czy subiekt w jakim magazynie, nie może pozwolić sobie na mieszkanie

w hotelach miejscowych europejskich. Za to może przyjąć kucharkę japońską za bardzo małem wynagrodzeniem miesięcznem, — albo też brać jadło z restauracyi japońskiej, danie po pięć do siedmiu senów. Mieszka w domu zbudowanym stylem »nawpół obcym«, a należącym do Japończyka. — Dywany i maty na podłodze są wyrobem japońskim; mebli dostarczył japoński stolarz; koszule, suknie, trzewiki, w których chodzi, laska, parasol, których używa, są roboty japońskiej; nawet mydło na umywalni nosi na sobie japońskie ideogramy. Jeżeli cudzoziemiec ten pali, kupuje ulubione Manila w japońskim składzie tytoniu i cygar, i to o pół dolara taniej na skrzynce, niż w jakiejkolwiek obcej firmie. Jeżeli potrzebuje książek, może je mieć u księgarza japońskiego o wiele taniej, niż u cudzoziemca, wybór zaś jest większy. Fotografuje się w japońskiem atelier — żaden fotograf cudzoziemiec nie utrzyma się w Japonii. Jeżeli interesuje się osobliwościami, zwraca się do Japończyka. Cudzoziemiec policzyłby o sto procent drożej.

Jeśli taki cudzoziemiec ma rodzinę i prowadzi dom, wszystkie jego codzienne potrzeby pokrywają japońscy rzeźnicy, handlarze ryb, mleka, owoców i jarzyn, którzy przynoszą towar do domu. Czasami probuje przez jakiś czas zaopatrywać się u cudzoziemskich dostawców w amerykańskie szynki, słoninę i konserwy, wkrótce jednak spostrzega, że sklepy japońskie dostarczają tego samego towaru po cenie o wiele niższej. Jeżeli pi-

je dobre piwo, to pochodzi ono prawdopodobnie z japońskich browarów; dobrego wina lub likierów dostarcza kupiec japoński pod lepszymi warunkami, niż importer-cudzoziemiec. U firm japońskich nie dostanie tylko takich przedmiotów, na które w gruncie rzeczy nigdy nie może sobie pozwolić: rzeczy kosztownych, kupowanych tylko przez najbogatsze sfery.

Gdy nareszcie, w razie choroby, przyjdzie zwrócić się do lekarza, będzie nim lekarz japoński, ten policzy bowiem honoraryum, wynoszące dziesiątą część tego, co by trzeba zapłacić lekarzowi cudzoziemcowi. Ci z trudnością zarabiają na utrzymanie, jeżeli chcą żyć tylko z praktyki. Nawet w razie gdyby obcy lekarz żądał za wizytę tylko dolara, to znany lekarz japoński może zażądać dwóch i jeszcze zwycięży w tej konkurencyi, gdyż dostarcza lekarstw po cenach, które aptekarza-cudzoziemca musiałyby przyprowadzić o ruinę. Są, rzecz prosta, lekarze i lekarze, tak w Japonii jak i gdzieindziej, Rzadko się jednak trafia, aby lekarz japoński, mówiący po niemiecku, kierownik np. szpitala wojskowego, miał obawiać się konkurencyi w swoim zawodzie. Przeciętny lekarz-cudzoziemiec żadną miarą rywalizować z nim nie może. Japończyk nie zapisuje przy tem recept, z któremi trzeba iść do aptekarza; lekarstwa ma w domu, albo też w szpitalu, którym kieruje.

Tych parę przykładów, wyrwanych na chybił trafił z tysiąca innych, wykazuje, iż cudzoziem-

skie sklepy przestaną wkrótce istnieć. Dalszy byt niektórych przedłużały tylko bezużyteczne, głupie sztuczki paru handlarzy japońskich. I tak próbowano wprowadzić w obieg ohydne mikstury, pod obcą etykietą i w zapieczętowanych flaszkach, po to, aby zdyskredytować importowane towary. Zdrowy zmysł praktyczny kupców japońskich sprzeciwia się jednak na ogół takim nieszlachetnym sposobikom i niedługo trzeba będzie czekać na usunięcie złego. Kupiec japoński może skutecznie konkurować z każdym kupcem obcym, gdyż nietylko umie żyć taniej, lecz nadto składa sobie oszczędności.

Od dłuższego czasu nie miano w osadach europejskich wątpliwości pod tym względem. Panowało za to inne błędne mniemanie, to mianowicie, iż wielkie obce firmy wywozowe i przewozowe wydają się czemś koniecznem, że są nie do pokonania i że handel z Zachodem mogą trzymać cały w ręku bez ograniczenia. Sądzono, iż społeczeństwo japońskie nie zdobędzie nigdy środków potrzebnych na to, aby oprzeć się potędze obcego kapitału i że nie zdoła przyswoić sobie metody posługiwania się kapitałem. Prawda — mówiono — iż handel detaliczny cudzoziemcy postradają, to jednak nie wiele znaczy. Wielkie firmy będą istniały dalej, będą się mnożyły i rozszerzały działalność.

Podczas tego całego okresu zmian zewnętrznych, rosło coraz bardziej owo istotne usposobienie ras względem siebie: odpychanie się między

rasą wschodnią a zachodnią. Z dziewięciu czy dziesięciu pism angielskich, jakie ukazywały się w portach, otwartych dla cudzoziemców, większość dawała codziennie wyraz tej antypatyi w słowach pełnych ironii i lekceważenia. Miejscowa prasa odpowiadała w ten sam sposób i uderzała w ton coraz ostrzejszy. Wprawdzie antyjapońskie pisma nie były, jak sądzę, przedstawicielami absolutnej większości cudzoziemców, reprezentowały jednak zawsze wpływ obcego kapitału i przeważny prąd w kolonii cudzoziemskiej. Angielskie pisma, przychylne Japonii, aczkolwiek prowadzone przez ludzi bystrych i dziennikarsko niezwykle uzdolnionych, nie mogły uśmierzyć ogromnego wzburzenia, jakie wywołał ton przeciwników Japonii.

Na zarzuty barbarzyństwa i niemoralności, podnoszonych w pismach angielskich, odpowiadały pisma japońskie natychmiast sprawozdaniami o skandalicznych zajściach w portach, otwartych dla cudzoziemców, sprawozdania te zaś rozpowszechniały się pośród milionów, zamieszkujących cesarstwo. Kwestyę rasy wniosła do polityki japońskiej potężna Liga przeciw cudzoziemcom. Osady zamieszkiwane przez obcych, przedstawiano jako cieplarnie występku. Oburzenie narodu doszło na koniec do takiej wysokości, że tylko stanowcza nad wyraz postawa rządu mogła była zapobiedz fatalnym wydarzeniom.

Niemniej przeto wydawcy pism cudzoziemskich dolali oliwy do gasnącego ognia, zajmując przy wybuchu wojny z Chinami stanowisko otwarte

za Niebieskiem Państwem. Tej polityki trzymano się przez cały czas wojny. Bez skrupułów ogłaszano wiadomości o zmyślonych klęskach Japonii; zmniejszano niezaprzeczone zwycięstwa. Gdy zaś wojna się skończyła, dał się słyszeć głos przestrogi, aby nie pozwalano Japończykom stać się zbyt niebezpiecznymi. Później znów przyklaskiwano interwencyi Rosyi, manifestacya zaś sympatyi ze strony Anglii, została przyjętą przez Anglików w sposób potępiający.

Takie oświadczenia w takiej chwili, sprawiały wrażenie zniewagi, której nie mógł przebaczyć lud, nie przebaczający nigdy. Były to przejawy nienawiści, lecz zarazem i niepokoju, niepokoju z powodu podpisania nowych traktatów, które stawiały wszystkich obcych pod jurysdykcyę japońską. Był także przejaw strachu, wcale nie bezpodstawnego, strachu przed nową agitacyą przeciwko cudzoziemcom, wzmocnioną poczuciem świeżo obudzonem potęgi narodu.

Symptomy ostrzegawcze takiej agitacyi przejawiły się w powszechnej tendencyi do znieważania i szydzenia z obcych, oraz w gwałtach, kilku zaledwie, lecz niemniej znamiennych. Rząd był zmuszony wydać proklamacye i przestrogi przeciw podobnemu przejawianiu się nienawiści rasowej; ustały też równie szybko, jak się zaczęły. Niema jednak wątpliwości, iż to zaprzestanie kroków wojennych przypisać przedewszystkiem należy przyjaznemu stanowisku Anglii jako mocarstwa morskiego i mądrości jej polityki japońskiej w chwili,

gdy pokój powszechny był silnie zagrożony; Anglia pierwsza też umożliwiła rewizyę traktatów, mimo namiętnych protestów własnych poddanych na Dalekim Wschodzie. Przywódcy ludu musieli jej być za to wdzięczni, w przeciwnym razie nienawiść między Japończykami a Anglikami przybrałaby tak fatalny obrót, jak się obawiano.

Zrazu antagonizm ten był natury rasowej i naturalny w tej formie. Nierozsądna gwałtowność uprzedzeń i nieprzyjaźni, jaka potem się rozwinęła, była nie do uniknienia wobec zaostrzającego się ciągle przeciwieństwa interesów. Cudzoziemiec, jeżeli znał stosunki, nie mógł żywić żadnej nadziei istotnego zbliżenia. Na całe jeszcze stulecia, jak się zdaje, nie do pokonania będą szranki poczucia rasy, różnorodności uczuć, języka, istoty i wiary. Możnaby wprawdzie przytoczyć przykłady serdecznej przyjaźni, polegającej na wzajemnej sile przyciągającej natur wyjątkowych, które odgadnęły się nawzajem drogą intuicyi, wszelako obcy tak samo nie rozumie Japończyka, jak Japończyk jego. A zaś jeszcze szkodliwszem dla cudzoziemca, jak nierozumienie, jest ten prosty fakt, iż obcy nie pojmuje tego, iż jest natrętem. W żadnym razie nie może liczyć na to, aby go traktowano jako Japończyka, nie może zaś liczyć nietylko dlatego, iż ma więcej pieniędzy do rozporządzenia, lecz tylko ze względu na rasę. Powszechną jest regułą, iż dla Japończyka jest inna cena, dla cudzoziemca inna, wyjątek stanowią te tylko handle japońskie, które zależą

prawie wyłącznie od handlu cudzoziemskiego. — Wchodząc do japońskiego teatru, gabinetu figur woskowych, do jakiegokolwiek miejsca rozrywki, nawet do restauracyi, musi się w istocie zapłacić rodzaj taksy za to, że się jest cudzoziemcem.

Japońscy rzemieślnicy, robotnicy lub pisarze nie będą pracowali dla cudzoziemca według taryfy japońskiej, chyba że mają jakiś inny cel na oku, a nie samą zapłatę. Japończycy, właściciele hoteli, nie wstawią do rachunku zwykłych cen, chyba w hotelach, zbudowanych umyślnie dla podróżnych amerykańskich i angielskich. Powstały też wielkie stowarzyszenia budowy hoteli, stowarzyszenia tworzące całe kompleksy podobnych przedsiębiorstw w całym kraju, a dyktujące posiadaczom sklepów i pomniejszym hotelom warunki. Otwarcie przyznano, że Japończycy płacą mniej za utrzymanie, aniżeli obcy, gdy i ci sprawiają więcej kłopotu i to prawda. Ale i na dnie tych faktów również spoczywa poczucie rasy.

Właściciele hoteli, którzy w wielkich centrach pobudowali gmachy specyalnie dla Japończyków, nie przykładają żadnej wagi do klienteli cudzoziemskiej, gdyż najczęściej na niej tracą, po części dlatego, iż dobrze płacący goście japońscy nie lubią hotelów, wyróżnianych przez obcych, a po części dlatego, iż gość zachodni chce mieć osobny pokój dla siebie, który to pokój można daleko korzystniej wynająć całemu towarzystwu japońskiemu z pięciu do ośmiu osób.

W związku z tem niedość bywa uwzględnianym fakt, że w dawnej Japonii pozostawiano stopę wynagrodzenia za usługi — poczuciu honoru osobnika. Właściciel gospody japońskiej dawał potrawy po cenie kosztu, co dzieje się często i teraz na prowincyi. Zysk, jaki miał osiągnąć, zależał od delikatności gościa. Tem się tłomaczy znaczenie »chadai«, czyli datku na herbatę, napiwku. Po ubogim spodziewano się nieznacznej kwoty, po bogatszym większej sumy, stosownie do usług, jakie oddano. Sługa oczekiwał i obliczał wynagrodzenie nietylko według wartości swej pracy, lecz stosownie do majątku pana. Artysta, mając zamówienie od zamożnego amatora, wolał nie umawiać się o cenę. Tylko kupiec starał się zawsze zdobyć na kliencie jak najwięcej w drodze targowania się — i to było niemoralnym przywilejem klasy kupieckiej.

Łatwo można sobie wyobrazić, iż w stosunkach z cudzoziemcami nie było korzystnego rezultatu z pozostawiania nagrody szlachetności płacącego. Dla nas kupno i sprzedaż jest interesem, interes zaś nie kieruje się na Zachodzie czysto abstrakcyjnemi ideami moralności, lecz w najlepszym razie, ideami moralnymi o wartości względnej i charakterze częściowym. Człowiek hojny zawsze znajduje się w przykrej sytuacyi, ilekroć pozostawia się mu do oznaczenia cenę przedmiotu, jaki pragnie nabyć. Jeżeli bowiem nie zna dokładnie wartości pracy i materyału, musi przepłacić przedmiot tak, aby miał pewność, że uczynił wszystko, co

tylko dało się uczynić. Natomiast człowiek skąpy korzysta z sytuacyi, aby zapłacić jak się da najmniej. Dlatego to Japończycy, prowadząc interesa z obcymi, musieli ustanawiać osobne taryfy.

Same jednak stosunki handlowe przedstawiają się wskutek antagonizmu rasowego zawsze nieprzyjaźnie, w mniejszym lub większym stopniu. Obcy musi nietylko płacić drożej za pracę, lecz także wyższy czynsz dzierżawny i wyższy procent. Dom cudzoziemski, płacąc wysokie zasługi, musi zadowolnić się najniższą klasą służby japońskiej. Słudzy tacy niedługo zresztą pozostają na miejscu, gdyż pełnią swe obowiązki niechętnie. Nawet pozorny zapał, z jakim wykształceńsi Japończycy przyjmują pracę u cudzoziemców, ulega zwykle fałszywej interpretacyi. Najczęściej idzie o to tylko, aby przygotować się do działalności w handlach, hotelach i zakładach przemysłowych japońskich.

Przeciętny Japończyk wolałby pracować u współziomka piętnaście godzin na dobę, niż ośm u cudzoziemca, płacącego w dodatku wyższą pensyę. Widziałem ludzi ze stopniem uniwersyteckim, jak pracowali w charakterze sług, ale tylko po to, aby zdobyć pewne specyalne wiadomości.

Nikt, nawet najbardziej powierzchowny cudzoziemiec nie przypuści chyba, iż naród czterdziesto milionowy, naród który koncentruje wszystkie siły na uformowanie absolutnej niezawisłości, że naród taki odda swój handel wywozowy i przywozowy ludziom obcym, zwłaszcza wobec stosun-

ków panujących w portach, otwartych dla cudzoziemców. Istnienie obcych kolonij w Japonii, kolonij zostających pod jurysdykcyą konsularną, było solą w oku dumie narodowej japońskiej, było objawem słabości państwowej.

Tak przedstawiano tę kwestyę w dziennikach, w mowach członków Ligi przeciw cudzoziemcom, w przemówieniach parlamentarnych. Ale zaniepokojenie, wywołane świadomością życzenia narodu, aby opanować cały handel japoński — oraz chwilowymi krokami nieprzyjaźni przeciw obcym osadnikom, było tylko przejściowe między cudzoziemcami. Z całą pewnością siebie utrzymywano, że Japończycy, próbując pozbyć się obcych kupców, zaszkodzą tylko samym sobie. Kupców obcych niepokoiła wprawdzie myśl, że mogą dostać się pod jurysdykcyę sądów japońskich, sądzili jednak, iż istotne zagrożenie ich interesów żywotnych jest niemożliwe, chyba w drodze naruszenia ustawy.

Cóż tam znaczyło, że »Nippon Yusen Kwaisha« podczas wojny zostało jednem z największych Towarzystw żeglugi parowej na świecie, że Japonia pozostawała w bezpośrednich stosunkach handlowych z Indyami i Chinami, że w wielkich centrach przemysłowych Zachodu powstawały ajentury bankowe japońskie, że kupcy japońscy wysyłali swych synów do Europy i Ameryki, aby dać im gruntowne kupieckie wykształcenie? Że tam japońscy adwokaci zdobyli sobie wielką klientelę cudzoziemską, że japońscy inżynierowie

okrętowi i budowniczowie wypchnęli cudzoziemców z posad rządowych, z tego nie wynikało przecież, aby cudzoziemscy ajenci, którzy pośredniczyli w handlu z Europą i Ameryką, byli niepotrzebni.

Cała maszynerya handlowa — mówiono — jest nie do użycia w ręku japońskiem, z uzdolnienia zaś do innych zawodów nie można jeszcze brać miary zdolności handlowych. Kapitał obcy, inwestowany w Japonii, nie mógł przeto ponieść żadnych szkód poważnych z powodu utworzenia się stowarzyszeń, wymierzonych przeciw niemu. Kilka małych domów japońskich niech sobie prowadzi mały interes importowy, wywóz jednak wymaga przecież dokładnej znajomości warunków handlowych w innych częściach świata, wymaga stosunków i kredytu, a tym Japończycy nie rozporządzają.

W lipcu roku 1895 ufność w siebie kupców cudzoziemskich spotkała się z ciężkim ciosem.

Mianowicie pewna firma angielska wytoczyła stowarzyszeniu japońskiemu przed sądem japońskim proces z powodu, że Japończycy odmówili przyjęcia zamówionych towarów. Firma domagała się od oskarżonego towarzystwa odszkodowania w kwocie trzydziestu tysięcy dolarów i nagle ujrzała się w obliczu siły, której istnienia nie przeczuwała nawet.

Oto firma japońska nie apelowała od skazującego ją wyroku sądowego. Oświadczyła, że jest gotową zapłacić całą sumę naraz, gdyby tego za-

żądano. Stowarzyszenie jednak, do którego należała, oznajmiło zwycięzkim Anglikom, że »postąpią zgodnie ze swym interesem, zawierając kompromis«. Firma angielska spostrzegła, iż grozi jej — bojkot, zdolny sprowadzić na nią zupełną ruinę, bojkot, w którym wezmą udział wszystkie centra przemysłowe kraju. Kompromis przyszedł do skutku bardzo szybko, ze stratą dla firmy angielskiej, a w kolonii cudzoziemców zapanowało wielkie przygnębienie.

Oburzano się wielce na niemoralność takiego postępku. Była to wszakże akcya, przeciw której ustawa nic począć nie mogła; wobec bojkotu sądy są bezsilne i okazało się teraz, że Japończycy mogą zmuszać obce firmy do poddawania się ich rozkazom — takiemi środkami, jeżeli inne nie pomogą. Różne gałęzie przemysłu potworzyły organizacye, których postanowienia, rozsyłane telegraficznie, są w stanie zniszczyć konkurencyę i opierać się nawet wyrokom sądowym. Poprzednio próbowali Japończycy raz już bojkotu, lecz z tak małym skutkiem, że uznano ich za niezdolnych do stowarzyszania się. Nowa sytuacya wykazała jednak, że niepowodzenie nauczyło ich wiele i że w razie dalszego rozwoju związków takich, mogą słusznie spodziewać się, iż handel obcy znajdzie się pod ich kontrolą, jeżeli już nie wyłącznie w ich rękach.

W ten sposób spełniłby się najbliższy wielki krok do urzeczywistnienia głosu całego narodu: Japonia dla Japończyków! Choćby kraj stał dalej

dla cudzoziemców otworem, to obce kapitały i ich inwestowanie zależałoby wyłącznie od uznania japońskich stowarzyszeń.

To krótkie przedstawienie sytuacyi wystarczy, by wyjaśnić rozwój ważnego społecznego zjawiska. Nowe traktaty, otwierające kraj dla obcych, szybki rozwój przemysłu i rok w rok wzrastający handel z Europą i Ameryką wywoła niezawodnie napływ cudzoziemców, a ten chwilowy zwrot złudzi nie jednego co do nieuniknionego biegu rzeczy. Starzy, doświadczeni kupcy mniemają wszakże już teraz, że prawdopodobne rozszerzenie portów, oczekiwane właśnie, będzie w istocie równoznaczne z rozkwitem handlu japońskiego, który wyprze obcych kupców.

Osady cudzoziemskie w obecnej formie znikną. Pozostaną tylko niektóre wielkie ajentury, takie, jakie istnieją obecnie we wszystkich portach cywilizowanego świata. W opuszczonych ulicach kolonij cudzoziemskich, w kosztownych domach na pagórkach będą mieszkali Japończycy. Wielkie, cudzoziemskie kapitały nie będą inwestowane w głębi kraju. Nawet praca misyjna chrześcijańska będzie musiała przejść w ręce misyonarzy-krajowców, gdyż tak, jak buddaizm dopóty nie przyjął się w Japonii, dopóki nie głosili go japońscy kapłani, tak chrystyanizm przybierze stałą formę dopiero wtedy, gdy zapanuje zgoda między nim a życiem uczuciowem i społecznem rasy japońskiej.

Zjawisko społeczne, jakie przedstawiliśmy powyżej, da się przedstawić najbardziej zrozumiale w formie porównania. Społeczeństwo da się zestawić w niejednym względzie z organizmem jednostki. Pierwiastki obce, wprowadzone gwałtem do wnętrza układu organizmu, niepozwalające się zasymilować, prowadzą do podrażnienia i częściowego rozkładu, dopóki nie wydostaną się na zewnątrz drogą naturalną, lub też dopóki nie wydali ich się sztucznie. Japonia wzmacnia się wydzielaniem szkodliwych pierwiastków. Naturalny ten proces odbija się w postanowieniu, aby znów objąć w posiadanie wszystkie osady obcych, doprowadzić do zniesienia jurysdykcyi konsularnej i do tego, aby w całem państwie nic nie stało pod kontrolą ludzi obcych. — Przejawia się to także w odprawianiu urzędników-cudzoziemców, w oporze, jaki przeciwstawiają kongregacye japońskie obcym misyonarzom i w śmiałym bojkocie przeciw kupcom-cudzoziemcom. Na dnie tego ruchu rasowego leży jednak coś więcej, niż samo uczucie samodzielności rasowej: leży silne przeświadczenie, iż naród, który posługuje się obcemi siłami, wystawia sobie świadectwo słabości i że w oczach świata handlowego Japonia będzie dopóty stała nizko, dopóki handel przywozowy i wywozowy znajduje się w rękach obcych.

Niejedna wielka firma japońska wyswobodziła się już zupełnie z pod władzy obcych pośredników. Szeroki handel z Indyami i Chinami prowadzi się za pośrednictwem japońskich stowarzy-

szeń żeglugi parowej; połączenie z państwami południowo-amerykańskiemi celem przywozu bawełny wprost, powstanie lada chwila dzięki stowarzyszeniu przewozowemu: »Nippon Yusen Kwaisha«. Ale osady cudzoziemców pozostają nadal ogniskami niepokoju. Dopiero zupełne podbicie ich handlowe drogą niestrudzonej pracy narodowej zadowolni kraj i lepiej niż wojna z Chinami okaże, jakie stanowisko przypada Japonii między narodami świata. Mojem zdaniem zdobycie to nastąpi bezwątpienia.

Jaką będzie przyszłość Japonii?

Nikt nie odważy się na wróżbę pozytywną na tej tylko podstawie, iż tendencye obecne muszą być ważne i na przyszłość! Nie zatrzymujemy się przy fatalnej możliwości wojny ani też wewnętrznych niepokojów, które mogłyby doprowadzić do czasowego zawieszenia konstytucyi i do dyktatury wojskowej, czyli do szogunatu w współczesnej szacie. Niezawodnie jednak przyjdą ogromne zmiany, zarówno na złe, jak na dobre.

Przypuszczając, że zmiany te w istocie zajdą, można już odważyć się na parę przepowiedni, opartych na słusznem twierdzeniu, że naród, pośród szybko następujących po sobie okresów postępu i reakcyi, będzie się starał zasymilować z jak najlepszym wynikiem świeżo zdobyte doświadczenia.

Co do rozwoju fizycznego, to Japończycy z końca bieżącego stulecia będą przewyższali dzisiejszych wielce, tak mi się przynajmniej zdaje, a przemawiają za tem trzy ważne powody. Pierw-

szy, że systematyczny trening wojskowy i gimnastyczny młodzieży japońskiej, już w kilka pokoleń wyda równie dobre rezultaty, jak system militarny w Niemczech: sprowadzi podwyższenie się na ogół wzrostu, obwodu w piersiach i rozwoju mięśni. Dalej należy zważyć, iż mieszkańcy miast zaczynają teraz używać obfitszego pokarmu, i że lepsze pożywienie musi pociągnąć za sobą rezultaty fizyologiczne, które zesumują się w wyższym wzroście przeciętnym. Wszędzie wyrastają jak z pod ziemi małe restauracyjki, w których »potrawy zachodnie« podaje się prawie tak samo tanio, jak japońskie. Po trzecie wreszcie, późniejsze łączenie się par małżeńskich, wskutek odmiennego systemu wychowania i służby wojskowej, musi doprowadzić do pewnej kultury potomstwa. Ponieważ zaś zbyt wczesne małżeństwa już teraz należą raczej do wyjątków, niżeli do reguły, przeto liczba słabych dzieci maleje coraz bardziej. — Już teraz w każdym tłumie, złożonym z Japończyków można dostrzedz wielkie różnice wzrostu, co świadczy, że rasa japońska, w razie zastosowania surowej dyscypliny społecznej, jest zdolna do wielkiego fizycznego rozwoju.

Moralnego rozkwitu trudno natomiast się spodziewać. Raczej czegoś przeciwnego. Dawne etyczne ideały Japonii były bardzo wysokie, a w spokojnych czasach, za dobrotliwych, patryarchalnych rządów, ludzie mogli byli w istocie żyć według takiego ideału. Kłamstwo, nierzetelność i brutalne przestępstwa były wówczas daleko rzadsze, niżeli

teraz, jak wykazuje urzędowa statystyka. Procent przestępców od kilku lat idzie ciągle w górę, co między innemi wskazuje także, że walka o byt znacznie się zaostrzyła. Dawny kanon obyczajowy, który wyrażał się w opinii publicznej, odpowiadał społeczeństwu mniej rozwiniętemu, niż nasze, wszelako nie sądzę, aby można twierdzić, że stosunki pod tym względem były w Japonii gorsze, niż u nas. Pod jednym względem były nawet lepsze z pewnością, gdyż cnotliwość małżeńska Japonek była zawsze wyższą nad wszelkie podejrzenia. Skoro zaś wiemy, że moralność mężów nie była tak bez zarzutu, to nie potrzeba wielu cytatów, aby udowodnić, że na Zachodzie sprawa o wiele lepiej się przedstawiała.

W Japonii umożliwiono młodzieńcom wczesny ożenek, aby uchronić ich przed pokusami lekkomyślnego życia, i można przypuszczać, iż rezultat ten w wielu razach bywał osiągany. Stosunki społeczne były tak dalekie od zachodnich, iż trudno w tym razie ocenić je bezstronnie. W każdym razie nie były one przychylne zawodowemu występowi. W niejednem większem, ufortyfikowanem mieście, gdzie przemieszkiwali książęta, poprostu nie ścierpiałaby gmina domów publicznych. Biorąc bezstronnie na uwagę wszystkie czynniki, widzimy, że dawna Japonia, mimo patryarchalnego systemu życia, może mieć pretensyę do tego, iż pod względem moralności mniej nadarza punktów zaczepnych, niż niejeden kraj zachodni. Ludzie byli lepsi, niżby powinni być

według ustawy. Skoro zaś relacye obu płci mają być uregulowane w drodze ustawowej, żądane reformy nie zawsze mogą obrócić się zaraz na dobre. Nagłe zmiany nie dokonują się na drodze ustawodawczej, ustawy nie mogą budzić bezpośrednio uczuć. Prawdziwy postęp społeczny można osiągnąć tylko w drodze przemiany, wywołanej długą dyscypliną i praktyką. Tymczasem zaś przyrost ludności i zaostrzająca się walka o byt zwiększają egoizm i czynią charakter twardszym, aczkolwiek równocześnie podnoszą bystrość umysłu.

W dziedzinie intellektualnej może bezwątpienia odbyć się wielki postęp, lecz nie tak szybki, jak twierdzą ci, których zdaniem Japonia w ostatnich latach trzydziestu zupełnie się zmieniła. Aczkolwiek wychowanie naukowe przeniknęło do szerszych warstw, to jednak nie mogło natychmiast podnieść cenzusu praktycznej inteligencyi na poziom zachodni. Przeciętne zdolności muszą pozostać na niższej stopie jeszcze przez całe pokolenia. Oczywiście nie zbraknie wyjątków godnych uwagi i już teraz ukazuje się nowa arystokracya — inteligencyi. Istotna przyszłość narodu opiera się wszakże raczej na ogólnej zdolności wielu jednostek, — niżeli na wyjątkowych talentach niewielu. Kto wie, czy nie zależy ona głównie od rozwijania zdolności do matematyki, która to nauka jest pilnie uprawianą. Obecnie jest to punkt drażliwy. Corocznie bardzo wielu studentów nie dostaje się na kursa wyższe, albo-

wiem nie mają zdolności do matematyki. Wszelako w cesarskiej akademii wojskowej osiągnięto wyniki, z których widać, że brakowi temu zaradzi przyszłość. Najtrudniejsze gałęzie wiedzy będą dla dzieci tych, którzy już teraz odznaczyli się na tych polach — mniej nieprzystępne.

Z drugiej strony trzeba jednak być przygotowanym na pewien krok w tył. Dążenia Japonii przechodzą normalną granicę jej sił, a to pewna, że w następstwie muszą opaść aż do tej granicy, lub właściwie znajdą się pod nią. Cofnięcie się takie będzie zarówno naturalne, jak potrzebne, będzie to poprostu rodzaj wzmocnienia się wewnętrznego i przygotowania do jeszcze większych i wznioślejszych aspiracyj. Już teraz widać zapowiedzi tego w działalności niektórych gałęzi pracy społecznej, mianowicie w zakresie nauczania.

Japonia usiłowała wschodniemu umysłowi narzucić przebieg studyów, przekraczający przeciętne zdolności studentów zachodnich; chciała uczynić język angielski językiem krajowym wogóle, lub przynajmniej drugim językiem krajowym; wreszcie chciała drogą takiego wychowania zmienić uczucia i myśli, odziedziczone po przodkach. To graniczyło z szaleństwem. Japonia musi rozwijać swoją duszę, a nie może przyswajać sobie obcej. Jeden z mych dobrych znajomych, który poświęcał się filologii, rzekł raz do mnie, gdy rozprawialiśmy o zaniku dobrego wychowania wśród studentów japońskich: »Niechże pan zważy, iż język angielski był już sam przez się wpły-

wem demoralizującym!« — Spostrzeżenie to jest bardzo głębokie. Przymus, jaki wywierano na cały naród w kierunku uczenia się po angielsku, języka narodu, któremu mówi się zawsze o prawach, nigdy zaś o obowiązkach, był właściwie czemś nieprzezornem.

Polityka ta była zbyt sumaryczną, tak samo, jak zbyt gwałtowną. Pociągała za sobą wielką stratę czasu i pieniędzy i w dodatku przyczyniła się do podkopania poczucia etyki. Wogóle jednak nauka ta, aczkolwiek w niejednym kierunku bezpłodna, nie poszła na marne pod wielu innymi względami. Wpływ języka angielskiego doprowadził w języku japońskim do modyfikacyj, które go uczyniły bogatszym, giętszym i podatniejszym do wyrażania nowych form myślenia, form, stworzonych przez odkrycia współczesnej wiedzy. — Wpływ ten będzie trwał jeszcze długo. Język japoński wchłonie w siebie znaczną ilość słów angielskich, może także niemieckich i francuskich; obecnie już czuć tę absorbcyę w języku klas wykształconych, zarówno jak w żargonie ludności portowej, zaprawnym komicznem przekręcaniem obcych wyrażeń handlowych. Nie ostanie się przed tym wpływem i gramatyczna struktura języka japońskiego, który okazał się podatnym do assymilacyi, jak cały duch tej rasy wogóle i pokazał, że odpowie wszystkim wymaganiom nowych stosunków.

Być może, iż w ciągu najbliższych dziesięcioleci Japonia będzie przyjaźniej niż dotychczas

wspominała swych obcych nauczycieli. Nigdy jednak nie będzie odczuwała wobec Zachodu tego, co swego czasu czuła dla Chin: szacunku zmieszanego z pokorą, który należy się starym zwyczajem ukochanemu nauczycielowi. Mądrości Chin bowiem pożądała Japonia sama z dobrej woli, podczas gdy mądrość Zachodu została jej narzucona przemocą. Także o kaznodziejach angielskich i amerykańskich nie będzie myślała Japonia tak, jak wspomina jeszcze teraz wielkich kapłanów chińskich, ongi wychowujących jej młodzież. Nie będzie też przechowywała pamiątek naszego pobytu w kraju, pamiątek, zawiniętych jak relikwie w jedwab siedemkroć składany, w kasetkach z białego drzewa. A to dlatego, iż nie przynieśliśmy nowej nauki o pięknie, nie umieliśmy przemówić do ich uczuciowego życia.

Moc Karmy.

Wiedza zapewnia, że pierwsza miłość i jej namiętność powstaje niezależnie od doświadczenia osobnika. Inaczej mówiąc: uczucie, które wygląda na najbardziej osobiste ze wszystkich, ma być nieindywidualnem.

Filozofia odkryła ten fakt na długo przedtem. Nigdy też nie było bardziej pociągających teoryj, jak te, które usiłowały wytłómaczyć misteryum namiętności. Natomiast wiedza przyrodnicza ograniczała się na ten temat do paru przypuszczeń. Jest to rzecz ubolewania godna, gdyż metafizycy nigdy nie mogli dać w tej mierze zadowalniającego wyjaśnienia, bez względu na to, czy nauczali, iż widok ukochanej istoty budzi w duszy kochającego wrodzone, a dotychczas drzemiące przeczucie boskiego ideału — czy też przypuszczali, że złudzenie to powstaje dzięki duchom, nieobleczonym w ciało, które szukają inkarnacyi.

Ale zarówno wiedza przyrodnicza, jak metafizyka zgadzają się ze sobą w najważniejszym punkcie; w tym mianowicie, że kochający sami nie mają prawa wyboru, że oboje ich prowadzi na

pasku ten sam wpływ. Wiedza przyrodnicza wyraża się jeszcze bardziej stanowczo w tej mierze; przyznaje, że odpowiedzialność cała spada na zmarłych, nie na żywych. Pierwsza miłość — powiada — powstaje wskutek wspomnień zagrobowych.

Prawdą jest, że wiedza przyrodnicza nie przyznaje, w przeciwieństwie do buddaizmu, abyśmy w szczególnie sprzyjających warunkach mogli przypomnieć sobie doświadczenia, pozbierane w poprzednich bytach i rozpoznawać je znowu. A psychologia, wsparta na fizyologii, zaprzecza nawet, aby istniało niejako dziedziczenie wspomnień w duchu indywidualnym. Przyznaje natomiast, że dziedzicznem być może coś o wiele potężniejszego, aczkolwiek nie tak łatwo dającego się zdefiniować: suma niezliczonych wspomnień po przodkach, suma niezliczonych milionów doświadczeń.

Tym sposobem tłómaczyć się mają nasze najbardziej zagadkowe uczucia, nasze najsprzeczniejsze popędy, najdziwaczniejsze intuicye; wszystko to, co zdaje się niewytłómaczonem pod względem sympatyi i antypatyi, wszystkie niejasne nastroje radości i bólu, które nie tłómaczą się zupełnie doświadczeniem indywidualnem. Nauka ta nie uznała wszakże za zgodne ze swoją powagą, aby zająć się dokładniej tematem pierwszej miłości, aczkolwiek pierwsza miłość, w stosunku do świata niewidzialnego, jest najbardziej tajemniczem ze wszystkich uczuć ludzkich.

W narodach zachodnich problem ten tak się przedstawia:

Każdy młodzieniec dorastający, jeżeli jest zdrów i silny, dochodzi w swym rozwoju do pewnego atawistycznego kresu, w którym uczuwa pewną prymitywną pogardę dla płci słabszej, pogardę, wywołaną poprostu uczuciem fizycznej wyższości.

Ale właśnie w tym czasie, w czasie, gdy towarzystwo dziewcząt wydaje mu się tak mało interesującem, traci nagle równowagę. Przez drogę jego życia przechodzi dziewczyna. Nie widział jej nigdy przedtem, w rzeczywistości różni się ona niewiele od innych dziewcząt, w oczach innych przedstawia się wcale nie cudownie. I w tej samej chwili czuje młodzieniec, iż krew spływa mu do serca jedną potężną falą — zmysły padają pod czar. Od tej chwili aż do końca miłosnego szaleństwa życie jego należy wyłącznie do tej istoty, którą odkrył, o której nic nie wie, oprócz tego, iż nawet promienie słońca wydają mu się piękniejsze, gdy padają na nią. Z pod tego zaklęcia nie wyswobodzi go żadna moc ludzka.

Skąd pochodzi ten czar? Czy jest on siłą, mieszkającą w tem żywem bożyszczu? Nie. Psychologia twierdzi, że to wpływ zmarłych odzywa się i działa w »czcicielu bożyszcz«. Umarli go otumanili. Od nich to idzie owo wstrząśnięcie w sercu kochanków, drganie elektryczne, które żyły jego przenika przy pierwszem spotkaniu się jego ręki z ręką dziewczyny.

Dlaczego jednak zmarli przemawiają doń właśnie przez to dziewczę? To głębsza część zagadki. Rozwiązanie, które dał największy pessymista niemiecki, nie zgadza się z psychologią naukową. »Wybór zmarłych«, jeżeli patrzymy nań ze stanowiska nauki o ewolucyi, opierałby się raczej na wspomnieniu, niż na przewidzeniu. Sens zagadki jest zgoła nie wesoły.

Można wprawdzie dopuścić romantyczną możliwość, że mianowicie zmarli obrali sobie to dziewczę pośród innych dlatego, że w niem żyją, jak w skombinowanej fotografii, mgliste zarysy wszystkich tych kobiet, które ich uszczęśliwiały w dawno minionych czasach. Tak samo jednak można przypuścić, że odkrywają w niej coś z uroku tych niezliczonych kobiet, które niegdyś kochali — daremnie.

Gdyby się przyłączyć do tego bardziej ponurego tłómaczenia, trzebaby sądzić, iż namiętność, aczkolwiek grzebana bez końca, nie może ani umrzeć, ani znaleźć spoczynku. Ci, którzy daremnie błagali o miłość, umierają tylko pozornie. W rzeczywistości żyją dalej w sercach całych pokoleń, aby tęsknota ich raz wreszcie znalazła ukojenie. Czekają może przez całe wieki na reinkarnacyę ukochanych rysów, przetykając sny młodzieńcze mgłą swych wspomnień. Stąd ten błądzący idealizm, wieczny niepokój duszy marzących o kobiecie, której tutaj, na ziemi, nie znaleść.

Na Dalekim Wschodzie inaczej myśli się o tem. To, co chcę obecnie opowiedzieć, odnosi się do buddystycznego rozwiązania naszej zagadki.

Tymi dniami zakończył życie pewien kapłan buddyjski, pośród szczególnych okoliczności.

Był on kapłanem świątyni starobuddystycznej w pewnej wsi niedaleko Osaka. Świątynię tę można widzieć z kolei Kwan-Setsu, jadąc do Kioto.

Był to człowiek młody, poważny, niezwykle piękny. Za piękny na kapłana, mawiały kobiety. Wyglądał na jeden z cudnych posągów, stworzonych przez wielkich buddystycznych rzeźbiarzy dawnej epoki.

Ludzie z jego gminy uważali go za kapłana czystego i uczonego i mieli racyę. Kobiety myślały nietylko o jego cnocie i uczoności, lecz także o fatalnej sile, która przyciągała je wbrew jego woli. Podziwiały go też, na równi z kobietami z innych gmin, w sposób bynajmniej nie święty, a hołdy ich przeszkadzały mu w studyach i pobożnem rozmyślaniu.

Kobiety wymyślały różne preteksty, aby chodzić do świątyni o różnych porach dnia, po to tylko, aby zobaczyć go na chwilę i pomówić z nim. Pytały go o różne rzeczy, tak że musiał odpowiadać z obowiązku i przynosiły ofiary, których nie mógł odrzucać. Niektóre stawiały pytania nieczyste, które zmuszały go do rumieńca. Z natury był on zbyt łagodnym, aby chronić się przed tem twardą odmową. To też zuchwałe dziewczęta z miasta pozwalały sobie na mówienie mu takich rzeczy, jakich by dziewczyna wiejska nigdy nie wyrzekła, rzeczy, które zmuszały go do wzywania ich, aby opuściły świątynię. Im bar-

dziej jednak cofał się trwożnie przed podziwem nieśmiałych i natarczywością zuchwałych, tem bardziej mnożyły się pokusy, aż wreszcie stały się męczarnią jego życia. [1]).

Rodzice jego nie żyli oddawna; do życia nie wiązały go żadne ziemskie węzły; kochał tylko swe powołanie i studya, jakie z niem się łączyły. Nie chciał myśleć o rzeczach próżnych i zakazanych. To też nadzwyczajna piękność, jaką posiadał, piękność żywego bożyszcza, wydawała mu się nieszczęściem.

Podsuwano mu bogactwa, pod warunkami, których samo słuchanie już go raniło. Dziewczęta rzucały mu się do stóp, daremnie błagając o miłość. Ustawicznie otrzymywał listy miłosne, na które nigdy nie odpowiadał. Niektóre były pisane dawnym, obrazowym stylem, który mówi o »falach, ożywiających cienie oblicza« i o »strumieniach, które rozdzielają się po to, aby się znów połączyć«. Inne były znów naturalne, rozlewnie czułe, pełne patosu pierwszych zwierzeń dziewczęcego serca. Przez czas długi listy takie nie wyprowadzały z równowagi młodego kapłana, niewzruszonego jak statua Buddy, na którego podobiznę wyglądał. Ale w rzeczywistości Buddą on nie był, był słabym człowiekiem i sytuacya,

---

[1]) Aktorzy japońscy wywierają często podobny przyciągający wpływ na dziewczęta z klas niższych i nadużywają tej siły w okrutny sposób. Rzadko kiedy zdarza się, aby wpływ podobny wywierał także kapłan.

w jakiej się znajdował, z dniem każdym stawała się bardziej nieznośną.

Pewnego wieczora zjawił się w świątyni mały chłopak, wręczył mu jakiś list, wyszeptał imię tej, która go pisała i znikł w ciemnościach. Jak stwierdził później sługa świątyni, kapłan odczytał list, wsunął go z powrotem do koperty i położył potem na macie, koło klęcznika. Długo siedział w zamyśleniu, potem wydobył przybory do pisania, napisał sam jakiś list, zaadresował go do swego zwierzchnika i zostawił na pulpicie.

Potem rzucił okiem na zegarek i zaczął czytać japoński rozkład pociągów.

Pora była późna, noc ciemna i burzliwa. Kapłan rzucił się przed ołtarz na kolana i po krótkiej modlitwie wypadł na ulicę. Na stacyę kolejową przybiegł właśnie w chwili, kiedy pociąg ekspresowy z Kobe wjeżdżał na stacyę w całym rozpędzie. Z szybkością błyskawicy rzucił się kapłan na tor przed stalowego potwora i w najbliższej chwili te, które ubóstwiały dziwną jego piękność, wykrzyknęłyby ze strachu, widząc, co pozostało na szynach z biednego, znikomego ciała.

Znaleziono list, który zmarły napisał do swego zwierzchnika. List zawierał krótkie doniesienie, iż młodzieniec czując, że gaśnie w nim siła oporu, postanowił umrzeć, aby nie uledz grzesznej pokusie.

Drugi list leżał jeszcze na ziemi, w tem samem miejscu, gdzie go zmarły pozostawił. Był to list, pisany w języku kobiecym, w tym języku, w któ-

rym każda sylaba jest jak gdyby korną pieszczotą. Jak wszystkie podobne listy (pocztą ich się nie posyła!), nie miał daty, nazwiska, inicyałów, na kopercie nie było adresu.

List ten przetłómaczony na nasz twardy język brzmiałby mniej więcej, jak następuje:

»Pozwalać sobie na coś podobnego, znaczy tyle, co żądać pobłażliwości zbyt wielkiej.

»Niemniej czuję, że muszę z Tobą mówić i dlatego piszę ten list.

»Co do mej małości, to niech mi będzie wolno powiedzieć, że myśli moje zbudziły się dopiero w tym dniu, gdy zobaczyłam Cię na »Święcie Dalekiego Brzegu« po raz pierwszy. Od tego czasu nie mogłam zapomnieć.

»Z każdym dniem zapadam coraz głębiej w myśl o Tobie. Ona towarzyszy mi w snach, a gdy obudzona nie widzę Ciebie i gdy zrozumiem nareszcie, iż sen nie był jawą, płyną mi łzy z oczu. Daruj, że istota, która przyszła na świat kobietą śmie wypowiedzieć życzenie, którego treścią: nie być godną pogardy w oczach istoty tak wzniosłej, jak Ty.

»Może wyda Ci się głupiem i niedelikatnem, że pozwalam sercu tak cierpieć dla człowieka, który jest o całe niebo wyższym odemnie. Ale proszę, abyś uznał mnie za godną Swej litości, proszę dlatego, iż nie jestem w stanie pokonać serca, z którego głębi zezwoliłam wytrysnąć tym ubożuchnym słowom na to, aby spisane mym niezręcznym pędzlem poszły do Ciebie. Zaklinam

Cię: nie karć mnie okrutnem słowem! Miej litość nademną. Pojmij, że to wszystko jest winą nadmiaru mych kornych uczuć. Racz zrozumieć serce, które ośmiela się zwrócić do Ciebie w najgłębszej nędzy i słusznie je osądź. W każdej chwili dnia oczekuję uszczęśliwiającej odpowiedzi, której się spodziewam.

»Błagając w niebie dla Twej głowy wszystkiego co dobre i co szczęściem darzy
w dniu dzisiejszym
od tej, która w swej nicości
Przez Wzniosłego jest znaną
Do Wytęsknionego, Ukochanego,
Najczcigodniejszego
spieszy ten list.

Do jednego z mych przyjaciół-Japończyków, do uczonego buddysty, zwróciłem się, aby zapytać o niektóre szczegóły co do religijnego poglądu na ten cały wypadek. Samobójstwo to, nawet gdyby je uważać za oznakę ludzkiej słabości, wydawało mi się bohaterstwem.

Mój przyjaciel miał inne zdanie. Nie szczędził słów potępienia. Wskazywał na to, iż człowiek, który sądzi, że drogą samobójstwa uniknie grzechu, jest w oczach mistrza duchowo zgubiony, niegodny obcowania świętych mężów. Co się zaś tyczy specyalnie owego kapłana, to należał on do ludzi, których mistrz zowie głupcami.

Tylko głupiec może sądzić, iż niszcząc swoje ciało, zniszczy zarazem źródło grzechu w duszy.

— A jednak — wtrąciłem — życie tego człowieka było czyste. Przypuśćmy, że po to tylko szukał śmierci, aby mimowoli nie wciągać do grzechu innych?

Mój przyjaciel uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Pewnego razu wytworna dama japońska, uroczej piękności, chciała zostać zakonnicą. Udała się do świątyni i przedstawiła tam swój zamiar. Przełożony kapłanów rzekł jednak: »Jesteś jeszcze bardzo młoda, żyłaś na dworze. W oczach ludzi świeckich jesteś bardzo piękna, a twarz twoja urocza stanowiłaby dla ciebie wieczną pokusę, aby powrócić do uciech świata. Zresztą życzenie twoje może wypływać poprostu z chwilowego zmartwienia. Teraz nie mogę cię przeto przyjąć do zakonu.«

Kobieta prosiła jednak dalej i to tak usilnie, że kapłan uważał za najlepsze usunąć się i odejść.

W pokoju, w którym została sama, stał wielki »Hibaszi« (miska z żarzącymi się węglami). Prosząca chwyciła obcęgi, włożyła je w ogień, póki się nie zaczerwieniły, a następnie poraniła i poszarpała bez litości twarz, niszcząc swą piękność na wieki.

Kapłan, zastraszony odorem spalenizny, przybiegł szybko i ze smutkiem zoczył, co się stało. Kobieta jednak ponowiła natychmiast prośby, a głos jej nie zadrżał nawet na chwilę.

— Piękność przeszkadzała mi we wstąpieniu do zakonu — rzekła. — Czy teraz mnie przyjmiesz?

Kapłan zgodził się. Przyjęto ją do zakonu. Żyła świętem życiem mniszki. I któż był mą-

drzejszy: owa kobieta, czy młody kapłan, którego chcesz wychwalać?

— Czyż jednak — rzekłem — kapłan miał obowiązek zeszpecić się?

— Bynajmniej! Nawet to, co uczyniła kobieta, nie byłoby zasługą, gdyby miało ochronić ją przed pokuszeniem. Budda zakazuje okaleczać się w jakikolwiek sposób i w tem owa kobieta dopuściła się przekroczenia. Ponieważ jednak zeszpeciła sobie twarz tylko na to, aby uzyskać natychmiast przyjęcie do świętego zjednoczenia, a nie dlatego, iż czuła się za słabą do oparcia się pokuszeniu samą siłą woli, przeto jej postępek można przebaczyć. Natomiast kapłan, który odebrał sobie życie, popełnił grzech ciężki. Powinienby był starać się o nawrócenie tych wszystkich, które go chciały skusić, lecz na to był za słaby. Jeżeli zaś czuł, że brak mu sił, aby oprzeć się pokusie, to lepiejby był uczynił, powracając do świeckiego życia i prowadząc tam życie ludzi, którzy nie podlegają nakazom świętych reguł zakonnych.

— Zatem, według buddyzmu, nie zyskał żadnej zasługi?

— Trudno przypuścić, aby było inaczej. Czyn jego może uchodzić za zasługę tylko w oczach tych, którzy nie znają zakonu.

— A cóż sądzą ci, co zakon znają, o następstwach, o *Karma* jego czynu?

Mój przyjaciel zamyślił się i rzekł po chwili:

— Cały grunt tego samobójstwa usuwa się z pod naszej świadomości. Może to nie było po raz pierwszy?

— Więc sądzisz, że ten człowiek mógł już w poprzedniem życiu próbować uniknąć grzechu przez unicestwienie ciała?

— Tak... A może w kilku poprzednich życia istnieniach?

— A cóż będzie z jego przyszłem życiem!

— Na to pytanie mógłby odpowiedzieć stanowczo chyba sam Buddha.

— Cóż jednak mówi o tem wasza teologia?

— Zapominasz, że nie możemy wiedzieć, co się działo w duszy tego człowieka.

— Przypuśćmy jednak, że szukał śmierci po to, aby uniknąć grzechu.

— W takim razie będzie tysiące razy podlegał pokusie i jej wszystkim męczarniom, dopóki nie nauczy się przezwyciężać samego siebie. Śmierć nie jest ucieczką przed wieczną koniecznością pokonywania samego siebie.

Gdym wychodził od mego przyjaciela, słowa jego ścigały mnie i ścigają do tej pory. Własne swe poglądy ukazały mi się w zupełnie nowem świetle. Nie mogłem jeszcze zdać sobie sprawy, czy ta tajemnicza interpretacya misteryum miłości jest mniej godną uwagi, niż nasz zachodni pogląd. Myślałem nad tem, czy miłość, wiodąca do śmierci, nie może oznaczać czegoś o wiele większego, niżeli odrodzenie pogrzebanych namiętności? Czy nie mogłaby także być nieuniknioną karą za grzechy, dawno zapomniane?

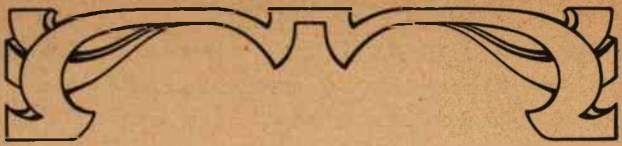

Zmierzch bogów.

Słyszałeś pan kiedy o Jossach? — spytał mnie pewien znany handlarz starożytności.

— Jossach?

— Tak, o bożkach, japońskich bożkach, Jossach.

— Słyszałem — odpowiedziałem — lecz nie wiele.

— To chodź pan ze mną obejrzeć moją kolekcyę. Od dwudziestu lat zbieram Jossy i mam kilka, które warto zobaczyć. Nie na sprzedaż, naturalnie, prócz dla British Museum.

Przez sklep napełniony bric-a-brac'iem i przez brukowany dziedziniec udałem się za mym kupcem do niezwykle obszernego Go-daun [1]).

Jak każdy taki skład, był ten lokal bardzo ciemny. Z trudnością mogłem odróżnić wejście na schody, sterczące w ciemności. Na schodach kupiec stanął i rzekł:

---

[1]) Tak nazywają w miastach portowych na dalekim Wschodzie składy towarów, zabezpieczone przed ogniem. Słowo Godaun pochodzi z malajskiego Gadong.

— Zaraz będzie pan lepiej widział. Zbudowałem ten Godaun umyślnie na Josse, lecz już zabrakło miejsca. Umieściłem je na drugiem piętrze. Trzeba iść ostrożnie, schody nie dobre.

Wszedłem na górę, do półciemnej hali pod bardzo wysokim dachem i znalazłem się twarzą w twarz z bożkami.

W półmroku wielkiego Godaunu było to widowisko więcej jak fantastyczne: upiorne. Arhaty, Buddy i Bodhisatwy, oraz posągi i obrazy z jeszcze dawniejszej epoki, wypełniały całą przestrzeń, ponurą, zaćmioną. Nie były ułożone według hierarchii, jak w świątyni, lecz rzucone razem bez wyboru, jak w nagłej panice. Zrazu nie mogłem nic odróżnić w zamęcie niezliczonych głów, pokruszonych aureoli, rąk podniesionych groźnie albo też złożonych do modlitwy, w lśniącym zamęcie zakurzonego złota, na które padało słabe światło przez okienka, pokryte pajęczyną. Przyzwyczaiwszy nieco wzrok do ciemności, zacząłem zwolna odróżniać niektóre posągi.

Widziałem Kwannona w różnych postaciach, Jizo z różnymi imionami; Szaka Jakuszi, Buddę i jego uczniów. Były to posążki bardzo stare, bez specyficznie japońskiego charakteru. Były to egzemplarze z Korei, Chin, Indyj; skarby pochodzące z czasów rozkwitu buddyjskich misyj. Jedne postaci spoczywały na kwiatach lotosu — kwiat lotosu »Ziemskich narodzin« — inne jeździły na lampartach, tygrysach, lwach lub mistycznych potworach, symbolizujących piorun albo śmierć.

Jedno zwłaszcza, o trzech głowach i kilku rękach imponujące, a ponure, sprawiało wrażenie, iż porusza się wśród mroku, niesione na tronie przez falangę słoni.

Widziałem Fudo, otoczonego płomieniami i Maya-Fudżin na pawiu, a z wizyami buddyjskiemi mięszali się anachronistycznie teologowie chińscy i uzbrojeni dajmiowie.

Były tam kolosalne, aż do sufitu sięgające posągi Gniewu, który wywija piorunem; królowie Deva, jako personifikacye siły orkanu; Nis-Os, strzegący dawno nieistniejących bram kościelnych. Nie brakło też przepysznych kształtów kobiecych: ciała ich wdzięczne otaczały kielichy lotosu; giętkie palce, które wyliczały liczbę Dobrych Praw, były ukształtowane według kanonu, natchnione go prawdopodobnie kiedyś, przed laty, wdziękiem tancerki indyjskiej. Wyżej, na nagiej ścianie z cegieł można było rozróżnić postaci *minorum gentium:* Demony z oczyma błyszczącemi w ciemności, jak źrenice czarnego kota, postaci półczłowiecze, półptasie, ze skrzydłami i dziobami orłów.

— I cóż? — spytał handlarz, uśmiechając się z zadowoleniem, na widok, że nie ukrywam zdumienia.

— Wspaniała kolekcya — odpowiedziałem.

Wówczas położył mi rękę na ramieniu, krzycząc tryumfalnie do ucha:

— Kosztuje mnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Postaci te same mówiły mi, o ile więcej wart był trud, którego wymagało ich stworzenie,

w dawno przebrzmiałych, pobożnych czasach, mimo, że praca artystyczna na Wschodzie jest tania. Opowiadały mi także o imionach pielgrzymów, których nogi wyżłobiły stopnie, wiodących do świątyń, o matkach, dziś już zmarłych, które wieszały sukienki dziecinne przed ołtarzami, o całych pokoleniach dzieci, które uczono modlić się, o niezliczonych troskach i nadziejach, które im powierzano. Wraz z tymi posągami poszło na wygnanie wspomnienie wiekowej czci; opuszczoną izbę przenikał delikatny, słodki zapach kadzidła.

— Jakbyś pan nazwał tę postać? — spytał głos handlarza. — Powiedziano mi, że to najlepsze z całego zbioru...

Wskazał na figurę, stojącą na potrójnym złotym lotosie: »Ava lokitesvara,« ta, która słysząc dźwięk modlitwy, spogląda na dół... »Na imię jej wygładzają się fale burzy morskiej i nienawiści, na jej imię gaśnie ogień, na dźwięk jej imienia nikną demony, siłą jej imienia można stać na powietrzu, tak jak słońce«... Wdzięk jej członków, urok uśmiechu zrodziły się w snach indyjskiego raju.

— To Kwannon — rzekłem — i to bardzo piękna.

— To też zażądam za nią bardzo pięknej ceny — odparł z chytrem mrugnięciem. — Kosztuje mnie dość, aczkolwiek, biorąc na ogół, nabyłem to wszystko wcale tanio. Amatorów jest niewielu; przytem trzeba kupować potajemnie, ale z drugiej strony to także pewna korzyść.

— A widzi pan — ciągnął dalej — tam, w kącie, wielką czarną postać? Jak pan sądzi, kto to jest?

— Emmei Jizo — odpowiedziałem — Jizo, który darzy ludzi długiem życiem; musi być bardzo stary.

— I co pan powie — mówił dalej, klepiąc mnie po ramieniu. — Człowiek, od którego to kupiłem, poszedł do więzienia, za to, że mi sprzedał!

Kupiec wybuchnął serdecznym śmiechem. Nie wiem, czy śmiał się ze swej przebiegłości w tym interesie, czy z przykrej naiwności sprzedającego.

Po małej pauzie ciągnął dalej:

— Chcieli, abym im to oddał i dawali mi więcej, niż zapłaciłem, alem nie popuścił. Nie oryentuję się dobrze w Jossach, tyle jednak wiem, iż warte są bardzo wiele. W całym kraju niema już takiego egzemplarza, jak ten. British Museum będzie z pewnością zadowolone, gdy go dostanie.

— Kiedyż zamierza pan zaproponować kupno zarządowi British Museum? — spytałem.

— Przedewszystkiem — odparł — chciałbym urządzić wystawę. W Londynie można w ten sposób zbić ładną sumkę, czegoś podobnego nie widzieli jeszcze Londyńczycy, za to ręczę. A jeżeli weźmie się mądrze do rzeczy, to można jeszcze zyskać poparcie pastorów: »Pogańskie bożki z Japonii!«. To pomaga ich misyom... A jak się panu podoba ten dzieciak?

Spojrzałem na złoty posążek nagiego dziecka. Jedna rączka wznosiła się do góry, druga w dół. »Promieniejąc światłem powstał z łona, jak słońce, gdy zejdzie na wschodzie... Stanął i uczynił siedm uważnych kroków, a ślady jego stóp na ziemi błyszczały jak siedm gwiazd. I donośnym głosem wyrzekł słowa: Urodziny moje są urodzinami Buddy, dla mnie niema drugiego narodzenia, rodzę się teraz po raz ostatni, ku błogosławieństwu i szczęściu wszystkich na ziemi i w niebie«.

— To Tanjo-Shaka — rzekłem. — Wygląda, jak gdvby był z bronzu.

— Bo też i jest z bronzu — rzekł handlarz — pukając palcem w statuetkę, aby wywołać dźwięk. Sam bronz wart więcej, niż za to zapłaciłem.

Patrzyłem na cztery Devy, których głowy sięgały prawie dachu i przypominałem sobie hitoryę ich ukazania się, którą przytacza Mahavagga: »Wśród pięknej nocy, czterej wielcy królowie wkroczyli do świętego gaju, wypełniając światłem całą przestrzeń. A pokłoniwszy się ze czcią przed błogosławionym, stanęli jak cztery słupy płomienne«.

— Jakimże sposobem mógłeś pan wywindować te cztery posągi na górę? — spytałem.

— Och, bardzo prostym — odpowiedział. — Wyciągnięto je, mamy tutaj windę. Trudnym był właściwie tylko transport kolejowy. Pierwszy raz w życiu jechały koleją... Niech im się pan przypatrzy, tym z boku, bo to będzie *clou* wystawy!

Spojrzałem w stronę, w którą pokazywał, i ujrzałem dwie figury drewniane, mające mniej więcej po trzy stopy wysokości.

— Dlaczego sądzi pan, iż właśnie te muszą zrobić sensacyę? — spytałem całkiem niewinnie.

— Czy pan nie widzi, co to takiego? Pochodzą z czasów prześladowań! To dyabły japońskie, depczące krzyż!

Były to małe figurki, wyobrażające ludzi, strzegących świątyni; nogi ich spoczywały na krzyżowych podstawach.

— A czy panu kto mówił, że to dyabły, które depczą krzyż? — ośmieliłem się spytać.

— A cóżby robiły? — odparł wymijająco. — Popatrz pan na krzyże, jakie mają pod nogami.

— Ależ to nie dyabły — rzekłem. — Krzyże podłożono im pod nogi, aby mogły utrzymać równowagę.

Kupiec milczał, lecz na twarzy jego widać było oznaki rozczarowania. Zrobiło mi się go trochę żal. »Dyabły depczące krzyż«. Toby przyciągało, gdyby wypisać coś podobnego na afiszu londyńskiej wystawy!

— To daleko piękniejsze — rzekłem, wskazując na piękną grupę: Maya z dziecięciem Buddą, które, według tradycyi, zrodziło się z jej prawego boku. »Był to ósmy dzień czwartego miesiąca«.

— To także z bronzu — rzekł kupiec, pukając palcem w grupę. — Bronzowe Jossy zaczynają być rzadkością. Kupowaliśmy je zwykle za

cenę starego metalu i sprzedawaliśmy tak samo. Dlaczegóż nie zatrzymałem kilku sztuk! Trzeba było widzieć bronzy, które dostawało się do świątyń! Dzwony, wazy, Jossy! Wtedy też próbowaliśmy kupić Daibutsu w Kamakurze.

— Na stary bronz?

— Tak jest. Obliczyliśmy wagę metalu i utworzyliśmy syndykat. Na pierwszy raz ofiarowano trzydzieści tysięcy. Zarobilibyśmy porządnie, gdyż było tam niemało złota i srebra. Kapłani chcieli sprzedać, lecz lud nie pozwolił.

— Wszakże to jeden z cudów świata — rzekłem. — Czyż w istocie bylibyście się zdecydowali na to, aby go pokawałkować i stopić?

— A czemużby nie? I cóżby z tem począć innego?

I znów położył mi rękę na ramieniu.

— W każdym razie — usłyszałem — British Museum potrafi to ocenić, co?

— Tak myślę. Zasługują na to — potwierdziłem.

I myśli moje skierowały się ku słowom: »Na całym świecie niema kawałka ziemi, takiego jak ziarno gorczycy, na którym nie oddałby swego ciała dla żywych«. Zrozumiałem nagle całą wagę tych słów. Boskie w człowieku!... »Każdy człowiek ma w sobie duszę Buddy, miliony są jednością. Cała ludzkość nosi w sobie ukryty zarodek Buddy, a kiedyś gdy samolubstwo zemrze, uśmiech mistrza uczyni świat pięknym. Każda szlachetna ofiara zbliża czas jego przybycia, a kto

by wątpił, że i teraz już niema kawałeczka ziemi, na którymby już nie oddano raz życia dla obowiązku i z miłości?«

A potem przedstawiłem sobie, jak by wyglądały te wszystkie posągi w British Muzeum tej nekropolii umarłych bożków, w jakiejś ze sal, owianej żółtozieloną mgłą, dzielące pomieszczenie z zapomnianemi bożyszczami Egiptu i Babilonu, drżące w hałasie londyńskich ulic.... I po co? Może po to, aby dać jakiemuś drugiemu Tademie sposobność do przedstawienia na obrazie piękności zaginionej kultury. Może po to, aby przyszłego *poeta laureatus* natchnąć do nowej metafory, tak zdumiewającej, jak przenośnia Tennysona o »namaszczonym i kędzierzawym byku assyryjskim«. (*oiled and curled Assyrian bull*).

Nadarmo pewnie tam spoczywać nie będą. Myśliciele jakichś czasów mniej konwencyonalnych i samolubnych nauczą nas na nowo uszanowania wobec nich.

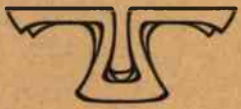

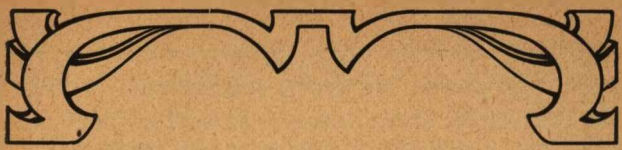

Wiara w preegzystencyę.

Bracia, jeśli Bikku życzy sobie uprzytomnić różne swe czasowe wcielenia w dniach minionych — jedne narodziny, dwoje, trzy, cztery, pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesięt, sto, tysiąc, albo stotysięcy narodzin we wszystkich formach i wszystkich szczegółach, to pozwólcie mu, niech spokojnie wsłuchuje się w swe serce, pozwólcie mu przejrzeć rzeczy do dna, zostawiajcie go w częstej samotności.

Akankheyya Utta.

Gdyby spytać myślącego Europejczyka, który przeżył kilka lat w istotnie żywej atmosferze buddyzmu, gdyby go spytać, jaka zasadnicza idea różni nasz system myślenia od wschodniego, odpowiedź brzmiałaby bezwątpienia: »idea preegzystencyi«.

Idea ta przenika całe życie duchowe dalekiego Wschodu najsilniej ze wszystkich. Jest wszędzie obecną, tak jak powietrze, zaprawia wszelkie uczucia, wpływa pośrednio albo bezpośrednio na każdy czyn. Co krok spotykamy się z jej symbolami, nawet w szczegółach dekoracyi artystycznej i ciągle, dniem i nocą, echo jej mowy uderza niespo-

dziewanie o nasze ucho. Sposób wyrażania się ludu, przysłowia, maksymy, wykrzykniki, wyrazy na oznaczenie bólu, nadziei, radości lub rozpaczy, wszystko jest przesiąknięte tą ideą. Charakteryzuje ona w jednakiej mierze mowę miłości i wyraz nienawiści. Wyraz »Ingwa,« lub »Inne,« które określa *Karmę* jako nieuniknioną odpłatę, ciśnie się mimowoli każdemu na usta, gdy chodzi o wyjaśnienie czegoś, o pociechę lub wyrzut.

Chłop, który drapie się stromą drożyną i czuje ciężar taczek w napięciu każdego muskułu, mruczy cierpliwie:

— Trzeba to znieść, to Ingwa.

Służba, kłócąc się ze sobą, rzuca takie pytanie retoryczne:

— Co za »Ingwa« zmusza mnie żyć z takiem stworzeniem, jak ty?!

Człowiek niezdolny lub występny spotyka się z tem słowem buddystycznem, podobnie jak tłómaczy się niem nieszczęście człowieka mądrego lub cnotliwego. Przestępca przyznaje się do zbrodni, mówiąc:

— Spełniając to, co uczyniłem, wiedziałem, iż czynię źle, ale Ingwa była silniejszą od mego serca.

Kochankowie, których połączenie natrafia na przeszkody, umierają razem w przekonaniu, że związek ich w tem życiu jest niemożliwy wskutek grzechów w poprzedniem. Kto stał się ofiarą niesprawiedliwości, próbuje naturalne oburzenie poskromić przeświadczeniem, iż pokutuje za ja-

kieś zapomniane przestępstwo, które zgodnie z wieczystym porządkiem rzeczy, domaga się zadośćuczynienia.

Najzwyklejsze wzmianki o duchowej przyszłości łączą się i warunkują wiarą w przeszłość duchową. Matki przestrzegają bawiące się dzieci przed skutkami złych czynów, przypominając im, że kiedyś zrodzą się powtórnie jako dzieci innych rodziców. Pielgrzym lub żebrak przyjmuje jałmużnę z życzeniem: »Oby szczęśliwem było twe przyszłe narodzenie!«. Zdziecinniały Inkyo, któremu zaczyna niedopisywać wzrok i słuch, mówi wesoło o zmianie, która ma nastąpić, a która da mu nowe, młode ciało. A słowo: »yakusoku«, które oznacza buddyjską »konieczność«; »mae-no-yo«, czyli »ostatnie życie«; »skirame« czyli rezygnacya, powtarzają się w codziennem życiu Japonii równie często, jak słowa »sprawiedliwość« i »niesprawiedliwość« w życiu Zachodu.

Po długim pobycie w takiem środowisku psychologicznem spostrzega się, że przeniknęło ono myśli i poczyniło w nich różne przewroty. Takie poglądy na życie, wspierające się na idei preegzystencyi, pojęcia, może sympatyczne w teoryi, lecz z konieczności dziwne w życiu realnem, wszystko to traci wreszcie charakter fantastyczny lub dziwaczny i wychodzi w naturalnem świetle. Nawyknienie przedstawia je jako coś racyonalnego. Chcąc je wszakże ocenić całkiem bezstronnie, trzeba wprzódy pozbyć się wszystkich wyobrażeń zachodnich o metampsychozie, gdyż między np.

pytagorejskiem lub platońskiem określeniem duszy, a tem, co podaje buddaizm, niema najmniejszego podobieństwa.

Głęboka różnica między pojęciem zachodniem a japońskiem w tem spoczywa, iż buddyzm nie zna pojęcia »duszy«, jako człowieka wewnętrznego, bezcielesnego. Wschodnie *ego* nie jest indywidualnem, nie jest nawet wielością, którą możnaby ująć w cyfry, tak jak dusza u gnostyków. Jest to agregat, skoncentrowana suma twórczego myślenia poprzednich, niezliczonych egzystencyj.

Interpretatywna siła buddyzmu przejawia się zwłaszcza na tym terenie psychologii, którego największym badaczem był Herbert Spencer. Niemałą część naszego psychologicznego życia stanowią niewytłomaczalne psychologiczne uczucia. Do tej kategoryi należą te uczucia, które np. nakazują dziecku, nieposiadającemu jeszcze mowy, płakać na widok jednych, uśmiechać się na widok innych. Tutaj należy też chwilowa sympatya lub antypatya do ludzi obcych, ta siła przyciągająca lub odpychająca, którą zowie się siłą pierwszego wrażenia, a którą inteligentne dzieci objawiają bez ogródek, mimo wskazówek, iż ludzi nie można sądzić po tem, jak wyglądają. Jest to, nawiasem mówiąc, doktryna, której dziecko nigdy nie daje wiary w głębi serca.

Jeżeli uczucia te nazwiemy instynktem lub intuicyą, to nie są jeszcze wyjaśnione. Poprostu przecina się pytanie i kieruje się je w zakres ta-

jemnicy życiowej. A jednak są poszlaki, że niektóre uczucia głębsze są nieosobistemi, np. wiedza zaprzecza, aby namiętność miłosna miała charakter indywidualny, a to samo, co do miłości na pierwszy rzut oka, to samo odnosi się także do nienawiści. Podobnie rzecz się ma z nieokreślonymi impulsami do wędrowania, które zjawiają się na wiosnę i nikną z nią razem; z pewną depresyą nieokreśloną, opadającą człowieka w jesieni. Jedno i drugie może być przeżytkiem epoki, w której wędrówki człowieka stosowały się do zmiany pór roku, może nawet z epoki jeszcze wcześniejszej.

Nieindywidualnem też wydaje się uczucie człowieka, który znaczną część życia przepędził na równinach lub w preryach i nagle widzi się w obliczu łańcucha gór, pokrytych śniegiem; albo też uczucia człowieka, który przez długi czas żyjąc w głębi kontynentu, po raz pierwszy widzi ocean i słyszy jego wieczysty grzmot. Zachwyt, połączony z lekkim strachem, a wywoływany przez widok wspaniałego krajobrazu, albo też niewymowny, niewypowiedzianą melancholią ocieniony podziw, który budzi wspaniałość zachodu słońca pod zwrotnikiem, wszystko to nie tłómaczy się indywidualnem doświadczeniem. Analiza psychologiczna idzie w tym kierunku, iż uczucia te są dziwnie skomplikowane i splątane z doświadczeniami osobistemi najprzeróżniejszego rodzaju, lecz że najgłębszy odruch uczucia nie jest indywidualnym, że wyłania się z praoceanu życia, z którego wyszedł człowiek.

Do tej samej kategoryi zjawisk psychologicznych może należeć także pewne zagadkowe uczucie, które niepokoiło duszę ludzką na długo przed Ciceronem, a i teraz, chwilami, daje niejedno do myślenia: uczucie, iż dane miejsce widziało się już raz w życiu, aczkolwiek w rzeczywistości widzi się je po raz pierwszy. Szczególne to złudzenie owiewa nieraz ulice obcego miasta lub linie obcego nam pejzażu, a wprawia duszę w mistyczne drżenie, daremnie zaś szukamy za wyjaśnieniem. Prawda, że często uczucia podobne budzą się przez ożywienie i kombinacyę wrażeń, poprzednio doznanych, niektóre wszakże wydają się czemś całkiem mistycznem, gdy się pragnie wytłómaczyć je na zasadzie indywidualnego doświadczenia.

Nawet sensacye codzienne, najzwyklejsze, kryją w sobie zagadki, których nie rozwiążą nigdy umysły, sądzące, iż każde uczucie i każde poznanie należy do zakresu indywidualnego doświadczenia i że dusza nowonarodzonego dziecka jest *tabula rasa.*

Dawniejsze hypotezy naukowe nie tłómaczą uczucia rozkoszy, jakie się odnosi wąchając kwiat, na widok pewnych odcieni barw, dzięki pewnym dźwiękom. Nie tłómaczy też mimowolnego wstrętu lub przestrachu na pierwszy rzut oka wobec istot grożących naszemu życiu, ani też niewymownej okropności snów. Grant Allen wywodzi w swej »Estetyce fizyologicznej« z dużą siłą przekonywującą, równie jak w pięknej rozprawie o zmyśle barwy, że niektóre z tych sensacyj, jak np. zami-

łowanie do barwy i zapachu sięgają głęboko w życie psychiczne rasy. Ale już na długo przedtem udowadniał jego wielki mistrz, świetny psycholog, że wiele kategoryj zjawisk psychologicznych nie da się wytłómaczyć indywidualnem doświadczeniem. »Hypoteza taka — mówi Spencer — jest odnośnie do uczuć jeszcze mniej trafną, niżeli w odniesieniu do poznania. Doktryna, iż wszelkie uczucia wytryskają z indywidualnego doświadczenia, stoi z faktami w tak jaskrawem przeciwieństwie, że nie mogę pojąć, jak ktoś może stawiać podobne twierdzenie«.

Spencer też wykazywał, iż takie określenia jak np. intuicya, w dawnem znaczeniu nie są trafne. Na przyszłość ma się ich używać w zupełnie innem znaczeniu. W języku współczesnej psychologii instynkt jest »organiczną pamięcią«, pamięć zaś sama »kiełkującym instynktem«, sumą wrażeń, która w łańcuchu życiowym ma spaść dziedzictwem na następne indywiduum.

Tak ma się przedstawiać pamięć odziedziczona; nie jako tajemnicze przypominanie sobie szczegółów z poprzedniego życia, lecz jako maleńki przyrost życia psychologicznego wogóle, przyrost, któremu towarzyszą maleńkie, prawie niedostrzegalne przemiany w strukturze odziedziczonego systemu nerwowego. »Mózg ludzki« jest niejako tabelką nieskończenie licznych doświadczeń, zdobytych w ewolucyi życiowej. Rezultaty tych doświadczeń najczęstszych i najjednorodniejszych miały pójść dziedzictwem jako kapitał z procentami i powoli

wzrosły do inteligencyi, która spoczywa utajona w mózgu noworodka, a którą dziecko przejawi w późniejszem życiu, zwiększa lub komplikuje, a wreszcie z małemi zmianami przekazuje następnemu pokoleniu.

W taki sposób powstała psychologiczna podstawa idei preegzystencyi i idei wielokrotnego *ego*. Podstawa ta stawia za zasadę, iż w każdym mózgu tkwi odziedziczona pamięć niezliczonych doświadczeń, zbieranych przez mózgi poprzednich pokoleń. To przeświadczenie niema jednak najmniejszej materyalistycznej barwy, gdyż prawdziwa wiedza jest niszczycielką materyalizmu.

Często można spotkać się z twierdzeniem, iż wyobrażenie duszy jako nieskończonej wielości byłoby ze względu na buddyjską teologię niemożliwe i że nawet w krajach buddystycznych, mimo wszystko, wiara szerokich mas ludu opiera się w istocie na pojęciu duszy jako jedności.

Tymczasem w Japonii, najniższe warstwy ludności, najubożsi wieśniacy, którzy nigdy nie zajmowali się buddystyczną metafizyką, wierzą w wielokrotność swego ja. Nadto trzeba pamiętać, że w poprzedniej religii japońskiej, w szyntoiźmie zawiera się podobna doktryna, wiadomo zaś, że różne formy tej religii charakteryzują myślenie Chińczyków i Koreańczyków. Wszystkie te ludy Dalekiego Wschodu opierają się — jak się zdaje — na przyjęciu wielokrotności duszy, bądź to w duchu buddyzmu, bądź też w znaczeniu pry-

mitywnem, reprezentowanem przez szyntoizm, albo wreszcie w sensie fantastycznym, ukształtowanym przez astrologię chińską.

Ja, co do mnie, przekonałem się, że w Japonii wiara ta jest powszechną i rozszerzyła się bardzo. Zbytecznem byłoby przytaczać teksty buddystyczne. Tylko zwykła wiara ludu może udowodnić, iż religijność japońska zgadza się zupełnie z pojęciem duszy złożonej. Filozofia buddyzmu tego nie byłaby w stanie udowodnić. Oczywista, że wieśniak japoński nie przedstawia sobie swego psychologicznego »ja« w postaci tak skomplikowanej, jak to czyni filozofia buddystyczna. Uważa jednak siebie samego za wielość. Walkę wewnętrzną między instynktami złymi a dobrymi uważa za konflikt między różnymi prądami, które składają się na jego ja; ideałem jego i nadzieją jest: uwolnić i odłączyć swą lepszą duszę, czy też lepsze dusze od złych, gdyż Nirwana, czyli najwyższa szczęśliwość da się osiągnąć tylko wtedy. Rzecz prosta, iż pojęcia japońskiego wieśniaka o tych kwestyach abstrakcyjnych są niejasne i niesystematyczne, niemniej jednak trudno zapoznać ich ogólny charakter i tendencye. Nie można zaś wątpić, iż wierzy on zupełnie na seryo i że wiara ta ma wpływ na jego życie etyczne.

W klasie inteligentnej, gdzie tylko zachowuje się religijność, idee te pogłębiają się i wyrabiają. Przytoczę tylko, jako przykład, próby wypracowań, pisanych przez studentów w wieku od dwudziestu do dwudziestu sześciu lat. Mógłbym przy-

toczyć z dwadzieścia podobnych, te jednak wystarczą, aby dać wyobrażenie, jak Japończycy pojmują ową wielość duszy:

»Niema nic niemądrzejszego, jak głoszenie nieśmiertelności duszy. Dusza jest czemś złożonem i aczkolwiek elementa jej są wieczne, to jednak wiemy, że nie mogą nigdy złączyć się dokładnie w jeden i ten sam sposób. Wszystko co złożone, musi zmieniać charakter i warunki.

»Życie ludzkie jest czemś złożonem. Dusza, to kombinacya energij. Gdy człowiek umrze, dusza jego może się nie zmienić, albo też zmienia się stosownie do żywiołów, z którymi się łączy. — Niektórzy filozofowie powiadają, że dusza jest nieśmiertelną, inni, że jest śmiertelną: obie strony mają racyę. Dusza jest śmiertelną i nieśmiertelną, stosownie do zmiany kombinacyj, z których się składa. Elementarne energie, tworzące dusze, są wieczne; wszelako natura duszy określa się charakterem kombinacyj, w które łączą się owe energie«.

Idee, wypowiedziane tutaj, sprawią na czytelniku zachodnim wrażenie ateizmu, a jednak w Japonii łączą się one z głęboką i szczerą wiarą. Wrażenie to powstaje stąd, iż słowo »dusza« jest tutaj użyte zupełnie inaczej, niż my to czynimy »Dusza«, tak, jak ją rozumieją autorowie tych słów, jest kombinacyą popędów złych i dobrych, jest tworem złożonym, który podpada dezintegracyi nietylko dlatego, iż jest kombinacyą, lecz i dzięki wiecznemu prawu duchowego postępu.

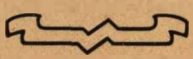

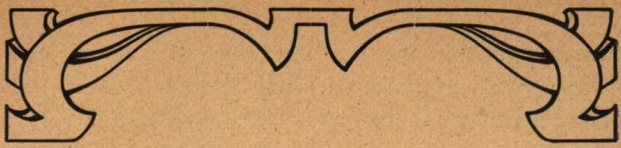

Podczas cholery.

Główny sprzymierzeniec Chin w wojnie z Japonią był ślepy, głuchy, nie chciał nic słyszeć o rokowaniach i pokoju. Ścigał wojska, wracające do Japonii, wjechał tryumfalnie do zwycięskiego cesarstwa i w lecie zamordował jakichsić trzydzieści tysięcy ludzi.

W chwili, gdy to piszę, prowadzi dzieło morderstwa dalej, nieustannie płoną stosy, na których palą się ciała. Czasem powiew wiatru przynosi z pagórka za miastem dym i zapach do mego ogrodu, jak gdyby chciał mnie ostrzedz, iż koszta spalenia człowieka dorosłego, takiego wzrostu jak ja, wynoszą ośmdziesiąt senów, czyli mniej więcej pół dolara na amerykańską monetę.

Z górnego balkonu mego mieszkania widać japońską ulicę w całej długości, z szeregiem małych sklepików, aż do zatoki. Widziałem, jak z wielu domów tej ulicy transportowano do szpitala chorych na cholerę; ostatniego wieziono dzisiaj zrana, był to mój sąsiad, który naprzeciw miał skład porcelany. Odwieziono go gwałtem, mimo łez i krzyków krewnych. Przepisy sanitar-

ne zakazują leczyć się na cholerę w domu, lecz mieszkańcy mimo to usiłują ukrywać chorych, aczkolwiek grożą im za to kary pieniężne i inne. Czynią to dlatego, że szpitale publiczne są przepełnione, traktowanie chorych jest szorstkie, a pacyenci są oddzieleni zupełnie od ukochanych osób.

Władza nie często jednak daje się podejść. Rychło odkrywa wypadki, nie zameldowane urzędowo i przybywa z noszami i kulisami. Wydaje się to surowem, ale ustawa sanitarna musi być surową. Żona mego sąsiada szła za noszami, płacząc i krzycząc, póki urzędnik nie zmusił jej do powrotu do małego, opustoszałego sklepiku. Teraz go zamknięto, a właściciele prawdopodobnie nigdy go już nie otworzą.

Tragedye takie kończą się równie prędko, jak się zaczęły. Rodzina zmarłego, gdy tylko władza zezwoli, zabiera manatki i znika... zwykłe życie ulicy toczy się dalej dniem i nocą, tak, jak gdyby nic się nie było stało. Koło pustych domów przechodzą wędrowni przekupnie z laskami bambusowemi i koszykami, kubłami lub szkatułkami, wydając zwykłe okrzyki. Przesuwają się procesye ze śpiewem nabożnych pieśni. Ślepy sługa kąpielowy wydaje zwykłe melancholijne gwizdnięcie. Ajent policyjny uderza laską ciężko o ziemię. Chłopak sprzedający słodycze bije w bębenek i śpiewa pieśń miłosną głosem słodkim, żałośliwym, jako głos dziewczyny.

»Ty i ja, my oboje... długo byłem, ale gdym się żegnał, zdawało mi się, że dopiero przyszedłem.

»Ty i ja, my oboje... Ciągle jeszcze myślę o tej herbacie. Dla innych byłaby to suszona lub świeża herbata z Uyi. Dla mnie była to herbata Gyokoro, o cudnej żółtości kwiatu yamubuki.

»Ty i ja, my oboje... Ja posyłam depesze, ty je odbierasz. I cóż teraz nam znaczy, że poczta się wali i pękają druty telegraficzne?

Dzieci bawią się jak zwykle. Biegają, łapią się ze śmiechem i krzykiem, tańczą, chwytają ważki i przywiązują do długich sznurów, aby fruwały po powietrzu. Śpiewają refreny pieśni wojennych, które opisują, jak to Chińczykom obcina się łby:

— *Czan, chan, bozu no, kubi wo hane!*

Czasem śmierć porwie które z dzieci, lecz pozostałe bawią się dalej.

Spalenie ciała dziecka kosztuje tylko dwadzieścia cztery seny. Przed kilku dniami spalono syna mego sąsiada. Tam, w słońcu leżą jeszcze kamyczki, którymi się bawił, leżą tak, jak je zostawił... Szczególne przywiązanie mają dzieci do kamieni. W pewnym okresie dziecięctwa kamyki są zabawką dla wszystkich dzieci, nie tylko dla dzieci ubogich. Każde dziecko japońskie, bez różnicy stanu, bez względu na to, ile ma innych zabawek, chce bawić się kamykami. Dla umysłu dziecka kamień jest czemś nader dziwnem i cudownem. Zresztą tak być powinno, gdyż nawet dla rozumu matematyka nic nie może być cudowniejszego, jak zwykły kamień.

Mały berbeć przeczuwa, iż kamień jest czemś większem, niżby się zdawało i przeczuwa bardzo słusznie. A gdyby głupi dorośli nie tłómaczyli mu, że to nie mądrze przywiązywać się do takiej zabawki, nie sprzykrzyłaby mu się nigdy, odkrywałby w niej ciągle coś nowego i dziwnego. Na pytania, jakie zadają dzieci o kamieniach mógłby odpowiedzieć chyba jakiś duch bardzo wielki.

Według wierzeń ludu, syn mego sąsiada bawi się teraz małymi, nieziemskimi kamyczkami w suchem łożysku »strumienia dusz« i dziwi się może, że kamyki te nie rzucają cienia.

Prawdziwą poezyą w legendzie Sai-no Kawary jest zupełna naturalność jej podstaw: dalszy ciąg zabawy w kamyki, którą tak lubią wszystkie dzieci japońskie.

Handlarz cybuchów chodził zawsze z dwiema wielkiemi skrzynkami, które bujały na bambusie, przełożonym przez plecy. Jedna z nich zawierała cybuchy różnej grubości, długości i barwy, dalej narzędzia, za pomocą których wprawia się je w metalowe główki do fajek. W drugiej skrzynce miał dziecko. Często widziałem, jak małe wygląda ze skrzynki i uśmiecha się do przechodniów, czasem znów drzemie w głębi, zawinięte starannie, czasem bawi się zabawkami. Opowiadano mi, że wiele osób darowuje mu zabawki. Jedna z nich miała dziwne podobieństwo do »tabliczki zgonu« (ihai). Widziałem ją zawsze w skrzynce, czy dziecko spało, czy też nie.

Spostrzegłem niedawno, że handlarz cybuchów pozbył się kija bambusowego ze skrzyniami, które bujały po obu stronach. Szedł właśnie ulicą z małym wózkiem ręcznym, takiej wielkości, że mieściły się w nim towary i dziecko. Wózek był widać umyślnie zbudowany w tym celu w dwa przedziały. Być może, iż dziecko stało się zbyt ciężkiem, aby je można transportować w dawny, prymitywny sposób. Z wózka powiewała mała biała chorągiewka z kursywowym napisem: *Kissru-rao-kae.* (Tu się zamienia cybuchy) i z krótką prośbą o »cenną pomoc«: *Otasuke wo negaimasu.* Dziecko wyglądało świeżo i zdrowo, a znów zauważyłem ową tabliczkę, która już poprzednio zwróciła mą uwagę. Teraz była przymocowana do wysokiej skrzynki wewnątrz wozu, naprzeciw legowiska dziecka.

Przyglądając się nadjeżdżającemu wózkowi, spostrzegłem nagle, iż tabliczka ta jest w istocie *ihai.* Słońce padało na nią i trudno było pomylić się co do zwykłego tekstu buddyjskiego. Zaciekawiło mnie to i prosiłem Manyemona, aby powiedział handlarzowi cybuchów, że potrzebujemy paru, co zresztą było prawdą. Natychmiast wózek zajechał przed naszą bramę i wyszedłem na ulicę, aby mu się przyjrzeć.

Dziecko wcale się nie bało obcej twarzy. Był to śliczny chłopak. Szczebiotał, śmiał się, wyciągał rączęta, widocznie przyzwyczajony do pieszczot. Bawiąc się z nim, patrzyłem bacznie na tabliczkę. Była to *szinszu-ihai*, z *kaimyo*, imie-

niem pośmiertnem, kobiety żony handlarza. Manyemon przetłomaczył mi te znaki chińskie o następującem brzmieniu:

»Wysoko położona i szanowana na polach doskonałości, trzydziestego pierwszego dnia, trzeciego miesiąca, dwudziestego ósmego roku okresu Medżi«.

Tymczasem sługa przyniósł fajki, ja zaś przyglądałem się twarzy pracującego rzemieślnika. Była to twarz człowieka, który przeszedł lata średnie, twarz z sympatycznemi, zmęczonemi liniami w koło ust, ze zmarszczkami, które wykopały niezliczone uśmiechy, a które nadają tylu twarzom japońskim wyraz niewypowiedzianej, zrezygnowanej łagodności. Manyemon zaczął pytać handlarza, a gdy Manyemon pyta, nie odpowiedziałby mu chyba jakiś zły człowiek. Często zdawało mi się, że nad niewinną głową tego starca widzę aureolę, aureolę Botsatsu.

Handlarz cybuchów opowiedział swą historyę. Żona umarła mu w dwa miesiące po urodzeniu syna. Umierając, rzekła:

Pozwól, aby przez całe trzy lata od dnia mej śmierci, dziecko moje było połączone z mym cieniem. Nie daj mu nigdy rozstać się z mem *ihai*, abym mogła dalej żywić i troszczyć się o niego. Wiesz, że przez trzy lata ma być karmiony piersią matki. To moja ostatnia prośba, błagam cię, nie zapomnij!

Gdy matka umarła, ojciec nie mógł chodzić za robotą, jak zwykle i zarazem czuwać nad małem

dzieckiem; był zaś za biedny, aby przyjąć piastunkę. Zaczął wtedy sprzedawać cybuchy, gdyż w ten sposób zarabiał coś niecoś, nie potrzebując opuszczać dziecka ani na chwilę. Nie miał pieniędzy na mleko dla syna, lecz przez cały rok karmił go papką ryżową i syropem Ame.

Zauważyłem na to, iż dziecko wygląda zdrowo i czerstwo, mimo, że nie karmione mlekiem.

— To — rzekł Manyemon tonem tak głębokiego przekonania, iż graniczył prawie z tonem wyrzutu — to stąd pochodzi, że karmi je zmarła matka. Jakżeby mogło mu zabraknąć mleka?

A chłopak uśmiechnął się słodko, jak gdyby pod muśnięciem niewidzialnej pieszczoty.

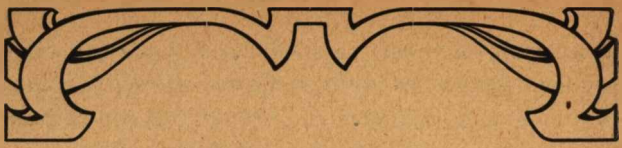

Duchy przodków.

Fakt, że cześć dla przodków istnieje jeszcze między cywilizowanymi ludami w pewnych niewpadających w oko formach, nie jest jeszcze tak powszechnie znany, aby wykluczyć zarzut, iż rasa niearyjska, która wykonuje taki prymitywny kult, stoi w istocie na prymitywnym stopniu religijnego myślenia. A jednak badacze Japonii wypowiedzieli ten pospieszny wyrok i oświadczyli, że nie są w stanie pogodzić sukcesu postępowego systemu wychowania w Japonii z istnieniem kultu przodków. Dlaczego podstawy szyntoizmu ostały się wobec wiedzy współczesnej? dlaczego ludzie, znani jako uczeni-specyaliści, modlą się do ołtarza przodków, albo też w świątyni szyntoistycznej? Czyż to wszystko nie jest raczej konwencyonalnem zachowaniem form, niż samej treści religijnego uczucia? Czy z dalszym postępem wychowania szyntoizm nie musi zniknąć nawet w takiej postaci ceremoniału?

Tymczasem ci, którzy rzucają takie pytania, zapominają, że szyntoizm da się pogodzić z wynikami wiedzy współczesnej i nie wchodzi w ko-

lizyę z humanitarnymi poglądami na sprawiedliwość. Podobnie zaś, jak buddystyczna nauka o *Karma*, przedstawia niejednę interesującą analogię z teoryą dziedziczności, analogię, która wykazuje, iż szyntoizm zawiera w sobie element prawdy, i to wcale głęboki. Elementem tym jest właściwe szyntoistom wyobrażenie, iż świat istot żywych jest kierowany i opanowany przez świat umarłych.

Podstawę tworzy zapatrywanie, iż każdy impuls i każdy czyn ludzki jest dziełem jakiegoś bożka i że wszyscy zmarli stają się bożkami.

Należy jednak stwierdzić, że słowo *kami*, aczkolwiek tłómaczy się je na języki europejskie jako »bóstwo«, »boskość« i »bóg«, w rzeczywistości nie posiada znaczenia, łączonego z temi pojęciami przez człowieka zachodniego. Niema nawet takiego znaczenia, jakie łączyli z tym terminem Grecy i Rzymianie. Wyraz ten w znaczeniu świeckiem oznacza to, co jest »nad nami«, »podniosłe«. — W sensie religijnym oznacza ducha ludzkiego, który po zgonie doszedł do nadzmysłowej potęgi. Zmarli są dla Japończyka »siłą nad nami«, »wzniosłymi« *kami*.

Jest więc to pojęcie, bardzo zbliżone do spirytystycznego poglądu na duchy, tylko że idea szyntoistyczna nie jest demokratyczną w całem znaczeniu słowa. *Kami* są to duchy o bardzo różnej powadze i władzy, duchy należące do hierarchii nadziemskich, odpowiadających hierarchiom dawnego społeczeństwa japońskiego. Wyższe nad

żywych w niejednej mierze, duchy te podlegają żywym o tyle, iż żywi mogą sprawić im przyjemność lub nieprzyjemność, mogą ucieszyć lub obrazić, a nawet polepszyć ich położenie w państwie duchów.

I dlatego zaszczyty, przyznawane Japończykom po śmierci, nie mogą być uważane za jakieś hokuspokus, lecz są w istocie czemś rzeczywistem. W tym roku na przykład wielu polityków i oficerów otrzymało po śmierci awans do wyższej rangi. Niedawno właśnie wyczytałem w dzienniku urzędowym, iż »jego cesarska wysokość raczył nadać jenerał-majorowi baronowi Jamane, który niedawno umarł na Formozie, pośmiertny order wschodzącego słońca drugiej klasy.« Takie akty woli cesarskiej nie mogą być uważane za prostą formalność, albo za uczczenie pamięci dzielnych patryotów; nie można także sądzić, iż chodzi tutaj o wyróżnienie rodziny zmarłego. Odznaczenia takie wypływają wyraźnie z ducha szyntoizmu i wskazują na głębokie uczucie związku między światem widzialnym a niewidzialnym, które to uczucie stanowi szczególne znamię Japonii. Dla Japończyka zmarli nie mniej istnieją w rzeczywistości, jak żywi. Żyją codziennem życiem ludu, dzielą jego drobne radości i smutki. Uczestniczą z wysoka przy ucztach familijnych, czuwają nad dobrobytem domu, są świadkami szczęścia swych potomków i cieszą się niem. Są obecni przy obchodach publicznych, przy wszystkich uroczystościach religijnych szyntoizmu, przy zabawach woj-

skowych a przedewszystkiem przy uroczystościach urządzanych specyalnie dla nich. I Japonia wierzy powszechnie, że duchy te odczuwają radość dzięki darom, jakie im się składa i dzięki zaszczytom, jakich doznają.

Do szkicu tego będzie dostatecznem, gdy przyjrzymy się *kamim* jako duchom zmarłych, nie próbując odróżniać ich od pierwotnych bożyszcz, o których szyntoizm prawi, że stworzyły Japonię. Z tą ogólną interpretacyą pojęcia *kami*, wracamy do wielkiej idei szyntoizmu, iż wszyscy zmarli bawią na ziemi i nietylko panują swym wpływem nad myślami i czynami człowieka, lecz także nad przyrodą. »Oni to określają — pisał Motowori — zmianę pór roku, zmianę wiatru i deszczu, szczęście i nieszczęście państw i jednostek. Są to, jednem słowem, niewidzialne siły, działające poza wszystkiemi zjawiskami.«

Najbardziej interesującą teoryą zasadniczą tego starożytnego spirytyzmu i spirytualizmu jest to, że impulsy i czyny ludzkie odnosi się do wpływu zmarłych. Z hypotezą tą wiedza współczesna musi liczyć się o tyle, o ile liczy się z doktryną psychologicznej ewolucyi, według której każdy żywy mózg uważanym jest za strukturę, zbudowaną przez niezliczone zmarłe byty, charakter zaś ma być mniej lub więcej dużą sumą, niezliczonych minionych eksperyencyj dobra i zła. Kto nie zaprzecza psychologicznemu dziedziczeniu, nie może też zaprzeczyć idei szyntoistycznej, że impulsy, uczucia i wyższe zdolności rozwinięte przez

uczucia, w rzeczy samej są utworzone niejako przez zmarłych i przez nich na nas przeniesione i że nawet ogólny kierunek ludzkiej pracy duchowej określa potęga szczególnych tendencyj, które na człowieka przeszły.

W tym to sensie zmarli są w Japonii *kami*. Wszystkie czyny ludzkie są przez nich kierowane. Mówiąc przenośnie, każdy intellekt jest światem duchów, duchów nieporównanie liczniejszych niż uznane miliony wyższych szyntoistycznych *kami*. Zaludnienie komórki mózgowej przez duchy zmarłych przewyższa jeszcze średniowieczną fantazyę scholastyków, którzy dociekali, ilu aniołów może tańczyć na główce od szpilki. W jednej, małej, nikłej komórce skupia się całe życie rasy, suma minionych uczuć z lat milionów.

Cóż nam mówi teorya szyntoistyczna o złych ludziach i złych czynach? Motowori odpowiada na to, jak następuje:

»Gdy tylko znajdzie się na świecie coś złego, należy to przypisać wpływowi złych bogów, zwanych »bogami przewrotności.« Potęga ich jest tak wielka, że bogini słońca i bożek-twórca nie są często w stanie stawić jej tamy. Tem mniej może oprzeć się ich wpływom istota ludzka. Szczęście złych i nieszczęście dobrych, to, co wydaje się sprzecznem z potoczną sprawiedliwością, tłómaczy się tem właśnie.«

Wszelkie złe czyny pochodzą przeto od złych bożków i pod ich wpływem się spełniają. Źli ludzie mogą stać się złymi *kami*. Jest to proste

i zrozumiałe. Ma się rozumieć, że nie wszyscy ludzie, którzy zawinili złymi postępkami, muszą stać się koniecznie »bożkami przewrotności«, o czem później. Wszyscy jednak ludzie, źli i dobrzy stają się po zgonie *kami*, czyli duchami, które mają wpływ. A wszelkie złe czyny są rezultatami złych wpływów.

Otóż ta nauka zgadza się z pewnemi doktrynami o dziedziczeniu, że mianowicie to, co w intellekcie ludzkim najlepszem jest dziedzictwem po najlepszych z pomiędzy przodków. Złe, spada sukcesyą po naturach, w których przeważało złe. Uczucie etyczne, rozwinięte przez cywilizacyę, wymaga, aby człowiek zwiększał szlachetne siły, przekazane mu przez zmarłych, a zmniejszał siłę dążności przeciwnych. Człowiek jest zobowiązany czcić dobre *kami*, być im posłusznym i walczyć z »bożkami przewrotności«.

Etyczny zarzut przeciw szyntoizmowi w tem się streszcza, że zarówno złe, jak dobre *kami* mają doznawać czci. »Tak jak mikado błagał bogów ziemskich i niebieskich, tak lud jego modlił się do dobrych, aby ubłagać ich błogosławieństwo, a spełniał obrzędy na cześć złych, aby odwrócić ich niezadowolenie... Ponieważ zaś są dobre i złe bogi, przeto konieczna zyskać sobie ich przychylność ofiarowaniem smacznych potraw, przy muzyce fletu i harfy, z tańcem i śpiewem i czynić wszystko, co się da, aby nastroić je przyjaźnie«.

We współczesnej Japonii te złe *kami* otrzymują zresztą niewiele darów i niewiele zaszczytów przypada im w udziale, mimo wyraźnego oświadczenia, iż należy starać się o ich przychylność. To wyjaśnia wszakże, jakim sposobem szyntoizm przedstawiał się zrazu jako kult szatana, aczkolwiek pojęcie dyabła w sensie zachodnim nigdy nie nabrało kształtu w wyobraźni szyntoisty. Widoczny słaby punkt doktryny spoczywa w nauce, iż nie należy zwalczać złych duchów, w nauce, która na uczucie katolika musi działać w najwyższym stopniu odpychająco. Ale między złymi duchami w naszem pojęciu a w szyntoiźmie, jest wielka różnica. Zły *kami* jest tylko duchem złego człowieka i nie może być uważany za zupełnie złego, skoro można nastroić go przychylnie dla siebie. Daleki Wschód nie zna pojęcia absolutnie złego i nie dopuszcza go w naturze ludzkiej, a więc temsamem i duchach ludzi. Złe *kami* nie są dyabłami, lecz duchami, które wpływają na namiętności ludzkie, a tylko w tym sensie mogą być uważane za bożki namiętności. Szyntoizm nie uważa namiętności za złych w swej istocie, lecz sądzi je według stopnia, w jakim im się oddaje, według warunków i przyczyny. *Kami* są duchami ludzkimi, więc posiadają właściwości dobre i złe natury ludzkiej w różnym stopniu. Przeważna ilość jest dobra, suma zaś wpływów przechyla się raczej ku dobremu, jak ku złemu. Pessymista nie mógłby przyznać się do czystego szyntonizmu.

Z tych prymitywnych pojęć rozwinęły się uczucia moralne, zupełnie obce cywilizacyi zachodniej. Na czele stoi uczucie serdecznej wdzięczności wobec zmarłych, uczucie, które w naszem uczuciowem życiu niema właściwie *pendant*. Znamy swą przeszłość lepiej właściwie, niż Japończycy swoją, mamy miryady ksiąg, które utrwaliły zdarzenia i stosunki, nie można jednak powiedzieć wogóle, abyśmy dla swej przeszłości odczuwali miłość i wdzięczność. Sumę naszych uczuć i myśli w stosunku do przeszłości reprezentuje krytyczne przedstawienie jej błędów i zalet, czasem płomienny entuzyazm, obudzony jej pięknem, niejednokrotnie bezwzględne odkrycie jej błędów. Stanowisko nauki, która zajmuje się przeszłością, jest z natury chłodne, stanowisko sztuki pełne entuzyazmu. Z jakiegokolwiek stanowiska studyujemy tę przeszłość, to uwaga zwraca się przedewszystkiem na to, co zmarli zdziałali: albo na rzeczy widoczne, które przyspieszają bicie serca, albo też na rezultaty myśli i czynów, w stosunku do ówczesnego społeczeństwa. Nikt nie myśli o ludzkości minionej — jako o jedności, o milionach, leżących w grobie — jako o istotach spokrewnionych ze sobą duchowo. Jeżeli zaś myśli, to pod formą ciekawości, takiej samej, jaką budzi studyum ras, dawno zaginionych.

Interesujemy się w każdym razie opisem życia jednostki, która w dziejach zostawiła wielkie ślady; uczucia nasze poruszają się wspomnieniem wielkich wodzów, polityków, odkrywców, refor-

matorów, ale to tylko dlatego, że wielkie ich czyny przemawiają do naszej własnej ambicyi, naszych życzeń, do naszego egoizmu, nie zaś do uczuć altruistycznych. Nikt nie myśli o bezimiennych zmarłych, nikt nie czuje względem nich miłości i wdzięczności, a trudno nawet uwierzyć, iż ukochanie przodków może być tak potężnem, głębokiem, żywem, jak w Japonii. Sama idea, jako taka, jest naszej myśli, uczuciu i czynom zupełnie obca. Powodem jest naturalnie i przedewszystkiem to, że na Zachodzie nie istnieje wiara w czynny duchowy związek między ludźmi żywymi a ich przodkami.

W Japonii uczucie to ma charakter wdzięcznej, pełnej szacunku miłości. Jest to, jak się zdaje, najgłębsze i najsilniejsze uczucie tej rasy, uczucie, które panuje nad życiem narodu i rozwija jego charakter. Ma w niem swój udział patryotyzm, opiera się na niem wdzięczność dzieci względem rodziców, miłość rodzinna ma w niem swe korzenie, a wreszcie i lojalność ma w nim podstawę. Gdy żołnierz, chcąc kolegom utorować drogę przez pole bitwy, poświęca bez wahania życie, z okrzykiem: *Teikoku Banzai!* — gdy syn lub córka bez szemrania oddają całe szczęście swego życia dla rodziców, może nawet okrutnych lub wprost niegodnych; gdy wasal raczej wyrzeka się przyjaciół, rodziny i majątku, — byle nie złamać słowa, danego niegdyś panu, teraz zubożałemu; gdy małżonka modli się w uroczystych białych szatach i przeszywa sobie gardło

nożem, aby zgładzić krzywdę, jaką jej mąż wyrządził komuś obcemu — to wszyscy ci ludzie słuchają woli niewidzialnych istot i słyszą świadectwo niewidzialnych świadków. Nawet między sceptycznymi studentami najmłodszej generacyi uczucie to jeszcze silne. Nieraz ubiera się te dawne uczucia w zwroty takie, jak n. p.: »Nie możemy przecież pohańbić swych przodków«, »Obowiązkiem naszym jest przynosić zaszczyt przodkom!«.

Będąc nauczycielem angielskiego, nieraz, nie znając istotnego znaczenia takich wyrażeń, brałem się do poprawiania ich w zadaniach uczniów. Wykładałem im naprzykład, że wyrażenie: »przynieść zaszczyt pamięci swych przodków« byłoby właściwszem, niżeli zdanie, napisane tak, jak powyżej. Przypominam sobie nawet, że pewnego dnia tłómaczyłem im, dlaczego nie ma się mówić o przodkach tak właśnie, jak gdyby byli żyjącymi ludźmi. Uczniowie moi podejrzywali wówczas, jak sądzę, że chcę mieszać się w ich uczucia religijne. Dla Japończyka przodkowie nie przechodzą do krainy wspomnień. Oni żyją.

Od tysięcy lat mieszkaniec dalekiego Wschodu jest przekonany, iż zmarli żyją i ciągle są przynim obecni. Ten człowiek mówi z nimi codziennie, stara się sprawić im przyjemność, a jeżeli nie jest przestępcą zawodowym, to nigdy nie zapomina o obowiązkach względem nich. Jeżeli ktoś spełnia te obowiązki — mówi Hirata — nie będzie nigdy zuchwałym wobec bogów, ani wzglę-

dem żyjących swych rodziców. »Taki człowiek będzie zawsze wiernym względem przyjaciół, dobrym i łagodnym dla żony i dzieci; kwintesencyą tej czci dla przodków jest bowiem w istocie szacunek dziecka względem rodziców«.

W uczuciu tem mieści się rozwiązanie niejednej szczególnej nuty w charakterze japońskim. Daleko bardziej obcem nam pod względem uczuciowym, niż np. wspaniała odwaga, z jaką odnoszą się do śmierci, lub obojętności, z jaką ponoszą najcięższe ofiary, jest głębokie a proste uczucie chłopca, który na widok ołtarza przodków, nigdy przedtem niewidzianego, nagle czuje, iż oczy zaciemniają mu się od łez. W tej chwili otrzymuje on świadomość tego, czego my nie obejmiemy nigdy swem uczuciem: świadomość olbrzymiego długu, jaki teraźniejszość zaciągnęła u przeszłości i obowiązku miłości względem zmarłych.

Jeżeli wziąć na uwagę nasze stanowisko jako tych dłużników, musi się dostrzedz ogromną różnicę między uczuciem człowieka zachodniego, a wschodniego.

Nic nie napawa ludzi takim przestrachem i grozą, jak samo istnienie misteryum życia, skoro fakt ten po raz pierwszy staje przed człowiekiem w całej rozciągłości. Człowiek, z nieznanej ciemności wznosi się na chwilę ku światłu słońca, rozgląda się w koło, cieszy i cierpi, przenosi wibracye swej istoty na inne istoty i zapada znów w ciemność. Tak fala wznosi się, chwyta w siebie światło, podaje ruch swój dalej i znów zapa-

da w morze. Tak wystrzela roślina z pyłu, rozwija liście ku słońcu, kwitnie, rozrzuca nasiona i wraca znów do ziemi. Tylko, że fala niezna u czucia, roślina nie ma świadomości. Życie ludzkie przedstawia się z tego punktu widzenia jako ruch paraboliczny z ziemi i do ziemi, lecz w tej krótkiej chwili przemiany, człowiek przychodzi do świadomości świata. Strasznem jest zaś w tem zjawisku to, iż nikt o niem nic niewie. Nikt ze śmiertelnych nie zdołał jeszcze wytłómaczyć rozumowo tego najcodzienniejszego z faktów, a zarazem najbardziej niezrozumiałego: życia jako takiego. Każdy jednak myślący śmiertelnik musiał nieraz porozmyślać nad tym faktem.

Idę z misteryum, widzę niebo, ziemię, ludzi i ich czyny, wiem, że muszę wrócić do misteryum, a nawet największy filozof nie wytłómaczy mi rozumowo, co to wszystko znaczy. Jesteśmy zagadkami jedni dla drugich, zagadkami dla samych siebie; przestrzeń, ruch, czas to zagadki; materya również zagadką. A na horyzoncie tej nieskończonej zagadki czyhają niezliczone mniejsze, tak stare, jak świat. Edyp miał tylko do rozwiązania zagadkę jednego sfinksa, ludzkość tysięcy sfinksów, a nie każda została rozwiązana. Miliony jednak znalazły od niej swój klucz, a wiedza ta jest dziedzictwem po przodkach.

— Zmarli — mówiąc z Japończykiem — zostawili nam pamięć tego wszystkiego, czego dowiedzieli się o sobie samych i o świecie, o tem, co należy sobie przyswajać, czego unikać, o środ-

kach, czyniących życie mniej bolesnem, o prawie i bezprawiu, o nieszczęściu i szczęściu, o błędzie egoizmu i mądrości dobroci, o obowiązku ofiary. Pozostawili nam wyjaśnienie wszystkiego, co zdobyli doświadczeniem w zakresie wiedzy; o porach roku, miejscowościach, stosunkach klimatycznych, słońcu, księżycu i gwiazdach, o poruszeniach i składzie wszechświata. Zostawili nam też w spuściźnie swe błędy, które przez długi czas służyły nam, strzegąc przed jeszcze większymi błędami. Pozostawili dzieje swych złudzeń i dążeń, tryumfu i klęsk, bólów i radości, miłości i nienawiści — jako przykład i przestrogę.

Pracowali dla późniejszych, tworzyli świat cywilizowany. Uprawiali rolę, tępili potwory, poskramiali pożyteczne dla nas zwierzęta. »Matka Kullervos ocknęła się w grobie i z głębi prochu zawołała: zostawiłam ci psa, przywiązanego u drzewa, na to, abyś mógł z nim pójść na polowanie« (Kalevala, 36 runa). Tak samo uszlachetniali pożyteczne drzewa i rośliny, odkryli siłę przeznaczenia metali i ich kopalnie. Potem wreszcie stworzyli wszystko, co się zwie cywilizacyą, nam zaś zostawili poprawienie wszystkich tych błędów, których sami nie mogli uniknąć. Nieobliczalną jest suma ich pracy, a wszystko, co swym następcom dali, powinno być dla nich bardzo święte, bardzo drogie, jeżeli już nie z innych przyczyn, to choćby dla niesłychanego nakładu trudów i pracy umysłowej. Któż jednak z ludzi Zachodu powtarza codziennie, tak jak szyntoista:

»Wam, praojcowie naszych pokoleń, naszych rodziców, naszych krewnych, wam, założyciele naszego ogniska, niesiemy radosne dziękczynienie«?

Tak nie zawoła nikt z ludzi Zachodu. Brak mu nauki, idącej przez pokolenia, aby duchowo-sympatyczną siłę wyobraźni zastosować do koła szerszego, niż ciasna sfera rodziny. Rodzina zachodnia, w porównaniu ze wschodnią jest bardzo ciasną. Dzisiaj rodzina w wielu krajach zachodu znajduje się prawie w zupełnym rozstroju, nazwa jej oznacza właściwie tylko żonę, męża i nieletnie dzieci. Rodzina na Wschodzie obejmuje nietylko rodziców i ich krewnych, lecz także dziadków z ich krewnymi, pradziadków i wszystkich przodków. Idea rodziny wykształca sympatyczną siłę wyobraźni do tego stopnia, że uczucia, należące do zakresu tych wyobrażeń, rozciągają się, jak naprzykład w Japonii, na wiele grup i grupek żywych rodzin, a w czasach niebezpieczeństwa narodowego wprost na cały naród, jako na jedną wielką rodzinę. Jako uczucie religijne obejmuje kult przodków całą przeszłość, a uczucie to, złożone z miłości, lojalności i wdzięczności, jest nie mniej rzeczywistem, choć naturalnie nie tak zdecydowanem, jak uczucia względem żyjących krewnych.

Na zachodzie uczucie takie nie utrzymało się po zburzeniu świata starożytnego. Myśl o rezultatach, przekazanych ludziom przez zmarłe pokolenia, nie budzi się w Europejczyku, ba, rzadko kie-

dy powstaje w jego duszy, gdy patrzy na dzieła ludzi żywych, które mu służą. Cenę jakiegoś przedmiotu obliczamy według wartości, jaką ten przedmiot dla nas posiada. O trudzie producenta nawet nie myślimy. Śmianoby się z nas, gdybyśmy mieli pod tym względem jakie skrupuły. Ten brak uczucia wobec wstrząsającej treści pracy chwili obecnej, a przedewszystkiem dzieł przeszłości, to tłómaczy zupełnie szał rozrzutny, właściwy naszej cywilizacyi: niepohamowany pośpiech, z jakim zbytek zużywa pracę lat całych, na zabawę jednej godziny; nieludzkość tysięcy bezmyślnych bogaczy, z których każdy, co roku, na zaspokojenie pożądań zupełnie niepożytecznych, traci rezultat pracy setki egzystencyj ludzkich. Kannibale cywilizacyi są nieświadomie o wiele okrutniejsi, niż dzikie plemiona i zużywają o wiele więcej »mięsa ludzkiego«. Głębsze uczucie ludzkości, uczucie »kosmiczne« dla całej ludzkości jest istotnym nieprzyjacielem wszelkiego bezpożytecznego zbytku i zaciętym wrogiem każdej formy społeczeństwa, która nie kładzie hamulca zadowoleniu zmysłów i przyjemnościom egoizmu.

Natomiast na dalekim Wschodzie, od prastarych czasów uczono oszczędnego, skromnego prowadzenia życia, jako moralnego obowiązku, gdyż kult przodków rozwinął i wyrobił uczucie kosmiczne względem ludzkości, uczucie, którego nie znamy, lecz które później będziemy musieli sobie przyswoić choćby po to, aby uchronić się przed wymarciem.

Uczucia Japończyka Iyeyasu odzwierciedlają uczucia ludzi Wschodu. W epoce, gdy ten największy wojownik i mąż stanu japoński był w gruncie rzeczy właściwym władcą państwa, ujrzano go pewnego razu, jak własnemi rękami czyścił i wygładzał starą, zakurzoną parę jedwabnych *hakama,* czyli spodni.

— To, co czynię teraz — rzekł Iyeyasu do jednego z wasali — nie czynię dlatego, abym myślał o wartości sukni jako takiej, lecz myślę o tem, ile trudu było potrzeba, aby ją stworzyć. Jest to wynik pracy i trudu jakiejś ubogiej kobiety i dlatego cenię go. Jeżeli, używając jakiej rzeczy, nie myślimy o czasie i trudzie, którego trzeba było, aby ją zrobić, wtedy brak tego względu sprowadza nas na jeden stopień ze zwierzętami.

To też słyszymy, że w dniach największego dobrobytu zakazywał Iyeyasu żonie zaopatrywania go w nowe suknie.

— Gdy sobie pomyślę o tłumie — mawiał — o tłumie otaczającym mnie i o pokoleniach, które po mnie przyjść powinny, poczuwam się do obowiązku, aby z rzeczami, jakie mam w swem posiadaniu, obchodzić się jak najoszczędniej.

Duch skromności utrzymał się w Japonii. Nawet cesarz i cesarzowa żyją w odosobnieniu swoich prywatnych komnat, żyją tak samo poprostu, jak ich poddani, a największą część swych dochodów przeznaczaja na złagodzenie nędzy publicznej.

Kto przyswoił sobie zasady podstawowe ewolucyi, ten najzwyklejszego przedmiotu pracy ludzkiej nie będzie oglądał bez przypomnienia sobie o jego ewolucyjnej historyi. Najzwyklejsze narzędzie przedstawi mu się nie jako zwykły produkt indywidualnej zręczności stolarza, garncarza lub kowala, lecz jako produkt wiekowego doświadczenia, które ma za przedmiot metody tworzenia, materyał i kształt. Również nie będzie mógł patrzeć na niesłychany koszt czasu i trudu, jakiego wymagał rozwój każdego narzędzia mechanicznego, bez uczucia wdzięczności. Przyszłe pokolenia muszą przypomnieć sobie o materyalnych zdobyczach przeszłości w związku z umarłą ludzkością.

Biorąc teoretycznie, w rozwoju tego kosmicznego uczucia względem ludzkości, świadomość psychicznego niejako długu wdzięczności wobec czasów minionych będzie o wiele silniejszym czynnikiem, niżeli świadomość wdzięczności materyalnej.

Dopóki np. uważa się duszę kobiecą za coś niezłożonego, za coś, co istnieje samo dla siebie, nie widzi się piękności tego cudu, które nosi nazwę miłości macierzyńskiej. A jestto skarb miłości milionów matek, zgromadzony w życiu jednej. Stąd nieskończona słodycz mowy, jaką słyszy małe dziecko, nieskończona czułość spojrzenia matczynego, które spoczywa na maleństwie. Pożałowania godzien śmiertelnik, który tego nigdy nie zaznał... A jednak któż ze śmiertelnych po-

trafiłby znaleść odpowiednie słowa, aby to określić?...

Nie tu miejsce, by rozwodzić się nad pierwszą miłością, która jest iluzyą, gdyż powstaje w niej znowu namiętność i piękność zmarłych, aby oszałamiać, oślepiać, oczarowywać. Jestto rzecz cudowna, niesłychanie cudowna, lecz nie jest w zupełności prawdziwa. Istotny czar kobiety objawia się dopiero później, gdy znikają wszelkie iluzye, aby otworzyć rzeczywistość cudowniejszą, aniżeli wszelkie złudzenia, zrodzoną zaś pod ich czarowną zasłoną. W czemże się przejawia boski czar kobiety? W miłości, łagodności, wierności, altruizmie, w intuicyi milionów serc, które już nie biją. Wszystko to znów powstaje, wszystkie te serca biją znów w ciepłym pulsie jej serca.

Być może, iż kult przodków w Japonii jest w swej prymitywnej postaci tylko symbolem prawdy, wskazówką, prodromem moralnych obowiązków. Ale może być i czemś więcej, gdyż fakta dziedziczenia dają zawsze tylko połowiczne wyjaśnienie faktów psychologicznych. Roślina wytwarza dziesięć, dwadzieścia, sto nowych roślin, nie poświęcając swego własnego życia. Zwierzę ma wiele młodych, a mimo to żyje dalej bez uszczerbku sił fizycznych i instynktu. Dziecko rodzi się, a rodzice je przeżywają. Komórki reproduktywne »powstając« nie niszczą życia rodzicielskiego, lecz tylko je powtarzają. Mnożąc się nieustannie, każda przekazuje doświadczenie rasy i zostawia

jednak za sobą doświadczenie rasowe. Tutaj natrafiamy na cud nie do zgłębienia: na uwielokrotnienie się istności fizycznej i psychicznej. Gdyby całe życie rodziców przenosiło się na potomstwo, możnaby powiedzieć, że dziedziczność popiera doktrynę materyalistyczną. Ale tak nie jest. Szyntoizm stawia teoryę, iż dusze mnożą się drogą dzielenia, lecz fakta emanacyi psychicznej są nieskończenie cudowniejsze, niż jakakolwiek teorya.

Kwestyj, które nasuwa uczucie religijne, wiedza nie rozstrzygnie, tak samo jak nie umie określić natury rzeczy samej w sobie. Daremnie pytamy jej: co się dzieje z siłami, które tworzyły siłę życiową rośliny? A jeszcze mniej odpowie na kwestyę: co się dzieje z uczuciami, składającemi się na psychiczne życie człowieka? już dlatego, że nie potrafi wyjaśnić najprostszego uczucia. Wie tylko, że przez ciąg życia pewne czynne siły w roślinie, czy w człowieku ustawicznie stosowały się do sił zewnętrznych i że gdy siły wewnętrzne nie mogły już reagować na nacisk zewnętrznych, ciało, w którem nagromadziły się pierwsze, rozpadło się na pierwiastki, z których się składało. Ale więcej jest powodów do wiary, iż prasiły życiowe istnieją dalej po rozkruszeniu się form, w których się przejawiały, niż że zupełnie giną.

Kimiko.

(Historya pewnej gejszy).

Trudniej duszy zdobyć się na życzenie, aby kochanek zapomniał, niż samej starać się zapomnieć.

(Z poezyj »Kimiko«).

Imię jej błyszczy na latarce papierowej u wejścia jednego z domów w ulicy gejsz.

Patrząc w nocy, widzi się jedną z najdziwniejszych ulic na świecie. Jest wązka, jak ciasny przesmyk, a ciemne, błyszczące drzewo pozamykanych fasad, maleńkie, zasuwane drzwiczki z szybami z papieru, wyglądającemi jak prasowane szkło, wszystko to przypomina kabiny pierwszej klasy na okrętach. Wprawdzie budynki mają po kilka pięter, lecz nie widzi się tego zrazu, zwłaszcza gdy księżyc nie świeci; tylko mieszkania parterowe są bowiem oświetlone aż po rozpięte markizy. Wszędzie indziej ciemno.

Światło wychodzi z lamp, umieszczonych za papierowemi szybami wązkich drzwiczek i z latarń, wiszących na zewnątrz domu, po jednej przy

każdych drzwiach. Patrząc na ulicę, ma się przed sobą dwa szeregi tych latarń, które w oddali zlewają się w jedną nieruchomą, żółtą masę światła. Niektóre latarnie mają formę owalną, inne cylindryczną, inne są cztero i sześciokątne, wszystkie zaś są ozdobione japońskimi napisami w pięknych ideogramach.

Ulica jest bardzo cicha, jak wystawa po końcu godzin, przeznaczonych na zwiedzanie. Powodem tej ciszy jest nieobecność mieszkanek, które po największej części są zajęte przy bankietach i ucztach, gdyż życie ich jest wyłącznie nocnem.

Napis na pierwszej latarni na prawo, idąc ku południowi brzmi: »Kino ja uchi-O-Ka ta,« co znaczy: Złoty Dom, w którym mieszka Oka ta. Latarnia na prawo opowiada o domu Niszimura i o dziewczęciu Myutsuru, czyli »wspaniały bocian.« Najbliższy dom na prawo należy do Kajity, gdzie mieszka Kohana (Pączek) i Hinako o twarzy pięknej, jak laleczka. Naprzeciw dom Nagaye, gdzie mieszkają Kimika i Kimiko... Podwójny rząd świateł i nazwisk ciągnie się na milę.

Napis na domu, który wymieniliśmy naostatku, obwieszcza, że między Kimika i Kimiko zachodzi jakiś związek, ale zarazem donosi nam jeszcze o czemś innem; Kimiko nosi bowiem tytuł: Nidaj-me, tytuł nie do przetłómaczenia, którego treścią jest, iż nasza Kimiko jest tylko Kimiko numer drugi. Właściwą panią i mistrzynią jest Kimika, która wychowała dwie gejsze, dając oby-

dwu to samo imię: Kimiko. To imię, powtórzone dwa razy, jest dowodem, że Kimiko numer pierwszy, Ichi-daj-me, musiała cieszyć się wielkim rozgłosem. Imię, noszone przez gejszę, która nie zyskała rozgłosu, nie przechodzi nigdy w spadku na jej następczynię.

Ktoby wszedł do tego domu, ten, po odsunięciu drzwi wchodowych, które, otwierając się, wprowadzają w ruch gong, zawiadamiający o odwiedzinach — miałby sposobność zobaczyć się z Kimika, jeżeli naturalnie mała jej trupa nie była już gdzie zaangażowaną na ten wieczór. Poznałby w niej osobę bardzo inteligentną, z którą naprawdę warto pogadać. Kimika, jeśli chce, umie opowiadać najdziwaczniejsze historyjki z życia, opowiadania prawdziwe o naturze ludzkiej. Ulica gejsz jest bowiem pełna tradycyj, bądź komicznych, bądź tragicznych, bądź melodramatycznych. Każdy dom ma swoje osobne wspomnienia, a Kimika zna je wszystkie. Niektóre są straszne, bardzo straszne, inne pobudziłyby cię do śmiechu, jeszcze inne do myślenia i zamyślenia. Do tego ostatniego rodzaju należy historya pierwszej Kimiko. Nie jest nadzwyczajną, ale jedną z tych, które najbardziej są przystępne zachodniemu sposobowi pojmowania.

Niema już Kimiko Ichi-daj-me; jest tylko wspomnienie. Kimika była jeszcze bardzo młodą, gdy kolegowała z Kimiko.

— Nadzwyczajna dziewczyna — mówi Kimika o Kimiko.

Gejsza, jeżeli chce zyskać rozgłos, musi być albo piękną, albo też mądrą, a najsłynniejsze są zwykle i ładne i sprytne, gdyż nauczyciele, wybierając je u rodziców dziećmi jeszcze, kładą zawsze nacisk na te przymioty. Nawet od najpodrzędniejszych klas tych zawodowych śpiewaczek żąda się, aby zamłodu miały jakiś *charme,* chociażby tylko ową *beauté de diable*, której Japonia zawdzięcza przysłowie, iż »Nawet dyabeł jest piękny, gdy ma lat ośmnaście«. (Inna wersya zaś brzmi: smok, gdy ma lat dwadzieścia). Ale Kimiko była więcej niż ładna; odpowiadała zupełnie ideałowi japońskiemu piękności, a kanon ten spełnia może jedna na sto tysięcy kobiet.

Była też czemś więcej, niż sprytną; posiadała talenta. Pisała ładne wierszyki, umiała układać kwiaty z najwytworniejszym smakiem, wykonywała bez zarzutu ceremonie herbaciane, była zręczną w haftach i w mozajce jedwabnej, jednem słowem — była doskonałością.

Pierwszy jej publiczny występ zrobił w Kyoto, w świecie *ou l'on s'amuse* prawdziwą sensacyę. Na pierwszy rzut oka było widoczne, — że może zdobyć kogo chce, i nikt nie wątpił, że będzie miała szczęście. Nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że była przygotowaną po mistrzowsku. Nauczono ją zachowywać się odpowiednio w każdej okoliczności, jaka tylko dała się pomyśleć, o tem zaś, o czem młoda dziewczyna jeszcze nie

wiedziała, o tem wiedziała za nią Kimika; o potędze piękności i słabości szału, o wartości obietnic i torturach obojętności, o całej głupocie i złości serca męskiego. To też Kimiko nie często się myliła i niewiele też łez wylała. Powoli stała się też niebezpieczną, mniej więcej tak niebezpieczną, jak lampka nocna dla ciemności; w przeciwnym razie niejeden by ją zgasił. Celem istnienia lampy jest ukazywać oczom miłe rzeczy; lampa nie chce nikomu zrobić przykrości. Tak też i Kimiko nie chciała nikomu zrobić przykrości i nie była zbyt niebezpieczną.

Stroskani rodzice przyszli do przekonania, że nie starała się wdzierać w porządne rodziny, nie chciała nawet zapuszczać się w romantyczne awanturki. Nie była jednak zanadto względną dla młodzieńców, którzy podpisują dokumenta krwią własną i od tancerki żądają, aby na znak wierności obcięła sobie koniec małego paluszka... Z tymi panami obchodziła się dość wesoło, aby wyleczyć ich z tej choroby. Względem paru bogatych wielbicieli, którzy ofiarowywali jej majątki ziemskie i domy, była mniej litościwa. Jeden z nich obiecywał sumę, któraby uczyniła Kimiko odrazu bogatą. Kimiko była mu bardzo wdzięczną, lecz pozostała nadal gejszą. Odmowę umiała jednak umotywować z takim taktem, że nie zraniła nikogo, a umiała też leczyć rozpacz.

Naturalnie nie zbrakło też wyjątków. Pewien podeszły jegomość, który uważał, iż nie warto żyć dłużej, zaprosił ją pewnego dnia na bankiet

i wezwał, aby napiła się z nim wina. Wszelako Kimika, która umiała czytać myśli w twarzy ludzkiej, zeskamatowała szybko wino z kielicha Kimiko a wlała herbatę, ratując w ten sposób cenne życie dziewczęcia. W kilka minut potem, oszalały z miłości duch starego głupca szedł samotnie i prawdopodobnie nie bez rozczarowania drogą do Meido [1]).

Od tego wieczora Kimika czuwała nad Kimiko jak dzika kotka nad swem młodem.

»Kociątko« stało się przedmiotem mody, przedmiotem rozmów codziennych, dostąpiło lokalnej sławy.

Pewien książę cudzoziemski do dziś dnia pamięta jej imię; posłał jej brylanty, których nigdy nie włożyła. Ludzie posyłali jej masami kosztowne podarunki, jeżeli tylko mogli sobie pozwolić na ten zbytek, aby jej zrobić przyjemność, gdyż ambicyą złotej młodzieży było dostąpić jej względów choćby na dzień jeden. Kimiko nie dopuszczała jednak nikogo do stanowiska uprzywilejowanego i o przysięgach wiecznej wierności nic wiedzieć nie chciała. Na wszelkie zapewnienia tego rodzaju odpowiadała, iż wie, co się jej z prawa należy. Nawet kobiety z towarzystwa wyrażały się o niej łagodnie, gdyż imię Kimiko nie figurowało nigdy w żadnej tragedyi rodzinnej. Kimiko wiedziała, jak się zachować. Bieg lat czynił ją tylko coraz wdzięczniejszą. Inne gejsze, dochodziły sławy, lecz

---

[1]) Pola Elizejskie.

żadnej nie stawiano z nią na równi. Pewien fabrykant zdołał uzyskać prawo umieszczania jej fotografii jako etykiety na swych wyrobach i etykieta ta przyniosła mu majątek.

Pewnego dnia rozeszła się wszakże sensacyjna pogłoska, że serduszko Kimiko straciło twardość kamienia. W istocie pożegnała się Kimiko z Kimika i poszła za kimś, kto, jak opowiadano, mógł dawać jej najpiękniejsze suknie, o jakich by tylko zamarzyła; za kimś, kto postanowił dać jej pozycyę społeczną i w ten sposób zmusić do milczenia niodobrą sławę jej przeszłości; za kimś, kto był gotów umrzeć dla niej tysiąc razy a już teraz był nawpół żywy z miłości.

Kimika twierdziła, że jakiś głupiec spróbował odebrać sobie życie z miłości do Kimiko, ta zlitowała się nad nim i pielęgnowała go, dopóki nie wyzdrowiał, przyczem zresztą i głupota jego obudziła się do nowego życia. Taiko Hideyoshi rzekł, iż dwóch tylko rzeczy boi się tutaj na ziemi: głupca i ciemnej nocy. Kimika zawsze bała się głupców i oto głupiec uprowadził jej Kimiko. I ze łzami, które nie były zupełnie altruistyczne, dodawała, że Kimiko nie wróci już nigdy, gdyż zachodzi tutaj wypadek wzajemnej miłości, która przetrwa kilka egzystencyj.

Mimo to Kimika nie miała racyi bezwzględnie, jak się okazało. Była bardzo bystrą, lecz nie umiała zajrzeć w najgłębszą głąb duszy Kimiko. Gdyby mogła tam rzucić okiem, wykrzyknęłaby ze zdziwienia.

Kimiko różniła się od innych tancerek i tem także, iż pochodziła z dobrej rodziny. Zanim przybrała swój zawodowy pseudonim, nazywała się Ai, a wyraz ten, pisany zwykłemi literami, oznacza »miłość«; gdy się go pisze odmiennymi znakami, wyraża pojęcie »bolu«. Historya Ai jest zarazem historyą miłości i bolu.

Ai otrzymała wyborne wychowanie. Posyłano ją do prywatnej szkoły, na czele której stał stary samuraj. Małe dziewczynki siedziały tam w kucki na poduszeczkach przed pulpitami do pisania, wysokiemi na dwanaście cali; nauka była bezpłatna (Dzisiaj, kiedy nauczyciele pobierają wyższe płace niż inni urzędnicy, nauka nie jest tak interesującą ani sumienną, jak dawniej). Dziewczynce towarzyszyła do szkoły i ze szkoły służąca, niosąc książki, poduszeczkę, zeszyty i stołeczek.

Potem poszła Kimiko do publicznej szkoły normalnej. Właśnie ukazały się pierwsze »nowe podręczniki«. Zawierały one japońskie tłómaczenia historyjek angielskich, francuskich i niemieckich, o honorze, obowiązku i bohaterstwie; wybór był przepyszny, ilustrowany małymi naiwnymi obrazkami, które przedstawiały ludzi z Zachodu w strojach, jakich tutaj nigdy nie noszono i nigdy nie widziano. Małe te, wzruszające książeczki z kostyumami należą teraz do białych kruków, oddawna zastąpiły je inne, pretensyonalniejsze i nie z takim układane pietyzmem.

Nauka szła Ai bardzo łatwo. Raz na rok, podczas egzaminów, zjawiał się w szkole wysoki u-

rzędnik państwowy, rozmawiał z dziećmi tak, jak gdyby to były jego własne córki i rozdzielając nagrody pilności przesuwał ręką po główkach dziewczątek, miękkich jak jedwab. Obecnie jest on wielkim politykiem, ba, usunął się całkiem od życia publicznego i pewnie zapomniał o Ai. W dzisiejszej szkole nie obchodzi się tak delikatnie z małemi uczennicami i nie cieszy się ich maleńkiego serduszka za pomocą nagród.

Potem przyszły reformy, burzące wszystko do gruntu, które znaną rodzinę pozbawiły sytuacyi i popchnęły w ubóstwo. Ai musiała opuścić szkołę; nie zbrakło innych zmartwień, aż wreszcie została się na świecie sama, z młodszą siostrą i z matką, bezradna, uboga. Ani matka, ani Ai nie umiały nic innego prócz tkactwa, a na tej drodze trudno było zarobić tyle, aby wyżyć. Wszystko co posiadały: domek i posiadłość ziemska, potem wszystko, co nie było koniecznem do najskromniejszego życia: więc sprzęty domowe, klejnoty, kosztowne suknie, pięknie grawirowane laki — wszystko to przeszło poniżej wartości w ręce tych, którzy ciągną zyski z nędzy nieszczęśliwych, a których bogactwo zwie się w ustach ludu: *Namida Nokane*, »łzawy pieniądz.« Szczupło płynęły wsparcia od znajomych, gdyż spokrewnione familie samurajów były przeważnie w tak samo smutnem położeniu.

Gdy już wszystko się wyczerpało, gdy nie było nic do sprzedania, nawet książek szkolnych Ai, poszukano pomocy u zmarłych.

Przypomniano sobie, że ojciec ojca Ai był pochowany z kosztownym mieczem, darem pewnego daimio i że miecz miał okucia z ciężkiego złota. Otworzono grób, wielką rękojeść przepysznej roboty zastąpiono zwyczajną i zdjęto ornamenty z lakowej pochwy. Ostrze zostawiono, gdzie było, gdyż wojownik mógł go jeszcze potrzebować. Ai widziała przy tem wysoką postać samurajja w urnie z czerwonej gliny, która, starym zwyczajem, służy samurajom za trumnę. Długie lata leżał już w grobie, lecz rysy można było jeszcze poznać. Gdy mu oddano miecz z powrotem, zdawało się, że surowym uśmiechem daje znak zgody na to, co się stało.

Pewnego dnia jednak matka Ai uczuła się zbyt słabą, aby módz pracować dalej przy warsztacie. Złoto zmarłych już się wyczerpało. Ai rzekła wtedy:

— Matko! Teraz zostaje tylko jedna droga. Muszę teraz sprzedać się za tancerkę.

Matka rozpłakała się, nic nie odpowiadając. Oczy Ai były suche. Wyszła z domu.

Przypomniała sobie, że gdy w domu ojca odbywały się uczty, przy których gejsze nalewały wino, że jedna z nich, nazywana Kimika, pieściła ją zawsze... Poszła prosto do domu Kimika.

— Kup mnie — rzekła, wchodząc do środka — chciałabym dostać dużo pieniędzy...

Kimika uśmiechnęła się, pogłaskała dziecko po twarzyczce, postawiła jedzenie i wysłuchała dziejów Ai, opowiadanych bez jednej łzy, mężnie.

— Moje dziecko — rzekła Kimika — dużo pieniędzy dać ci nie mogę, gdyż sama mam niewiele. Mogę jednak uczynić co innego: mogę przyrzec ci, że będę miała staranie o twej matce. To lepsze, niż wielka suma. Matka twoja bowiem, moje dziecko, była wielką damą i dlatego nie umie obchodzić się z pieniędzmi. Poproś matki, aby podpisała umowę ze mną, iż pozostaniesz u mnie do dwudziestego czwartego roku życia, albo też do chwili, w której będziesz mogła wszystko mi spłacić. A pieniądze, bez których mogę obejść się na razie, weź do domu; to mój podarunek.

W taki sposób Ai została gejszą, Kimika nazwała ją Kimiko i dotrzymała przyrzeczenia, starając się we wszystkiem o jej matkę i siostrzyczkę. Matka umarła wprzód, nim Kimiko stała się głośną. Małą siostrzyczkę umieszczono w szkole. Potem stało się to wszystko, o czem już wiadomo.

Młodzieniec, który z miłości do gejszy chciał się zabić, był wart lepszego losu. Był jedynym synem ludzi zamożnych i poważanych, którzy gotowi byli ponieść dlań wszelką ofiarę, nawet tę, aby przyjąć gejszę za synowę. Co więcej, nie przyjęliby Kimiko źle, gdyż wiedzieli, że bardzo kocha ich syna.

Kimiko, zanim opuściła Kimika, była jeszcze na weselu swej młodszej siostrzyczki, Umé, która właśnie opuściła była szkołę. Kimiko sama wybrała jej męża, a dopomogła jej w tem wiele

gruntowna znajomość ludzi. Wybór jej padł na bardzo zacnego, uczciwego kupca starego autoramentu, na człowieka, któryby nie potrafił być złym, nawet gdyby chciał. Umé nie wątpiła, że wybór siostry jest dobry i rozumny i w istocie małżeństwo było jak najszczęśliwsze.

W czwartym miesiącu roku weszła Kimiko do nowej, przeznaczonej dla siebie sadyby. Był to dom, jakby stworzony na to, aby stłumić w pamięci całą przykrą stronę życia; rodzaj zaczarowanego pałacu, w ciszy wielkich, cienistych ogrodów. Kimiko mogła tam mieć uczucie, że jest w państwie Horai. Ale wiosna przeszła, nadeszło lato, a Kimiko pozostała nadal Kimiko. Trzy razy, z nieznanych przyczyn, odwlokła termin ślubu.

I znowu przeszło kilka miesięcy. Kimiko była coraz smutniejsza, i nakoniec jednego dnia powiedziała pogodnie, lecz stanowczo, co ma na sercu:

— Teraz czas na mnie powiedzieć wszystko, z czem tak długo zwlekałam. Dla matki, której zawdzięczam życie, i dla małej siostrzyczki żyłam w piekle. To już przeszło, lecz piętno spoczywa na mnie dalej. Żadna moc na świecie nie zdejmie go. Taka, jak ja, kobieta, nie może wejść do uczciwej rodziny, nie może być matką twego syna, nie może dać ci domowego ogniska. Pozwól mi mówić; w poznaniu złego jestem o wiele wyższą od ciebie. Nigdy nie zostanę żoną twoją na twą własną hańbę. Jestem twoją towarzyszką, twą kole-

żanką, przelotnym ptakiem i to dla ciebie samego. Gdy już cię opuszczę — a dzień ten niedaleki — będziesz miał sam inny, jaśniejszy pogląd na tę sprawę. Będę ci jeszcze droższą, lecz nie tak jak teraz. Teraz to szał tylko. Przypomnisz sobie te słowa moje płynące z głębi serca. Wybiorę ci jakąś uroczą, piękną damę, która zostanie matką twych dzieci; ja będę je może widywała, lecz nigdy nie będę twoją żoną; miłość matczyna jest mi zamkniętą na wieki. Byłam tylko szałem twoim, mój ukochany, złudzeniem, snem, cieniem, który przesunął się po twem życiu.

Kiedyś, później, może będzie mi danem być ci czem więcej, ale żoną — nigdy. Nie nastawaj.... W przeciwnym razie musiałabym natychmiast cię opuścić.

I gdy nadszedł szósty miesiąc roku, Kimiko znikła pewnego dnia niespodziewanie, a bez śladu.

Nikt nie wiedział, kiedy odeszła i dokąd się udała. Nawet sąsiedzi nie zauważyli jej odejścia. Zrazu miano nadzieję, że wkrótce powróci, gdyż nie wzięła ze sobą ani pięknych, kosztownych sukien, ani klejnotów, ani podarunków, które same w sobie stanowiły majątek. Ale mijały tygodnie, nie przynosząc o niej ani śladu. Obawiano się, że stało się coś strasznego. Odprowadzano strumyki, przeszukiwano studnie za jej śladem. Szukano za nią listownie i telegraficznie. Służących zaufanych wysłano na poszukiwania, wyznaczano nagrodę za odkrycie jej miejsca pobytu, a w szczególności obiecywano złote góry Kimika, chociaż

ta tak była przywiązaną do dziewczęcia, że radowałyby się odnalezieniem jej i bez nagrody... Tajemnica pozostała tajemnicą. Próżnoby było zwracać się do władz. Kimiko nie uczyniła przecie nic złego, nie przekroczyła ustawy, a aparatu policyjnego nie można było wprawiać w ruch dla prostego kaprysu zakochanego młodzieńca. Mijały miesiące i lata, lecz ani Kimika, ani Umé w Kyoto, ani nikt inny z tych tysięcy ludzi, którzy widywali i podziwiali piękną tancerkę, nie ujrzał jej po raz wtóry.

Stało się jednak to, co przepowiedziała Kimiko, gdyż czas osusza każdą łzę i goi każdą ranę, a nawet w Japonii nikt nie próbuje zabijać się po raz drugi dla tej samej miłości. Przyjaciel Kimiko uspokoił się; wybrano mu za żonę bardzo miłe stworzonko, które obdarzyło go synem.

I znów minęły lata, szczęście i zadowolenie panowało w zaczarowanym pałacyku, gdzie niegdyś bawiła Kimiko.

Pewnego dnia zjawiła się przed domem wędrowna mniszka, prosząc o jałmużnę. Dziecko, usłyszawszy buddystyczny okrzyk: »Hai, Hai«! wybiegło przed bramę. Służąca, która ukazała się na progu, niosąc, jak zwykle, ryż na jałmużnę, ujrzała ze zdziwieniem, iż mniszka pieściła dziecko, rozmawiając z niem szeptem. Na widok służącej, mała zawołała:

— Ja jej to dam.

A głos mniszki, z poza welonu, który zwieszał się z wielkiego kapelusza słomkowego zabrzmiał:

— Proszę, nie odmawiaj dziecku.

Dziecko wsypało ryż do miseczki, przyniesionej przez mniszkę, ta podziękowała, mówiąc:

— A czy powtórzysz teraz to, co ci mówiłam?

Dziecko odpowiedziało z cicha:

— Ojcze! Kobieta, której nigdy na tym świecie już nie zobaczysz, kazała ci powiedzieć, że serce jej szczęśliwe, gdyż widziała tweg syna.

Mniszka uśmiechnęła się łagodnie, opieściła raz jeszcze chłopczyka i szybko odeszła.

Służąca nie posiadała się ze zdziwienia. Dziecko pobiegło do ojca, aby mu powtórzyć, co słyszała.

Lecz ojcu oczy mgłą zaszły, gdy posłyszał wszystko i zapłakał, chyląc się nad głową syna. Wiedział on, kto to był przy bramie i wtedy zrozumiał ukrytą myśl ofiarną, która kierowała całem życiem Kimiko.

Od tej pory często widzą go, jak chodzi pogrążony w zadumie, nikt jednak nie dowie się jego myśli. Wie on, że bliżej ze słońca na drugie słońce, niż jemu do kobiety, która go kochała.

Wie, że daremnemby było śledzić za nią, dowiadywać się w jakiem dalekiem mieście, w jakim fantastycznym, bezimiennym chaosie ulic, w jakiej oddalonej od świata, tylko najbiedniejszym z pośród biednych znanej świątyni, Kimiko czeka ciemności, która poprzedza nadejście niezmierzonego światła. Światła, w którem oblicze

mistrza do niej się uśmiecha, a głos mistrza, dźwiękiem słodszym, niż głos ziemskiego kochanka powie do niej: »Córko moja, zrozumiałaś najgłębszą prawdę i uwierzyłaś w nią, poszłaś dobrą drogą, dlatego witam cię i tutaj przyjmuję«.

KONIEC.

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: PUB: w KRAKÓWIE
SEKCYA IV.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18291

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki